

NYPL RESEARCH LIBRARIES

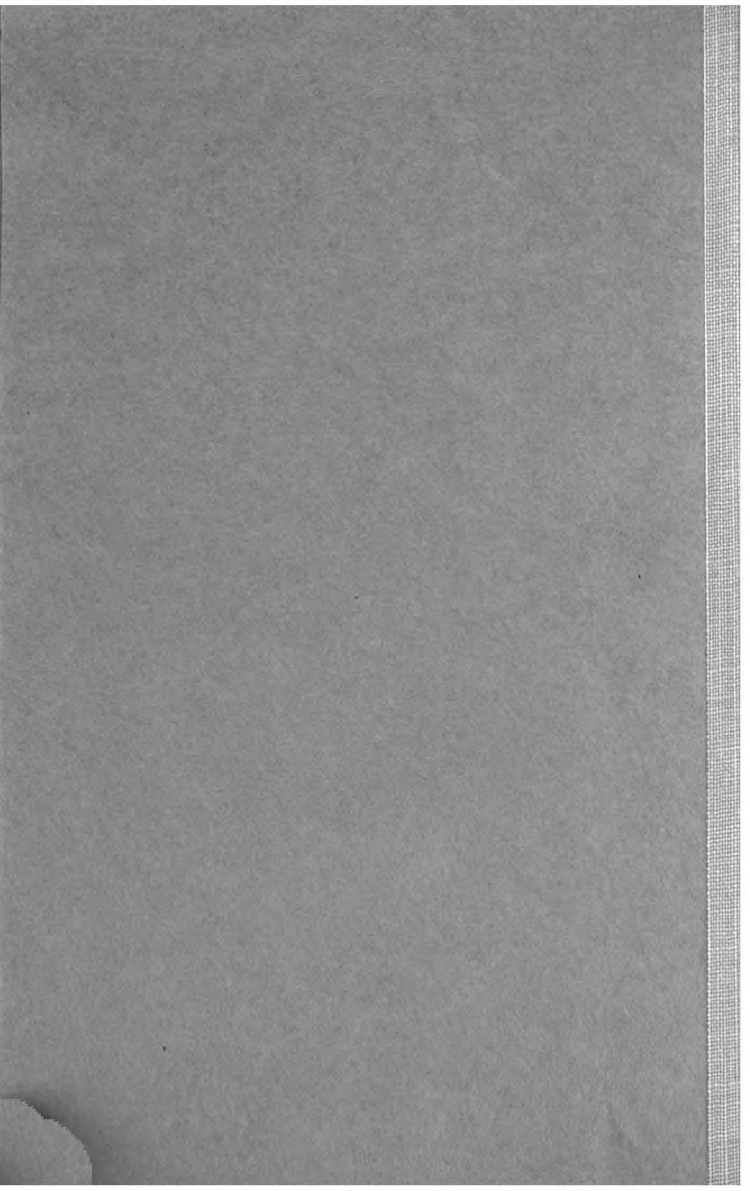


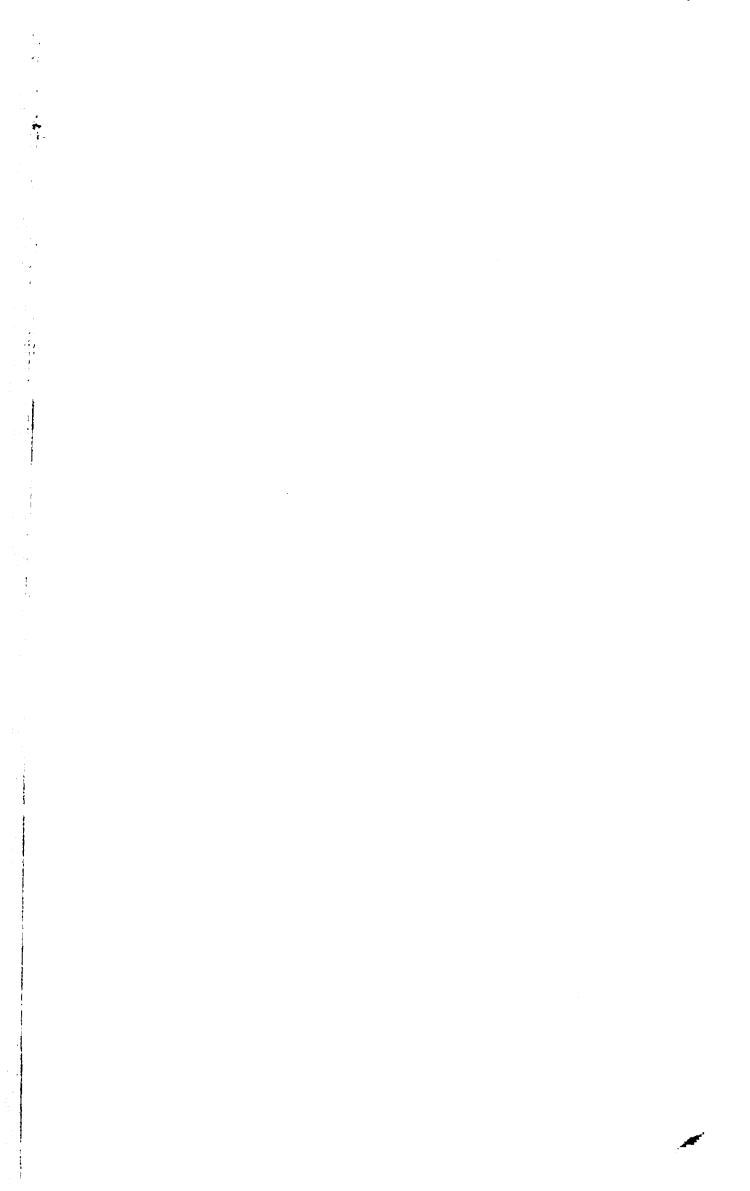
3 3433 00251618 9

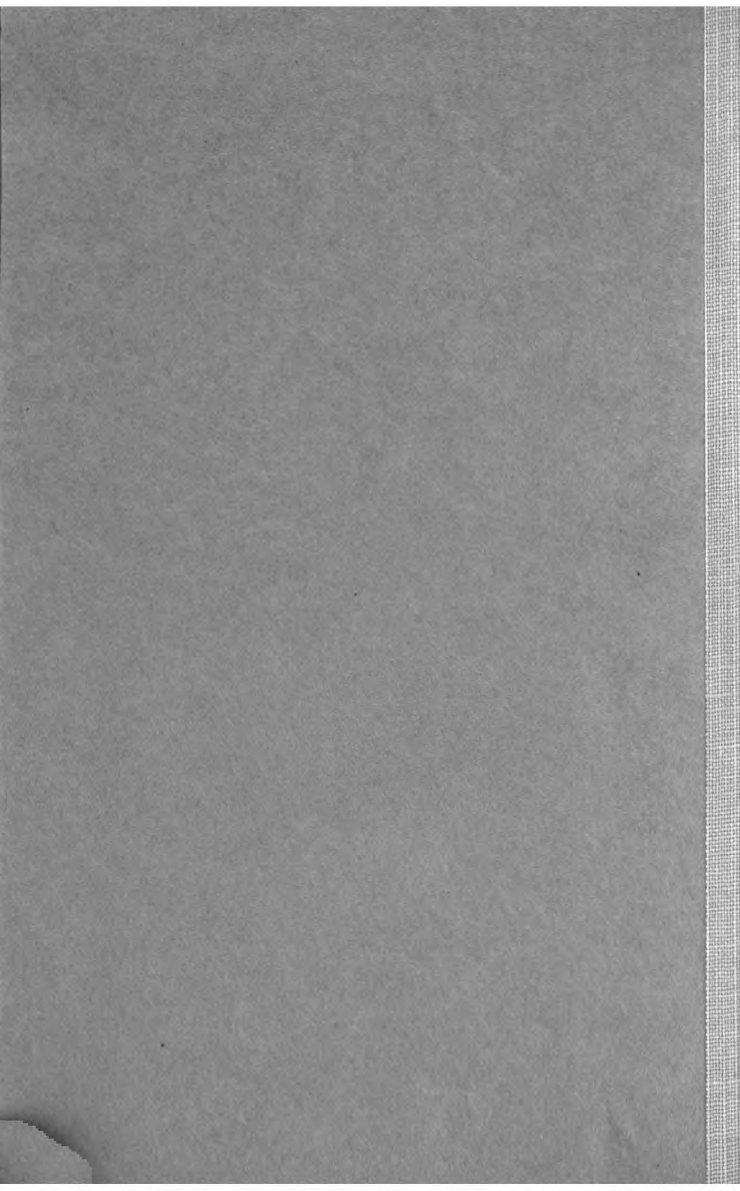


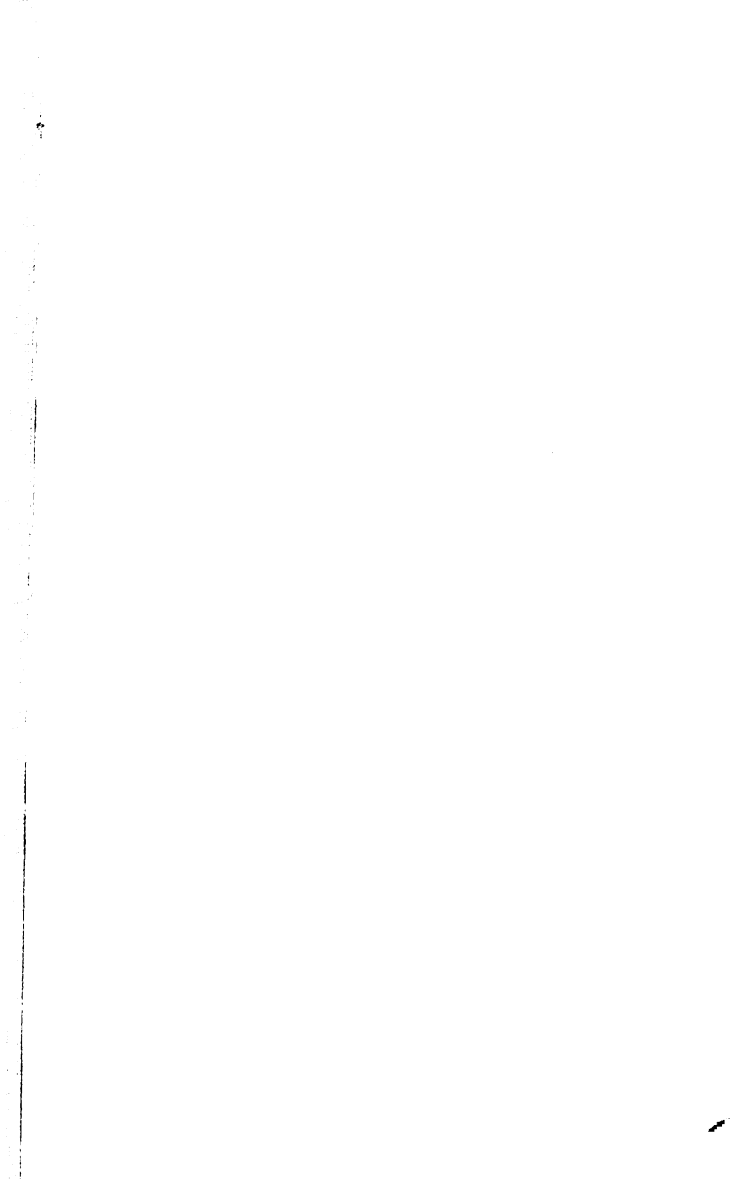
XQO

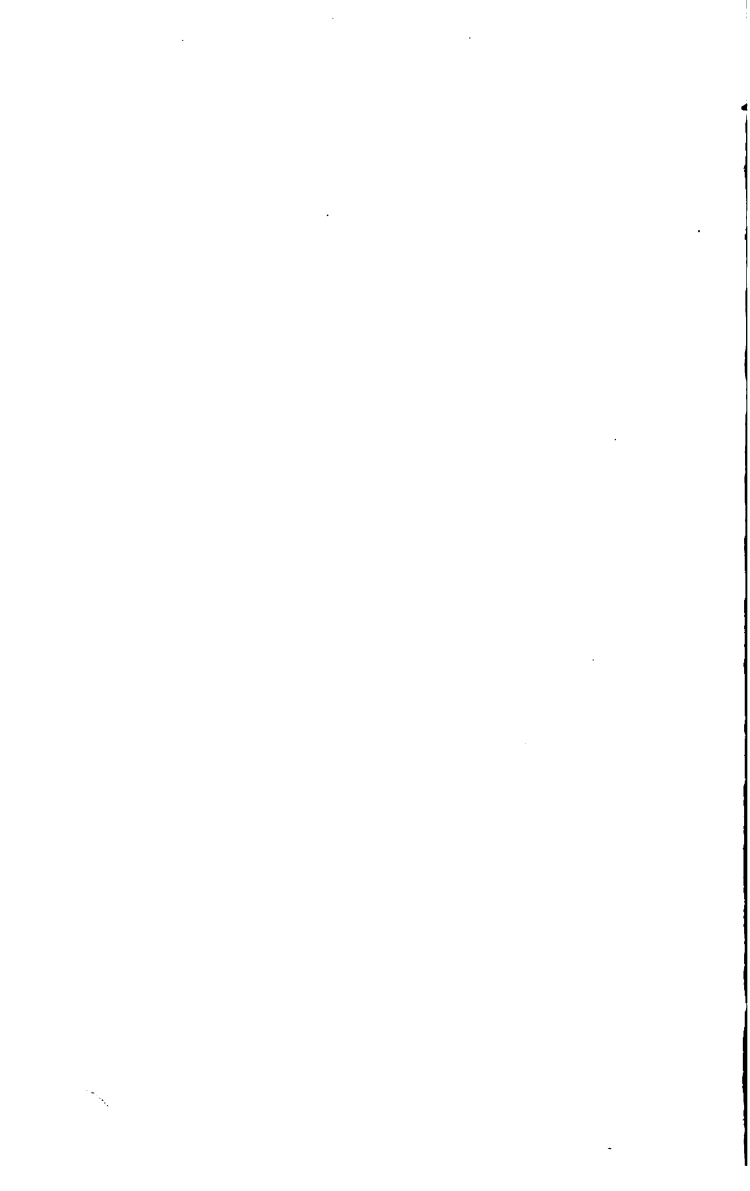
Tokarzewicz





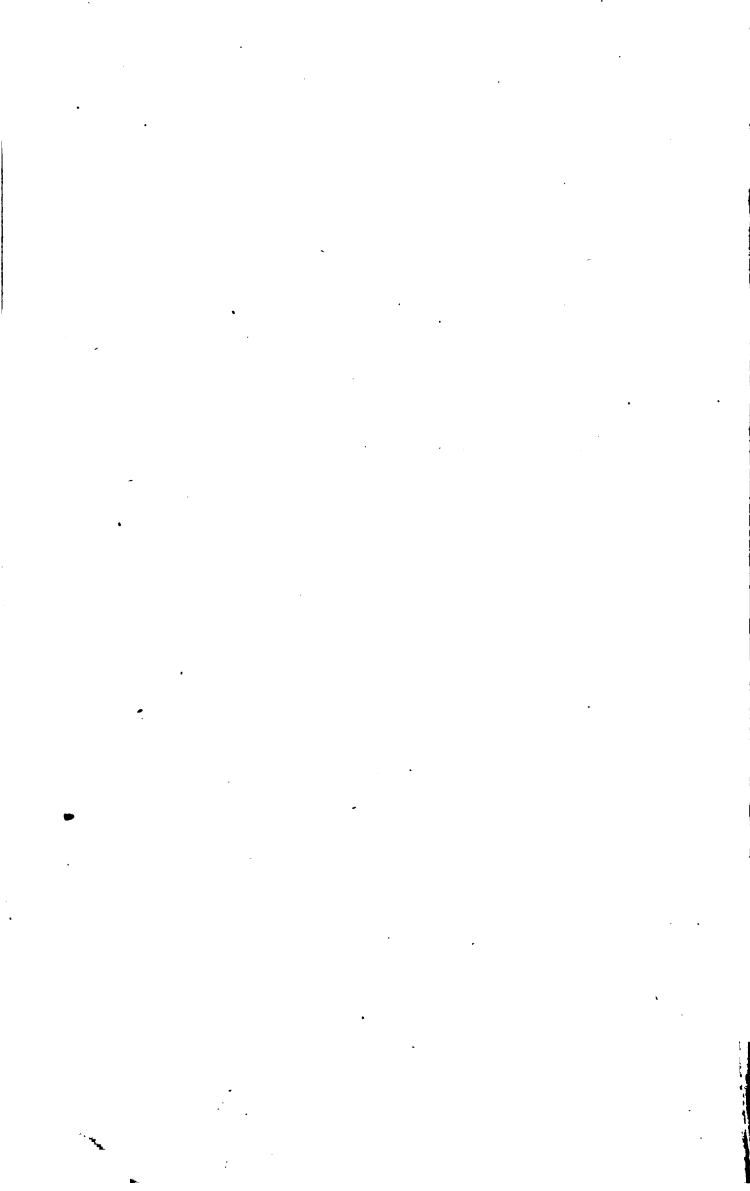








PAN ŚLEPY - PAWEŁ.



# PAN ŚLEPY-PAWEŁ.

NAPISAŁ

**T. HODI.**

---

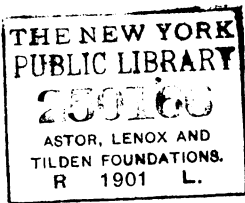


WARSZAWA.

Nakładem Gebethnera i Wolffa

1881.

---



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 25 Ноября 1881 года.

Ślepego pana Pawła nazywano w naszym miasteczku panem „Ślepym-Pawłem“ najpewniej z następującego powodu: Kiedy bywało, będąc jeszcze dziećmi, upędzaliśmy się za ociemniałym, wrzeszcząc jako drobne ptastwo za skaleczonym sokołem: — „Ślepy Paweł Ślepy Paweł“ — napastowany, acz zwykle nie zwracał uwagi na to co się dokoła niego działo, i dalej kroczył poważnie, ze spokojnem i smętnem obliczem, to jednak, w końcu tracił niekiedy cierpliwość, i odwracając się nagle, chwycił najbliższego ze śmiałków, dobierał się omackiem do jego ucha, i trzymał. Pojmany, czemprowadziej w takim wypadku dostrajał ton i tytuły do sytuacji, i rzewnie zapewniał:

— Panie Ślepy-Pawle, to nie ja! Panie Ślepy-Pawle, nie będę nigdy już nie będę!

Dobry „pan“ Ślepy Paweł całował zwykle malca w czoło, i puszczał, dodając kilka moralów mniej więcej dla nas niezrozumiałych.

Rozbrajało to rzeszę aż do następnego jego pochodu przez ulicę, z głową podniesioną, zadumaną, jakby do kogoś w górze boleśnie uśmiechniętą. W rękę miał zawsze laseczkę cienką, kutą, którą machinalnie przed sobą o bruk pobrzękiwał. Odległości wymierzał prawdopodobnie oddawna na kroki, bo do drzwi sąsiadów, których odwiedzał, trafiał prosto, o cal nie chybiwszy.

Szanowano pana Pawła powszechnie, kochano, bano się go może nawet potrosze, lecz przedewszystkiem szanowano. I było za co. Pomnę, że kiedy w niedzielę podczas mszy świętej w parafialnej naszej cerkiewce nadchodziła pora czytania na głos dziejów apostoelskich, podchmielony diaczek nie raz zwracał się do stojącego przy chórze ślepego Pawła z wylęknionem pytaniem:

— A która? a która to na dziś epistoła?

Pan Ślepy-Paweł, nieodpowiedziawszy nic, brał grubą księgę do rąk, palcami wodził po jej brzegach i kartę żadaną odkrywał bez omyłki—w oczach zdumionego zawsze tym widokiem tłumu. Diaczek szedł wtedy na środek cerkwi i pismo święte czytał z zupełną siebie samego i słów Bożych pewnością, słuchany przez lud z namaszczeniem pierwszych Chrześcian.

Dom mojego ojca stał w pobliżu domu pana Ślepego-Pawła, i w święta, wieczorem na mnie najzwyczajniej spadał obowiązek spraszania gości na herbatę. Rozumie się, biegłem najpierw do pana Ślepego-Pawła, wpadałem jak z procy do cichej izby, w której ociemniały siadywał wprost drzwi, pod różnobarwnym szeregiem wizerunków świętych Pańskich, do których cokolwiek był nawet podobnym,— i stając przed nim recytowałem tchem jednym:

— Ojciec prosi pana Ślepego-Pawła, żeby pan Ślepy-Paweł był łaskaw przyszedł dziś do nas wieczór na herbatę.

— Dobrze. Proszę powiedzieć panu Bazylemu dobrodziejowi, ojcu waszmości, że przyjdę dziś wieczór na herbatę.

I z temi słowy, pan Ślepy-Paweł wyjmował z bocznej kieszeni rudego surduta czerwoną chustkę, a z pod niej kilka miętowych okrągłych cukierków, które trzymał jak na zawołanie; regularnie mnie niemi obdarzał w poselstwach tak uroczystych. Na herbatę wieczorem pan Paweł przybywał najpункtualniej o umówionej godzinie; wchodząc, kłaniał się czy był kto w pokoju czy nie było nikogo, i siadał na niezmiennie obranem miejscu. W towarzystwie liczniejszym mówił mało,

zajęty zdaje się głównie bacznością na stosowane do siebie pytania; odpowiadając, pocierał czoło okolone wieńcem jasnych posrebrzanych włosów. Ożywał się dopiero wtedy, gdy sam na sam z ojcem pozostał, co się zdarzało często. Lubili się z sobą. Ojciec, popijając herbatę z rumem, słuchał; pan Paweł, przesiadłszy na kanapę przy nim, opowiadał. Cudnie opowiadać umiał: historye rozmaite, z krajów różnych, z czasów różnych. Zasnęty w ciemniejszy kąt, słowa jednego nie traciłem.

Opowiadanie niniejsze, z życia samego pana Ślepego-Pawła, tą właśnie drogą powstało. Dla wspomnień tych, wskrzeszonych w czasach daleko późniejszych, zebrałem więdnące już w mej duszy—a czarowne niegdyś w ustach pana Pawła kwiaty uczuć. Czy ocaliłem cokolwiek z ich barw i zapachów? Nie wiem. Ale zdarzenie powtórzę wiernie.

\* \* \*

Czytelniku proszę o jedno: o uważny sąd o rzeczy. Z niektórych bowiem ustępów wydaćby się mogło, że opowiadanie nie jest wszędzie ożywione duchem zgody i miłości,



tak potrzebnej, tak koniecznej we wszystkich stanach, we wszystkich mniej lub więcej wybitnych plemiennych lub religijnych odcieniach społeczności naszej. Przypuszczenie byłoby błędne i grubo niesprawiedliwe. . Nikt goręcej i serdeczniej nie czuł niezbędności tego braterstwa i tego wzajemnego poszanowania praw i godności między *wszystkimi* ziemi naszej synami—przybranymi czy rodzonymi—nad naszego pana Ślepego-Pawła. Jeżeli zaś w opisie ciemniej to nie raz wychodzi, to dla tego, że żywe słowo ludzkie posiada pewien koloryt... którego litera na papierze czarna—nie ma.

*T. Hodi.*

Paryż, 19 marca r. 1881.

---

## I.

.....Z Dyonizym byliśmy na trzecim uniwersyteckim kursie, gdy nadeszła wiadomość o zgonie jego ojca. Krótko donosił o tem rządcą. Jeśli dobrze pamiętam, powiadał tyle tylko i w tym guście, że nieboszczyk dziedzic, świeć Panie nad jego duszą, przeziębził się na polowaniu i ducha Bogu oddał, opatrzon ŚŚ. Sakramentami. Szerzej natomiast pisała Joasia, siostra Dyonizego, mieszkająca podówczas przy swojej ciotce staroście Ciechanowieckiej, w Białymstoku. Z jej listu dowiedzieliśmy się przynajmniej, że z pogrzebem wstrzymano się do naszego przybycia; ciało złożono tymczasowo w sklepach pobliskiego miejskiego kościoła. Dyonizego starała się Joasia pocieszyć; nie rozwodziła się ze swoim smutkiem, zgon ojca przedstawiła spokojnie, krótko; donosiła, że rodzic zostawił testa-

ment, a umierał przytomnie, wzywając i błogosławiąc dzieci po imieniu. W końcu dodała, wyraźnie na moją intencję: „Przybywajcie najspieszniej, ty i pan Paweł, który spodziewam się, że wie, iż należy do naszej rodziny.“

Tegoż dnia, wzięwszy ekstrapocztę, opuściliśmy Wilno.

Marzec zmierzał ku końcowi. Chłodu nie było; jedynie resztki zlodowaciałego śniegu bielejące po rowach, po dołach, zimę przypominały tu i owdzie. Droga szła równo, gładko. Poprzedni tydzień przymrozków zrana, a słońca we dnie, podsuszył grunt z roztopów przedwiosennych. Po wzgórzach drżały pierwsze puchy traw. Bryczka pędziła szybko, znacząc bieg swój nieustającą linią dzwonka, rozlegającego się monotennie po szarych przestworzach.

Jadąc, dumiałem nie wesolo. Zgon dziedzica Niewyhrycz był dla mnie wypadkiem dotkliwym przede wszystkim dla tego, że mię ostatecznie i stanowczo teraz odziewał żałobą najprzykrzejszą z tych wszystkich, jakie, choć tak młody, znosiłem w życiu: żałobą dworską.

Drażliwy stosunek wywiązywał się ztąd do Dyonizego. Wzięty w opiekę przez jego rodziców, sierota po matce i ojcu, proboszczu

cerkwi niewyhryckiej, uważany byłem w ich możnym domu, dopóki żyła matka Joasi i Dyonizego, pani dobroci i łagodności zaiste anielskiej, za „swego“, niemal za syna. Po jej śmierci, położenie moje głęboko się zachwiało, pomimo, że w warunkach zewnętrznych, na pozór, zmiany nie było żadnej. Kończyłem z Dyonizym gimnazjum, i lubo osamotniony dziedzic, posrożawszy odtąd dla wszystkich, mniej przez to i dla mnie był łaskawym, przecież szorstkość jego obejścia dopiero podczas krótkich wakacyi dawała mi się nieco we znaki. Nie bodła jednak, nie krwawiła. Na to wszak stary pan był panem, powtarzałem sobie nieraz. Lecz oto panem zostawał od tej chwili kolega, towarzysz, początkowo prawie uczeń. Wdzięczność, niegdys tak sercu miła, droga, gdy ją w powrotach ze szkół na święta składało się u stóp opiekunki, zaciążyła mi naraz kamieniem w piersi. Wieść o zgonie dziedzica Niewyhrycz odezwała się we mnie, pierwej nim smutkiem, upokorzeniem jakimś. Uraziła mię myśl sama, że jestem dziś na jego łasce... na łasce Dyonizego.

Niekoniecznie na jego, mówiłem teraz w duchu. Już od roku zaczynałem pracować na własny chleb. W Wilnie znalazłem parę pry-

watnych lekcyi. Miałem-ci i zapas pewien, umieszczony na plebanii niewyhryckiej, sumkę obliczoną okrągłe za pozostały po rodzicach inwentarz i parę morgów gruntu. Czas jakiś plebania przechodziła z rąk do rąk nie stale; lecz oto od roku osiadł na niej przyjaciel lat dziecinnych, ksiądz Faustyn. W razie czego, wezmę od niego pieniądze, wrócę na uniwersytet, skończę studia. Myśl ta pokrzepiła mię nie mało. Uśmiechnąłem się nawet na wspomnienie Faustyna... „Fatiek“ księdzem! gospodaruje na miejscu mojego ojca... Poczciwe homo, ale oryginał z niego wyjść musiał, oryginał! Posiada już dzisiaj co najmniej piętnaście języków, i żadnym należycie nie włada. Wymowę miał zawsze okrutnie ciężką, a pamięć szaloną. Ożenił się! proszę—i jeszcze z panną Tatjaną. Ciekawa rzecz jak z sobą żyją. Siostra Taci, Micia, przy nich chyba. Najpewniej; pisała coś raz o tem Joasia. Ładne musi być dziewczę. Wyrosła przez te dwa lata. Widziałem ją po raz ostatni... zdaje się, że w Podbielu, na odpuscie. Czy mię pamięta? Czy przypomni?—Ba! zobowiązaliśmy się przecież korespondować z sobą—co miesiąc czy co tydzień?—zapomniałem. Biedna! Izy miała w oczach przy pożegnaniu. Prawda, że co tylko, poprzedniej wiosny,

zrzuciła była krótką sukienkę. Obojgu nam zresztą mogło się wówczas wydawać, że przyrzekamy sobie to, co w istocie czujemy. Ha! da się to widzieć... Ale dziecko z niej z pewnością było szlachetne, dobre, trochę może za wesołe. Czemuż zaniedbałem podtrzymać stosunki listowne?—Miał słasność filozof genewski: ludzie nie są ani źli, ani przewrotni od natury; lekcy tylko, lekkomyślni. Cokolwiek, w dodatku, kłamcy; kłamią najczęściej bez celu. Bezmyślnie oszukują innych, bezmyślniej siebie. Po co? dla czego?

Westchnąłem.

Jazda była męcząca, podróż długa, bez końca. Dzwonek jęczał bezustanku. Przelatywały przed oczyma słupy wiorstowe i karczmy przy drodze, o połatanych strzechach, o dziurawych, drzazgami i papierem pozaklejanych szybach. Wsie drzemały zdala, ciemne, do ciemnych pól przytulone. Gdzie niegdzie, zrana, rozległ się głos sygnaturki ze śnieżnie połyskującej wieży kościelnej, lub psy wypadły, rwąc zębami za koła, pryskające wilgotnawym żwirem. I znów samotny tylko odgłos dzwonka rozpędzał się po obnażonych zagonach lub w tysiączne kawałki rozsypywał się po lasach bezlistnie czekających letniego odnowienia. Znikały coraz bardziej

leszczynowe wzgórza żmudzkie; zasuwaliliśmy się w mokre piaski Merecza, puste, długie, nudne. Szczęściem, że pogoda sprzyjała wciąż, a pocztylioni, ostrzegani każdy przez swego poprzednika o sowitym napiwku, raźnie zaciinali konie. Obrzuceni byliśmy kurzawą pagórków i błockiem nizin.

Dyonizy milczał—lub drzemał. Stawać na spoczynki nie mogliśmy, nie wypadało. Trzeba było śpieszyć. Na noc braliśmy powozy kryte, gdzie takowe dały się odszukać. Futra zabezpieczały od zimna. Lecz spało się niewiele. Znużone, zwierające się powieki raz po raz rozkleił to wybój, to kamień. W Grodnie jednak musieliśmy się zatrzymać, posilić się ciepłym jadłem, przeodziać się, zakupić trochę wiktuałów, wypróżnić uszy z podróznego pyłu i dzwonienia. Dostatnia była tego miarka!

Świeżej się odtąd spoglądało przed siebie. Powietrze, jakby się wdzięcząc nawzajem, przybierało, w miarę posuwania się naszego na południe, łagodniejszy ton i oddech; ziemia stawała się weselszą. Dyonizy jednak dłuższej rozmowy ze mną nie zaczynał; unikał jej może nawet. Siedział odwrócony bokiem, wpół zadumany, wpół smutny, więcej jednak zadumany niż smutny. Nie przerywałem mil-

czenia; szanowałem te rozmyślania kolegi, który zapewne ze swojej strony, on również, rozważał nowe swe stanowisko, przymierzał nowy swój zmieniony do świata stosunek. Widziałem, że chmurzył—to wypogadzał oblicze, którego wrodzona czerstwość i wesołość, powlekły się teraz wyrazem jakiejś nieznaney mi w nim przedtem powagi. Ciemne nocne spojrzenie uparcie trzymał skierowane przed siebie, w dal. Błądził po odległych widnokręgach. Najwyraźniej się przytem niecierpliwił dystansami, zmniejszającemi się stopniowo tylko, powoli, wiorsta za wiorstą. Gniewał się gdy pary nad końmi nie widział, Po kilkakroć sam brał bat do ręki. To znowu, niepamięcią chcąc sobie skrócić pozostającą odległość, okręcał się w futro, zasuwał się w kąt powozu i znaku życia nie dawał. Czyściej za to potem odchrząkiwał, gdy obudzony, dowiedział się, żeśmy znów jedną stację za sobą zostawili.

Jedna po drugiej, zbliżyła się oto i ostatnia. Byliśmy na granicy białostockiego i naszego powiatu. Trzy tylko mile oddzielały nas od Niewyhrycz. Trzy wieki, rzekłbyś, dla Dyonizego. Przed pocztą, nie wytrzymał —zeskoczył z bryczki, sam konie zaprzęgać zaczął, odepchnąwszy starego posługacza, który rze-



czy brał z flegmą, mogącą się uzasadnić jedynie w wypadkach zwyczajnych.

Zgromiony woźnica siarczysty brał teraz odwet, dosiadłszy kozła, na najpiękniejszej „trójce“ jaką kiedykolwiek Wojszki posiadały. W powietrzu się niosła bryczka, pływała. Dzwonek zachodził się od gwałtownych uderzeń serca, i przesilony, często stawał, bełkotał coś niezrozumiałego, aż w końcu milknął na chwilę, niemogąc dojść do słowa. Prawda, że gdy następnie dotapał się w gębie języka, to trzeba było żałować, że w Grodnie pył z uszu się wytrzęsło.

Dyonizy z początku rozpromieniony od tych hałasów, naraz sposepniał. Przejeżdżaliśmy właśnie mosty na Narwi przy Ploskach. Czy ich dudnienie pod kołami skaczącej bryczki obudziło w nim zgryźliwą jaką z przeszłości nutę? Tędy właśnie ze szkół na święta i ze świąt do szkoły przejeżdżaliśmy potylekroć przed laty, wożąc książki w jedną, a placki wielkanocne w drugą stronę. Czy te odgłosy i te wspomnienia wyrzutem jakim doń przemówiły?

Zwrócił się właśnie ku mnie w tej chwili.

Niepokojem tknięty, ostro podniosłem głowę.

Ale nie było nic. Nic co się zowie. Dyonizy jał tylko zwolna, cedząc przez zęby słowo

po słowie, upewniać mię, że skoro jeno załatwi pilniejsze sprawy, natychmiast wrócimy do Wilna. I ziewnął niewyspany.

— Bo widzisz, Pawle — mówił odrapując wąsy z piasku — ciężkie mię w domu czekają obowiązki. Nie wiem jaki jest stan interesów moich, jaka sytuacja majątku. Samemu trzeba będzie na razie dopilnować wszystkiego, w ruch wszystko puścić, dać gospodarstwu obrót cokolwiek żywszy, produkcyjniejszy. Zabierze to kawał czasu. Ale wrócimy, z pewnością wrócimy...

Nic nie odpowiedziałem. Nie miałem powodu nie wierzyć otwarcie tym słowom. Zrobiły jednak na mnie wrażenie niedobre. W głosie kolegi posłyszałem jakąś konwenansową pustkę jeśli nie co gorszego. Zkąd? za co? Przyjaciołmi od serca nie byliśmy nigdy; co do tego, zgoda. Ale zdawało mi się, że Dyonizy, w ostatnich zwłaszcza czasach, miał aż nadto dowodów rzetelnej z mojej strony życzliwości, by nie potrzebował cdzywać się dziś do mnie tak oto urzędownie, sucho, etykietalnie. Dawniej, przyznaję, istniał między nami lekki cień czegoś podobnego do zawiści. Zjawisko pospolite w kolegach nierównej umysłowej mocy. Lecz w uniwersytecie, czyniłem wszystko by te różnice wygładziły się same, czy to na

egzaminach, czy w pożyciu domowem lub towarzyskiem. Nie tracił na tem Dyonizy bynajmniej. Wiedział o tem dobrze i sam on tylko wiedział — nikt więcej. Zresztą, jeśli nawet zostały ślady przewagi jakiegokolwiek — czyliż dziś, Parki z Fortuną w zgodzie, nie przesypały tej przewagi aż przez wierzch na jego szalę? Za wiele zdrowego rozsądku posiadał Dyonizy, aby na kompensatach tego rodzaju się nie znał, lub niemi lekceważył; dość zaś, sądziłem, zacne i szlachetne miał serce, aby wzięwszy oto tak widoczną nad kolegą górę, poprzestać mógł na niemem, cichem jej uznaniu przez dawnego rywala .. rywala o nagrody szkolne, zapomniane, zbutwiałe dzisiaj...

Czegoż chciał teraz? czego mu brakowało?

Więc nie omyliło mię przeczucie? Więc wrażenie doznane na wiadomość o zgonie starego dziedzica Niewyhrycz wpływało nie z czezej, przesadzonej we mnie drażliwości? Więc istotnie sam Dyonizy zapragnął oto dać mi poznać, że jestem na jego łasce?

Czarne dumy znowu zaraz nasunęły mi na duszę. Na seryo teraz począłem obliczać, ile to z plebanii grosza wyciągnąć mogę i mam prawo. Ksiądz Faustyn — zapewniałem siebie — człowiek wszak stateczny; odda. Niezawo-

dnie odda, gdy mu rzecz całą jak jest wy-  
łuszczyć...

Gorycz atoli z serca nie schodziła obecnie z równą skwapliwością jak poprzednio, na wspomnienie i miły obraz Faustyna, Tatjany, Mici.

Za mętym a bladym tylko korowodem zakrzyły one po głowie w chaotycznym wirze trosk powszednich, lichych. Marność i chłód życia spojrzały mi w same źrenice. Pożałowałem że Wilno opuścił. Gdyby mrówczy dreszcz taki przejął mię był w połowie drogi, wróciłbym pieszo. O, nie! — mówiłem w duchu — nie klęski i nieszczęścia zdzierają z nas świętą do ludzi ufność i wiarę — najdroższą, najczystszą tę suknię duszy. Przeniewierstwo, zdrada — zabije, gdy w głąb serca ugodzi. Z niesprawiedliwością, oszczerstwem, człowiek się mierzy, do walki staje jako wróg z wrogiem. Ale jak, czem się opędzić mszycy tej obrzydłej co na nas spada pleśnią zawodów, rozczarowań mialkich, gładkich, śliskich, obojętnie przyzwoitych?

Jednej z dwu rzeczy spodziewałem się od Dyonizego w dniu tym, przed wjazdem do Niewyhrycz: albo szczerego, gorącego uścisku dłoni na dozgonne braterstwo, albo niemniej otwartej spowiedzi i rozrachunku na wieczny-

sty już rozbrat. On obrał tymczasem rozwiązanie nijakie. Ludzie jego temperamentu i jego położenia, czyliżby na świat przychodzili w rękawiczkach ciełęco-cielistych, do zera ciepła sprowadzających zarówno krwi nadmiar jak i jej brak?...

Myśli tych przykrych nieskończony wątek nie wiem dokąd byłby się rozwijał, gdyby ich nagle nie przecięło głośnie zapytanie starego woźnicy, skierowane do panicza:

— Jak panicz każe: poprzecznica czy przez chutor?

— Poprzecznica — odrzekł Dionizy — rozumie się.

— Droga, panie, piekielna, choć bliższa...

— Popędzaj! nic nie znaczy!

A więc dotarliśmy nareszcie! Jesteśmy już prawie jak w domu.

Czemuż nie każdy w swoim!

Bryczka, ostrym zawrotem w lewo, wpadła z gładkiego gościńca na kamienistą drogę uboczną. Dzwonek pocztowy zmylony w takcie, urwał śpiew zwyczajny i począł wrzeszczeć bezładnie na grudach wąskiej kolei. Ocknąłem się. Smagnięte raz jeszcze konie, wyrzuciły w górę ogniotrysk gliny miękkiej, świeżej. W promieniach dążącego ku zachodowi słońca zabłysnął on złotem. Zagony tu na

Podlasiu okryte już były sporą warstwą zieleni. Mieniły się właśnie w tej chwili z końca w koniec barwami świeżości wiosennej, wiały zapachem uprawy wiejskiej, zdrowej, rzeźkiej. Powstałem z siedzenia. Wszystkie odgłosy lat młodocianych, wszystkie westchnienia duszy czystej a gorącej, wszystkie łzy rzewne — po matce, po ojcu, po opiekunce drogiej — podniosły się na skrzydłach oddechów ziemi i spojrzeń nieba, i szły z uściskami na nasze spotkanie.

Patrzyłem. Cały niewyhyricki obszar niw, łąk, lasów, biegł ku nam. Nie widać było załoby na nim. Unosił się owszem rozradowany blaskami pogody. Na prawo, w błękitnawych mgłach widnokręgu, mrugała, w okryciu z połysków srebrnych, blaszana dzwonniczka; wetkniętą była, niby w obłok ciemnawy w dach szary, gontami kryty cerkwi naszej sędziwej. Plebania trzymała się przy niej, poniżej na lewo. Odwieczna siedziba mych przodków, przez połowę w tej chwili zasunięta za gęsty splot drzew, siedziała oto na żółtawej krawędzi wzgórza, smętna jakaś, uboga, pochylona. Tuż za nią, na świetlanym wycinku nieba, między sadem probostwa a cerkwią, sterczał wiecheć narożnego szczytu stodół, z wyciągniętym w pobliżu dziobatym zórawiem, trzymającym straż

czujną. Ileż dotąd nieborak bezemnie wody wydzwignął i dla kogo? Wydało mi się, że widzę przy krypcie drewnianej, oszlamionej, mchami i zielskiem porosłej, zacną naszą Paraskę w białej koszuli, pojąca konie, w zastępstwie zapracowanych parobków. Paraska wiem że żyje. Lecz co się stało z ulubioną jej „siwką”? Żebrami może robiąc, piasek gdzie wozi żydom... Odwróciłem ómiące się oczy... Bardziej w lewo, na wschód, gdy wzrok kotlinę przeskoczył, rysowały się splątanemi zygzakami chaty, stajnie pańskie, obory, a w ich środku, odsunięty nieco na pagórek, widniał na tle gęstego ogrodu dwór biały, pokryty czerwoną dachówką gorejącą od słońca. Nie-wyhryczel Dwór i plebania!—Z jednej strony ten, tamta z drugiej. Pośrodku wąwóz. Siwa wstęga rzeki, roztoczona na jego dnie, a ciągnąca się w kształcie odwróconego S od wschodu, po za dworem, na zachód przed cerkiew, oddzielała właśnie dwór od plebanii i cerkwi... Tak jest, ona dzieliła, Czarna! ukochana nasza Czarna!

Spojrzałem na Dyonizego. Patrzył właśnie na mnie.—Razem wyciągnęliśmy ku sobie dłonie. Niegasnące przywiązanie do miejsc rodzinnych, najsilniejsze, najtrwalsze z uczuć ludzkich, zjednoczyło w tej chwili nasze du-

sze. Obaj byliśmy głęboko wzruszeni. Z pobudek może tych samych. Lecz pobudki nasze zna i widzi jedynie Wszechmocny!

Milej jednak i weselej zrobiło mi się znowu na duszy.

Dwór zastaliśmy pusty, z pozamykanemi okiennicami. Służba przeniosła się do małego lamusa nad Czarną, gdzie przed laty było moje mieszkanie. Starościna z Joasią, krewni, bliżsi przyjaciele, od dni kilku siedzieli w miasteczku, w którego parafialnym kościele złożone były zwłoki nieboszczyka, oczekujące na paradny pogrzeb.

Dyonizy nieschodząc z bryczki, zwięźle powitał czeladź i zbiegającą się gromadę wiejską, rozpytał rządcę o szczegóły domowe, i nie przyjąwszy posiłku ofiarowanego przez ochmistrzynię, która w jednej spódnicy wybiegła na powitanie młodego pana, dał woźnicy rozkaz jechania do miasteczka. Powóz dworski miał za nim w ślad wyruszyć niezwłocznie. Ja stałem już na ziemi, wyciągając swoją walizkę z pod kozła.

— Nie jedziesz ze mną?—spytał kolega.

— Zmęczony ogromnie jestem, kochany Dyonizy...

— Jak chcesz... Do widzenia! Wszak jutro?... Pogrzeb dopiero, z powodu święta, pojutrze...



Gdy bryczka była na zwrocie, dodał głośniej, do służby:

— Przygotować pokój dla pana Pawła w lamusie, na górze.

Ręką zdala pożegnał wszystkich, i popędzili.

Odetchnąłem.

— Wieczór był ciepły. Słońce wisiało nad samym laskiem brzozowym, obrzucając gorącymi blaskami cerkiewkę na wzgórzu, i przeglądając się w oknach plebanii. Na drodze do miasteczka, sunącej pod samym laskiem, zkąd w lewo odszczepiała się grobelka wiodąca przez Czarną ku cerkwi,—unosily się lekkie kłęby pyłu za odjeżdżającym.

Na grobli było pusto.

---

## II.

— Pogrzeby, same pogrzeby w życiu! — rozmyślałem oczekując na wyprzątnięty pokój — Tu najprzód, we dworze, pani, teraz stary pan; tam za rzeką, ojciec, za nim matka... Siostra tylko sama, ona nieszczęśliwa zgasła zdala od swoich. Lecz w jakich warunkach, w jakim opuszczeniu! Dobrze przynajmniej, że niewielu z ludzi wie o tem, a reszta... Reszta już się przyzwyczaiła, i ma to za rzecz prostą...

Zaprawdę, w dziwną popadliśmy poniewierkę. Zkąd, dla czego, za czyje winy? I co szczególniejsze, że się to dzieje wśród tych — i przez tych, którzy u siebie, wśród swoich, we własnym domu, żyją zdaje się najprzykładniej... Z pamięci chyba pokoleń, z ich sumienia wyszło, że przecież duchowieństwo tej ziemi wschodniego obrządku, to kość kości naszych — dusza, natchnienie nasze własne, a oby-

czaj, słowo, rytuał—bratnie! Bo czyliż mam ci dowodzić, panie Bazyli dobrodzieju, że w żyłach niejednego z nas płynie stara dobra krew szlachecka, i że chrzestne metryki twoich pradziadów z XV-go i XVI go wieku, mieszczkańskie metryki Daniłowiczów, Jaroszewiczów, Onaczewiczów, Tokarzewiczów, noszą na sobie podpisy Kuźmińskich, Bielawskich, Giżewskich, Kolczyckich, niczem nieustępujące, niczem niegorsze od mniej więcej autentycznych dzisiejszych?...

Nie myślałem, nie myślę na wszystkich składać odpowiedzialności za grzechy... może indywidualne. Położenie kraju, rozum lub nierozum publiczny, nie wiążą się wprost, koniecznie, z biegiem losów osobistych—ale się jednak wiążą. Życie społeczne, zbiorowe jest jako światło powietrzne, a nasze marne, pojedyncze stosunki ziemskie, to niby owe biedne nasionka roślinności kielkujące w glebie. Zkąd urodzaj lub nieurodzaj?—Taki był rok, takie były nieba!

Nie zmieniłem w tej mierze przekonania. To samo myślałem wówczas, to samo myślę dzisiaj... Więc też smutno mi było, i smutno jest. W złą godzinę przyszliśmy oto na świat, miłościwy panie. Przenosimy dziś na sobie najniewątплиwiej najciemniejszy okres dziejów.

Rozprzegły się dawne związki, wyrosłe trybem przyrodzonym, nowe zaś wyobrażenia... mającą dopiero nad kolebką przeczuć. Wiek pierwej, ćwierć wieku później, możeby było inaczej—nawet ze mną. Ale w owej porze, o której mówię, dla wykolejonych mijał akurat czas łatwego wybiegania na manowce... wdzięczniej się uśmiechające, gdy tymczasem ani jeszcze widać było tej drugiej doby, w której wyjątki tylko—zawsze mniej więcej złamane i cierpiące—one tylko coś znaczą...

Lecz trudno! Nikt nie zbada wyroków Bożych! Skarga na to, co się według nich stało lub stanie, byłaby daremną...

Nie mówmy o tem!

Nie długo też, zresztą, i wtedy, przysiadłszy na tym ganku niewyhyryckim, „horowałem“ nad sobą i swoim losem... popowiczowski...

Spojrzałem na lasek, poruszający się na słonecznem niebie jako wachlarz, który gałęzie rysowały w rozmaite litery chińskie; przypomniałem sobie wieś, jej starostę „Welikaho-Iwana“, jego pocziwą Jagusię co nam kiedyś jagody przynosiła; obejrzałem się na cerkiew, na jej dach omszony, zielonkawy, nakrapiany białymi liszajami—na plebanię, w której była Tacia, Faustyn, Micia, jeśli gdzie po nieszp-

rach nie wyjechały... I zeskoczyłem z ławki, strząsnąwszy z siebie pył smutków. Zmęczenie zaś, z odjazdem Dyonizego, samo gdzieś odleciało.

We dworze nie miałem nic na razie do czynienia. Kazawszy tedy rozpakować rzeczy wyjęte z bryczki, przebrałem się naprędce, i wyszedłem. Dziedziniec był opróżniony. Służba ręczo uwijała się w środku domu i przy stajniach. Otwierano okiennice, przewietrzano pokoje, wyłaczając je ostatkami rumianego słońca. Już prawie zachodziło. Lasek brzozowy w długie smugi kładł się na murawę, przetkaną gdzieśgdzie czerwonymi oczkami światła.

Grobla była pusta. Cisza wisiała nad nią. Podążyłem w tamtą stronę.

Drzwi cerkwi stały otworem. Resztki uciekających wieczornych promieni prostopadle wciskały się przez nie do wnętrza świątyni, nierozświetlając ciemnej jej głębi. Przy drzwiach stała miotła oparta o ścianę, obrócona wiechciem strzępiastym do góry. Tuż dzban wielki. Pomyślałem sobie: pewnie stary Klemens „panomarz“ cerkiewny (jeśli go nie zmieniono i jeśli żyje) świeczniki z pyłu jak dawniej opędza, podłogę skropioną rześiście zamiata, jedlinką ją, przed świętem, posypuje.

Był bowiem przeddzień Zwiastowania N. Panny. Czekano we wsi na przybycie bocianów.

Postępowałem zwolna, bo droga była krótka, a na niej wspomnień tysiące. Chcąc nie chcąc, tłumnie zbiegały się uczucia do duszy. Odświeżał je w pamięci każdy drobny szczegół spotkany. Mostek dziurawy na Czarnej, tak, że tu zawsze jechać trzeba było stępa, spruchniałe po bokach poręcze, które się niegdyś rzeźbiło scyzorykiem szkolnym, kamień rosochaty wrosły w ziemię, cel pociskom moim i Dyonizego, w czym nie przy mnie zwykle zwycięstwo zostawało; lipa wyniosła pod samym wzgórzem, u końca grobli, okrywająca cieniem pas ziemi wygładzony akurat jak do wielkanocnej gry w „piski“,—wszystko to razem lub po kolei stawało przed oczyma w jasnej, porannej obłoczy wieku dziecinnego, migotało odblaskiem niewinnych figlów, zabaw, psot, i dotkliwszych cokolwiek guzów.

Wszedłem po piaszczystej drodze na pagórek.

Z cerkwi wylaziło, noga za nogą, białe kudłate psisko, czmychające na światło. Za nim pokazał się ornat, drogiemi kamieniami kapiący w roziskrzonem słońcu, do połowy już schowanym pod ziemię. Za ornatem szedł

kożuch, biały przed laty i biały teraz na tle czarnego wnętrza cerkwi, a ujęty w pas wełniany, który był niegdyś koloru ciemnozielonego. Psisko stanęło, podniosło łeb, zastrzygło uszami. Z pod kożucha tępo szczeknęły grube podkówki, uderzone o wyslizgany kamień przed progiem cerkiewnym. Poznałem; byli to Klemens i Kanis. Najrozumniejsze a pewnie i najstarsze w okolicy stworzenie, i człowiek najpocziwszy. Towarzysz i piastun. Który towarzysz? który piastun?— w zamętach to przeszłości tonęło. Nie rozróżniałem jednego od drugiego w tej spółce, najdroższej może, po spólności rodzinnej, ze wszystkich w życiu. I ten i tamten, i pies i człowiek, pospołu lub luzem, na grzbietach mię swoich wynosili, wyniańczyli, hodując oto... na niedolę.

Psisko, spojrzawszy w moją stronę, szczeknęło niewyraźnie raz i drugi, rzekłbyś: pytająco.

— Kanis! zawołałem.

Pies skreślił się w bok, w tył, jakoby kogo szukał, z tropu zbity. Powtórzyłem głośniej:—Kanis!—Pies stanął znowu, grzbiet wyprężył, pysk przed siebie naprzód wyciągał—i naraz pełnemi czterema łapami, sko-

wycząc, we mnie uderzył. Nie pomylił się, to byłem ja.

Żywo, nie bez wzruszenia postąpiłem ku Klemensowi. Otrząsał właśnie ornat. Na podaną sobie dłoń, przygasałem, bezmyślnem obrzucił mię spojrzeniem. Biedny! Twarz miał obrzękłą, grubą, burakową. Błyszczała jak obłana politurą. Oczy wpadłe. Chłodem bolesnym oblał mię ten widok. Zagadnąłem jednak starego panomarza:

— W domu ksiądz jegomość?

— He? — odparł szczerząc zęby czarne. Odwrócił się i ornatem raz drugi strząsnął, że się aż zakurzyło.

Bez tego „he“ byłbym na śmierć zapomniał, że niewyhrycki nasz dzwonnik, jako ów notredamski, również był głuchym. Książka cudza, jedyna zapewne w Wilnie pod owe czasy, swoją mi historję dopowiedziała. Istotnie, miał i Klemens swe dzieje; ich Esmeraldą była obłąkana. Zwaliśmy ją przed laty, nie wiem napewno z kąd, nie wiem dobrze dla czego: Koi-Babą. Wieszczką była. Znaleziono ją pewnego poranku nieżywą na „wypustach“ niewyhryckich. Płachtą jedynie białą, jak śmierć, była odziana. Dramat prawdziwy! Szkoda tylko, że Klemens kończył go oto



inaczej niż Quasimodo: po naszymu (1). Wspomni się może kiedyś o tych wypadkach.

Z Kanisem tedy tylko, samowtór, poszliśmy obejrzeć z cmentarza, dokoła cerkwi, pola i zabudowania—niegdyś nasze, wspólne.

W prawo, na południe, ciągnęły się po same szwedzkie mogiły, aż do gruntów wiejskich, w dół Czarnej, niewyhryckie wygony i pastwiska. Miejsca odludne, niebezpieczne. Nigdy w te strony chłopcy na nocleg z końmi nie jeżdżą. Przesąd, pospołu z baśnią po nich się włóczą, swarząc się i gwarząc. Na tych tu moczarach, wykwitających miejscami w łąki przepyszne, stała, jak wieść niesie, za czasów dawnych, ostatnia świątynia pogańska. Zapadła się, wraz z garstką niechających się poddać Jadźwingów. Odtąd, powiadają, każdego roku, gdy dzwony na resurrexit uderzą,

---

(1) W tem miejscu pamięć p. Ślepego-Pawła, widocznie, go zawiodła. Książkę tę opowiadający przypomniał sobie w chwili opowiadania, nie zaś w chwili zdarzeń opowiadanych. Złudzenie to, często się zdarzające. Książka cudza o Quasimodzie wyszła na świat w r. 1831, lat temu okrągłych pięćdziesiąt, zdarzenia zaś z p. Pawłem zaszły najoczywiściej około r. 1827 lub 1828. (Przyp. Autora.)

dość ucho do ziemi przyłożyć, by pod nią posłyszeć głuche szemrania, na które zdala, w powietrzu, odpowiada radosna pieśń żyjących: *Chrystos woskres!* Tu również, na owych blockach, w noc jasną, dojrzeć możesz z dzwonniczki niewyhryckiej duch Koi-Baby, owinięty w płachtę śmiertelną. Zanim kur zapieje, wstaje nieszczęsna, chwieje się i zatacza, pijana pewnie od wieszczb ciemnych, nieodgadzionych, lub od niespełnionych za życia obietnic, które światu poczyniła.

Za cerkwią z tyłu, w czworobok zwarte, chyliły się ku sobie, niemoc swą i starość wzajem podpierając „kłunie księżowskie“, stodołami gdzieindziej zwane. W nich niegdyś, wysyłany przez rodzica dla doglądu młocki, smacznie zasypiałem, w porankach życia, nad Iliadą Dmochowskiego. Niema dla sławy i dla marzenia pościeli nad pościel ze słomy zmłóconej na podściół. Bił wtedy Klemens w dzwony czy nie bił, huczały cepy czy gromy nad ziemią, burzą czy kurzem sypały się państwa i narody, wszystko mi tam było jedno: świat zawsze młodo śnił się młodemu, zawsze radośnie i pięknie wyglądał, ubrany codzien w szaty godowe, szczęśliwy codzien, dobry i uśmiechnięty. Przy kłuniach, w pobliżu, kiwał się na deszcz i pogodę zó-

raw z wierną towarzyską kryptą, poszczerbioną, popekaną, wiecznie skwierczącą, czyś ty w nią—czy ona z siebie wodę lała. Przyjaźń ta krypty z żórawiem niezłomną była, niezachwianą, a co dziwniejsze—bez zazdrości dla małżonki-studni. We troje oto razem się z sobą splotły, zżyły, postarzały, posiwiały, poźółkły, pozieleniały, poczerniały. W tej chwili nikogo przy nich niewidać. Umilkł żóraw, usnęła z suszy na słońcu krypta i tylko studnia szmerze coś do siebie i przegląda się w głębokiem, stalowem lustrze swej wody. Słyszysz w niej klaskanie grubych kropel, kryjomo staczających się po zwiędłym ocembrowaniu. Płacze znać studnia po swej młodości wyczerpanej.

Od stodół na lewo, bo przez wąwóz Czarnej, rozwiera się widok szeroki, dostępny oku, dostępny wiatrom co tędy wiać nadlatują z zachodu na żyzne niwy i bujne łąki. Jak w panoramie oglądasz ztąd na dalekim widokręgu wąsate młyny, sine dąbrowy, wysrebrzane dróżki, wywierzbowane gościńce, czerwone dachy zaścianków i żółtawe strzechy siół z porozwieszanemi nad niemi wiankami lip i topoli. Lecz po co biedz wzrokiem za cudze aż miedze? Drugą połowę Niewyhrycz masz ztąd jak na dłoni. Po uścisk lamu-

sa nachylonego z tamtej strony rzeki, sięgnąłbyś ręką. Wybrzeża cerkiewne, ztąd wysokie; wybrzeża dworskie, ztamtąd, płaskie. Drzewa ogrodu niewyhryckiego policzysz z cmentarza po wierzchołkach. W ukryciu zostają jedynie jego ścieżki i kwietniki. Na straży ich tajemnic i czarów, zwłaszcza wiosennych, rozłożyły się po tej i po tamtej stronie, zielska i chwasty, z odsieczą, na zimę i lato, gęstych krzaków rozwieszonych wzdłuż Czarnej. Dostęp ku tym zaroślom od plebanii niepewny jest, zdradziecki; brzegi urwiste, a prąd Czarnej bystry, głęboki. Tylko Klemens i Paraska śmieiej zapuszczają się mogą w ten labirynt wądołów, nór, kryjówek szcurzych. Ona, każdego ranka wynosi tam popiół, sadze i kuchenne odpadki; on na wiosnę, przynosi ztamtąd co wieczór pęki tataraku i sitowia, któremi, jak słuszna, zastępuje, ku ozdobie posadzki cerkiewnej, droższą i trudniejszą do zdobycia jedlinkę.

Plebania zasiadła, podkurczona, o kilkanaście ztąd kroków, bardziej w lewo. Dwie ścieżyny biegły ku niej przez cmentarz. Wyraźniejsza, wilgotnawa, w zimie śliska, szła od stodół i studni; mniej wydeptana, ciągnęła od urwisk i dołów nadrzecznych, a zarazem, widłowym rozstajem przy kłuniach — od tak

zwanych „trzęsawisk popich“, rozłożonych za gumnami, kędy stoją stogi siana i słomy. Obie ścieżki zchodziły się plamą szarą przy ganku. Ganek też tylko plebanii, z kawałkiem jej strzechy i okopconemi kominami widzieć mogłeś z cmentarza. Reszta domu przezieriała gdzieniegdzie za ledwie, białemi tasiemkami otynkowana, przez ciemne sztachetki i zieleniejące krzewy sadu, przez karczki agrestów, malin suchych teraz jak patyczki i porzeczek rozpękających. Ganek! równiennik mój! On sam wśród ścian tych, dachów i ogrodzeń, mchem i śniedzią porośłych, a podpieranych i łątanych z lat dziesiątka na dziesiątek, miał prawo zwać się i był naprawdę—młodym. O białych grabinowych słupkach, opleciony łożyną, kryty dranicą, nie słomą, osłonięty powojami i winnemi liśćmi; przedstawiał tutaj, rzeczy można, odrodzenie smaku w tradycyjnie zaniedbanem naszym budownictwie wiejskiem. Wyglądał jak do wyjścia—nie na cmentarz cichy i ponury, lecz na jasną szerzyznę świata. Stałem przed nim, oglądałem go a jeszcze całej jego piękności zewnętrznej nie mogłem widzieć za tumanami obrazów, jakimi z niego przemawiała ku mnie przeszłość, tak bliska zdało się, tak świeża, wczorajsza prawie. Roilo się na nim

od uroczystych powitań, śniadań, herbat, podwieczorków, które tu w latach mojego poniewowłęstwa roztaczała hojna niezamożność rodziców moich. Miejsce niemal historyczne, prawdziwa sala audyencyonalna plebanii, jej urzędowa izba przyjęć, a zarazem przytulna słowiańska świetlica narad poufnych. Ileż par czułych, zanim stanęło przed ołtarzem, tu w obec proboszcza, przysięgę sobie wieczystą złożyło! Ile imion chrzestnych pierwszej ztąd niż z kropielnicy na świat wybiegło! Ile zawczasu skruszonych w tym przysionku wyznań, iść już później ze spuszczoną głową przed konfesyonał nie potrzebowało!

Zatrzymałem się.

Zjawisko nie zjawisko, sen nie mara—ganek i tym razem nie był bez oddechu, bez życia. Stał ktoś na nim. Już Kanis przed chwilą usiłował mię najwidoczniej opamiętać i jakby o tem ostrzedz. Pocziwe psisko aż dotąd niepomne na wiek, na lata, skaczące, skomlące, nagle zamilkło, i stanąwszy jak wryte, wywijało kitą, łbem kręciło, i wodziło się tak to ku gankowi to ku mnie z regularnością zegarowego wahadła. Widziało coś lepiej ode mnie.

Odstąpiłem na krok.

— Więc mię pan nie poznajesz?—ozwał się głos dźwięczny, młody. Ton jego znajomy, czysty, od razu padł mi na samo dno duszy, na złote piaski dziecięcych wrażeń, spoczywające pod wartkim i już mętniejszym potokiem dni późniejszych. Krew ciepła do serca mi przy płynęła. Przetarłem oczy. Ona to była, Micia. Lecz jakże na tle tych cieniów wieczora i przedsionka, z pod zasłon zadumy mej własnej, wydała się inną od dawnej,—słuszną, przystojną, piękną. Czołem sięgała wierzchołka grabinowej kolumnki ganku.

Odkrywając głowę, odrzekłem z miejsca:

— I nicby nie było dziwnego, panno Michalino, gdybym nie poznał.—(Głos napróżno trzymałem na uwięzi: drżał).—Błogosławione zaiste strony. Rośnie tu wszystko jak na szczęścia drożdżach. Wkrótce krainie tej aniołków zabraknie, anioły tylko zostaną...

— Nieprawdaz? — pochwyciła, wyciągając dłoń ku mnie.

— Ziemianie poginą wtedy...—dociągnąłem, postąpiwszy ku niej.

— Doprawdy?

Był wesoły odcień dawnej zartobliwości w tem „doprawdy.“ Odparłem jak należało. Serdeczny uścisk podanej dłoni nie potrzebował, zaręczam, głębszego potwierdzenia słów

moich, które dzisiaj wydają się suche jak z przedpotopowego zielnika, lecz które wtedy same rosły w duszy gorącej, niby na świeżej glebie.

— Jakże mi się pani miewasz?—pytałem patrząc w głąb tych oczu niegdyś figlarnych.— Co słyszeć u was? jak się wiecie? jak się szczęści?

— Dobrze. A panu, panie Pawle? Zdrowicie przybyli?... Widziałam was nadjeżdżających. Patrzyłeś pan w naszą stronę... nie taj pan, wszak prawda?

Nachylając się zaś, domówiła ciszej, znowuż do wtóru z dawno żartobliwym zacięciem:

— A tu, panie, jak na złość, Taci niema w domu. Co tylko wyjechała z księdzem.

Rozśmiała się. Tą swoją Tacią prześladowała mię od niepamiętnych czasów.

Lecz jakże była ładną! jak wspaniale wyniosła się w górę! Gdzie dziś do niej swawolnemu owemu dziecku, co to jak motyl lub szczygieł fruwało po prężnikach!... Pomyślałem to właśnie w duchu. Nieczekając wszakże długo, a uogólnwszy cokolwiek doznane wrażenie, podałem je zaraz dziewczynie niby na bukiet powitalny—oczywiście z powołaniem się jednoczesnem na niezatrącalność praw nabytych ongi, w dzieciństwie...



Michalina spojrzała na mnie bystro.

— Jak? — spytała. — Jak panie Pawle?... Nieza... tracialność?—Pomówimy zaraz o tem. Objaśnij mi pan znaczenie tego wyrazu ze stanowiska swoich... dwuletnich nauk. Niezatracialność! Wierzę bardzo. Gdyby nie pan Dyonizy, nie wiedzielibyśmy co się z panem dzieje. Piękna niezatracialność!

— Dyonizy?...—pochwyciłem. — Więc pan Dyonizy pisywał do pani?

Micia szybko dłonie usunęła, brwi się jej ściągnęły. Ale w mgnieniu oka twarz na nowo wypogodniała.

— A, panie Pawle!—rzekła z wyrzutem—czyś zawsze ten sam?... Dla czegoż do mnie?—Dwór i plebania, jak panu wiadomo, nigdy z sobą kotów nie darły, chociaż u siebie nie bywamy. Żyjemy nie o mil sto. Czego się niedostyszy to się dowidzi... Ale—o tem, potem. Muszę się z panem kiedykolwiek nareszcie wyklócić na dobre, raz na całe życie. Chodźmy teraz do chaty. Chłodnawo już.

Zapadał mrok. W pokoju, gdyśmy weszli, było prawie ciemno. Micia wybiegła po światło do kuchni, odpowiedziawszy po łacinie na moje „pochwalony.“

Skróś cienie powiodłem wzrokiem dokoła pokoju. Swojemu, nie trudno było odgadnąć

kształt i znaczenie pasem światlejszych tu, pręg ciemniejszych tam. „Wszystko jak i było...” powiedziałem, westchnawszy, z poetą. Przy ścianie oto, między oknami, komoda i „toaletka” kędy ojciec brzytwy składał pospołu z notatkami o „zapowiedziach.” Nad komodą, zwierciadło duże w ramach orzechowych, o ciężkim naczółku, tak głęboko rzeźbionym, że go Paraska nigdy z pyłu dostatecznie obmyć i oczyścić nie mogła. Naprzeciw, kanapka wysiedziana, twarda, ale z miękkimi poduszkami; stół, krzesel sporo, zegar z boku, i długi do koła szereg niezliczonych świętych. Podłoga bielsza od ścian, płótnem od drzwi do drzwi wysłana. U okien firanki świeże. W kącie schodki z wazonami kwiatów, a pod powałą, w jednym rogu gromnica i wianki, w drugim dopalona lampka przed obrazem Przczystej Dziewicy, patronki cerkwi, plebanii i Niewyhrycz całych. Cicho było. Po izbie głucho zasłuchanej, chodził samotnie sędziwy jeno gęg zegara i budził z zamięszonej przeszłości odgłosy zamarłe, niepowrotne, zaginione... w duszach tylko naszych nigdy nieginące domowego życia odgłosy.

Tłum myśli smętnych wracał, znowu mię ostępował—gdy naraz drzwi się na oścież rozwarły, i na ceglanej posadzce sionki ciężko

zgrzytnęły stępione podkówki. Do pokoju wtaczał się, sapiąc, Klemens w białym kożuchu; z hukiem zwałił, przed piec kaflowy, brzemię polan ogromne.

— To jeszcze w piecach palicie, Klemensie?—zagadnałem go głośno.

— He?

— W piecach jeszcze palicie?

— He??

Poklepałem go po ramieniu. Kiwnął głową i wyszedł, szorując ciężko podkówkami o ceglana posadzkę sionki.

Po chwili, z drzwi drugich, wpadła ze świecą rozczohrana, zaczerwieniona Paraska. Ta sama, zupełnie. Postarzec pewnie nie mogła, odmłodnieć już chyba nie chciała. Jak przed dwudziestu laty tak i teraz, w zgrzebnej była koszuli, z rękami zakasanemi po ramiona. Myślałem że mię—swoje niegdys „słonko”—na wieki zaćmi w uściskach. Ucałowałem jej oczy bure i chudą szyję ze szkaplerzem żyrowickim odwiecznym. Kanis aż warknął, nie mogący dotąd do syta mną się nacieszyć.

Pocziwe łyzy i powitania biednej Paraski, prawdziwego tego uosobienia służebnej bezinteresowności i przywiązania do domu—(rzeczywiście już tylko do domu, bo panów prze-

sunęło tu kilku od śmierci moich rodziców), roztkliwiły mię do głębi. Zawiele tego było na podnieconą wrażliwość dnia. Od wchodzącej Mici musiałem się odwrócić.

— Nie kryj się pan z tem, nie kryj! — powiedziało dziewczę samo trochę wzruszone wzruszeniem Paraski i mojem.—Tyleż tego i jest w życiu! Zaprawdę, kochają tu pana wszyscy, bardzo...

Orzeźwiony, wtrąciłem:

— Tak, wszyscy: starzy i młodzi...

Nie było w tem umyślnej gry słów, nie było intencji. Lecz intencye nasze, na szczęście i nieszczęście, bez nas się niekiedy składają.

Michalina utkwiła we mnie promienie ciemnych swych oczu.

— A kto wie, panie Pawle, kto wie!—rzuciła z naciskiem.

Skrećając atoli natychmiast, sposobem sobie właściwym, powagę swych słów na lekką ironię, dodała:—Nie brak wszak i *młodego* państwa w tym domu, nieprawdaż panie?... A widzisz pan, dobrze ci tak! Czemużes nie chciał być księdzem? Miałbyś dziś i służbę i družbę, i swoją chatę i żonę bogatą... Żałuj! Lecz, prawda, omal — żem nie zapomniała! Toż to pan zawsze w ubogich podobno się kochałeś, nie w bogatych. Nie wiem czy

słusznie. Szczęście jednak, tak czy owak byłoby pana nie minęło. Ot, Tacia naprzykład, nie wiesz pan pewnie? żadnego posagu nie wniosła, a spytaj księdza Faustyna czy rad, czy zadowolony. Płacz pan teraz, płacz! Taka to dola wszystkich spóźnionych...

Mówiła to na rozmaite tony, ton każdy znacząc jak włóczką żywemi barwami swojego głosu. Krzątała się sama tymczasem około stołu, biegała, z szuflad dobywając serwetki, z szafy „alkierza” półmiski, z dołu ścierki, z góry szkła, tacki, noże, widelce, szczypcy do świecy.

Prześliczną była. Napatrzyć się na nią, oczu od niej oderwać nie mogłem, śledząc każde jej poruszenie, porównywając w pamięć każdy rys jej twarzy z rysami twarzyczki dawnej. Gdzie tam! gdzie tam! Przez te dwa lata, na jej świeżem, cokolwiek smagłem obliczu, ujętem w owal mocny, ostro zacięty, młodość jednym jakoby rzutem rozwinęła wszystkich swych tajemnic rumieńce i uroki. Włosy, ciemne i miękkie, wełniące się lekko jak woda przed powiewem wiatru, z jaśniejszym nieco, płowym odcieniem na wygięciach pierścieni,—dawniej swobodnie roztoczone i pływające, teraz zgarnięte, tworzyły przepyszne tło dla tych skroni i czoła, odlanych jak z cie-

mnego srebra, i podnosiły dojrzałe ciepło ich kolorytu. Oczy duże, czarne, raz po raz chwytające swe blaski, spoglądały ciekawie, żywo, lecz w głębi już spokojnie, skupioną w sobie pewnością siebie samych. Z pod obcisłej ciemno-błękitnej sukienki, spiętej po kołnierzyk, uwydatniającej, przy potoczystości ramion, postać dorodną a smukłą, tętniła pierś dziewczica urównoważoną siłą pełnią. Z „małej“ Mici, tamtej niegdyś, pozostały usta tylko, wiecznie do uśmiechu złożone. Lecz i uśmiech się na nich już zmienił, urosł, w tyśiączne odblaski się odział...

Rozprawiała wciąż, wciąż mieniając uwagi półzłóśliwe dobrodusznie wesołemi.

— Nie myśl pan jednak—mówiła—ażebym pana wieczór cały karmić miała samemi słowami prawdy. Wiem, żeś nietylko na duszy głodny. Nie martw się. Paraska już piersiami całemi płomień w kuchni podnieca. Wieczera kipi... Ztąd słyhać.—Wieczera nie na oleju, panie Pawle dobrodzieju!... Cóż czyścić wypadnie post wielki złamać dla pana...

Odwracając się zaś po coś, dorzuciła obojętnie:

- Dla pana tylko.
- Czy pewnie, panno Michalino?
- Najpewniej, panie.

Rada była—rozpromienioną.

Przy wieczerzy jednak gdyśmy weszli na tor wspomnień dawnych, mieszając z niemi mniej więcej jasne lub przyćmione spojrzenia w przyszłość, Micia, zacząwszy opowiadać o sobie, o swoim nowem życiu na plebanii, sposepniała naraz, zachmurzyła się, jako owe posagi po galeryach, z których światło zejdzie. Mówiła jeszcze chwilkę, ale już niechętnie, jak z musu. Jedno ze zdań o Taci ucięła nareszcie w połowie, i głowę zwieszoną ujęła w dłoń.

— Czy niedość uważnie słucham, panno Michalino?—spytałem nieśmiało, cieniem jej mimowolnie okryty.—Czy też może niechcąc uraziłem czem panią?

— Nie. Słuchasz pan owszem... za uważnie—odparła!—I stąd może, widząc mię tak rozgadana, sądzisz, że mi tu jedynie ptasiego mleka brakuje? O nie, panie Pawle, nie!

Żywy udział wziąłem w tem nasunięciu się ciemniejszych myśli na jej czoło.

Jakoż, rzeczywiście—nie było Michalinie tak bardzo lepiej na świecie niż mnie. Czas przy siostrze schodził jej jednostajnie, nudno. Zrana, praca około szpizarni, przy drobiu, w kuchni. Trzeba przytem dopilnować czeladzi, trzeba mieć zawsze na pogotowie bieli-

zną dla całego domu, i samej ją nieraz roz-  
wiesić, zwałkować, poprasować. Parobcy za-  
jęci w stodółach, Klemens zajęty cerkwią, lub  
w zadumy wpada i często Paraska musi za  
niego drwa rąbać. Po południu, szycie. Nie-  
nastarczyć Taci sukienek. W dodatku, go-  
ście co drugi, co trzeci dzień. Gdybyż jeszcze  
jacy! ale to żal się Boże! Jak zaczną dyspu-  
tować z Faustynem, jak zaczną cytować uczo-  
nych greckich i łacińskich, a sprzeczać się,  
a fajki palić, a herbatę samowar po samowa-  
rze spijać, — końca o północy nie widać. Wy-  
datki w domu wielkie, dochody nieustalone,  
zład nieperozumienia, zgryzoty. W niedzielę,  
po mszy, tyleż radości co wybiedz do ogródka,  
usiąść, potęsknić pod wielkim wiązem, z któ-  
rego wiatr liście wiecznie obrywa i niesie, to  
ku krypcie przy studni, wróżąc ztąd pogodę,  
to na wschód z mgłą wilgotną ku rzece,  
w której je zatapia... Żeby się nawet chciało,  
jako w piosence, powierzyć liściom swe skargi,  
te i tak nie ulecą daleko...

Mógłżem ją pocieszać inaczej niż opowiada-  
jąc z kolei własne moje troski, niepokoje...  
i nadzieje? Nad widnokregiem życia sporo  
jeszcze tych światel wisiało wówczas. Były  
jednak dalekie, szarą mgłą przykryte. Więc  
zanim się po nie sięgnie, lub zanim same na-



dejdą, starałem się ją przekonać, że biorąc na ogół, niewiele więcej wart i ten byt miejski, ku któremu ona zdawała się wybiegać pragnieniem, żądzą nowych widoków. Z niejaką tedy przesadą malowałem jej niepewność i chybkosć stosunków większego świata, nieustanne jego gwary, cczą hulaszczosć, ciągle rwanie się i pchanie w tłumach, zacieranie się na tem ruchomem tle uczuć, charakterów, wyobrażeń, nieszczerosć towarzyską, obłudę salonów, cynizm uliczny...

Słuchała uważnie.

— Życbym tam—rzekła—z pewnością nie chciała, lecz tak tylko, dla ciekawości, zobaczyć.

Osnowa tych rozmów odnawiała się po kilkakroć.

Przy końcu wieczery zagadnęła mię raz Michalina:

— Ale, czy prawda, że stary pan zapisał panu w testamencie... Lecz najprzód, czy rzeczywiście jest taki testament?

— Podobno. Pisała o tem słówko panna Joanna.

— I cóż, pewnie o panu nie zapomniał?

— O mnie, panno Michalino? Z jakiejby racyi?

— Nie wiem. Tak powiadają.

— Wątpię. Zresztą, nie przyjąłbym — nic-  
bym od Dyonizego nie przyjął teraz.

— A toż znowu dla czego, Panie Pawle?  
czy źle z sobą jesteście? Czyście już nie przy-  
jaciołmi? I odkąd? Z jakiego powodu?

Pytania te stawiała z ożywieniem niezmier-  
nem, badawczo mię śledząc oczyma.

— Co pani chcesz! — mówiłem. Koleżeń-  
stwo, przyjaźń, uczucie wszelkie, to niby  
dwie bliskie, przy sobie idące drogi, które  
z jednego wychodzą punktu. W zaraniu dą-  
żą one wspólnie ku urojonym za górami celom,  
za ręce się prawie trzymając. Rozchodzą się  
później, coraz więcej, coraz szerzej; jedne wy-  
biegają na bite gościńce sławy, znaczenia, po-  
ważania; drugie kończą się wązkiemi ścieżka-  
mi... gdzieś, kędyś aż na ugorach życia, bie-  
dne, zapomniane, zarosłe, tak, że naostatek  
i śladu po nich nie dopytasz...

— Ależ, panie Pawle! — przerwała Michali-  
na — któż tak za młodu w czarnych kolorach  
świat widzi? Przed chwilą mnie pan pociesza-  
łeś, teraz sam się smucisz niepotrzebnie.  
Wstydz się pan! rzuć te drażliwości, rzuć te  
poezye! Uściskacie się z panem Dyonizym,  
ucałujecie się po dawnemu i będzie zgoda  
wieczna. Na wesele mnie jeszcze... i Tacię

z Faustynem... zaprosicie. Zobaczysz pan...  
Cóż, nie?...

Lecz i tym znowu razem — zacięła się na wstępie do szerszego uśmiechu. Dokończyła prawie boleśnie:

— Wesele jak wesele, a oto pojutrze pogrzeb. Powinność wcale dla mnie nie miła.

— Więc na nim będziecie?

— Koniecznie. Tacia z tego właśnie powodu pojechała do miasteczka... po nowe sprawy. — Tak przynajmniej zapewniała. Lecz... Mówmy o czym innym. Cóż we dworze? Cóż panna Joanna? Przecudne stworzenie! istna zorzeńka. I uczona podobno, bardzo uczona. Szczęśliwa, ma przynajmniej książki!

— Ależ, panno Michalino, — pochwyliłem — dwór niewyhyrycki zawałony książkami. Byle ochota była, służyć pani mogę ile się podoba, codzień...

— A, czy tak?... to i owszem — odpowiedziała. — Nieskończenie wdzięczną będę panom... Owszem, bardzo proszę.

Umilkłem. Po kilkakroć już w głosie Michaliny, zwłaszcza w ostatnich spadkach rozmowy, dało się słyszeć coś przybłędnego, obcego. Ostatnia nuta wcale mi znaną nie była. Lekkim dreszczem przebiegła po mnie. Była bez dźwięku, bez koloru, suchą.

Czy się dziewczyna zagniewała? I za co? Za gotowość do usług?... Ha, trudno.

Co czynić?—Zapytać wprost, broniło jakieś draśnięcie dumy. Spojrzeć w oczy, po dawnemu szczerze, nie było sposobu, choćby się nawet śmiałość znalazła. Micia głowę miała zwieszoną.

Zegar, jakby z poniewczesną odsieczą mojemu zakłopotaniu, głos zaraz zabrawszy, rzeźbić począł swą długą z kukułką rozmowę. Wybiła jedenasta.

— Tak już późno?—powiedziałem w pół do siebie.

Powstałem machinalnie. Kanis zwinięty w kłębek przy nagrzanym piecu, poruszył się za mną.

— Już pan uciekasz?—spytała Michalina.— Usiądź pan jeszcze. Faustynowie zaraz pewnie nadjadą.

Szczególną jest nieraz solidarność usposobień. Dysonans, który przed chwilą wpadł mi był do duszy jak bryła lodu do gorącej wody, udzielił się później—rzekłbyś—zegarowi; teraz, brzmiał wyraźnie w słowach Mici; pierś mi kaleczył.

— Co zaszło?—pytałem siebie, stojąc na miejscu jak wryty.

W głowie mi się mąciło. Na posadzce—błądząc wzrokiem—szukałem jakby zgubionych czy porzuconych gdzie myśli. Nie było. Próżnię widziałem przed sobą. Żal jakiś czułem. Za czem? po czem?

Lecz Micia podniosła się z krzeselka.

— Co panu jest, panie Pawle?... Czemu pan nie siadasz?—pytała zwolna, podchodząc.

Spojrzałem jej teraz w oczy. Nowy cud chyba—przemienienie! Jako przed tem, jako przez cały ten wieczór, źrenice świeciły jej spółczuciem, szzerością, dobrocią. Nad światem gwiazdy tak czysto nie świecą. Aż gorąco poczułem na twarzy, i sposobem snadź wszelkich doraźnych przesilen, serce mi naraz, pod tem jej błogiem spojrzeniem, tajać i rozplýwać się zaczęło.

Jednakże, spytałem dziewczyny, nie bardzo już sam wierząc w potrzebę tej niepewności:

— Więc niczem nie zagniewałem pani? żadnem nieoględnem słowem?

— Mnie, panie Pawle?... Ale uchwaj Boże! Zkądby znowu?

Rzęsy miała zwilżone. Przemawiały, drżały do mnie...

Gwałtowny wybuch rozrzewnienia—skutek, jak dziś rozumiem, zbyt ku nagromadzonych

wrażeń—zatomował mi nagle oddech. Łzy te Mici... Wydało mi się... Dziwne zaiste były!

— W takim razie...—powiedziałem, zdobywając się na niecofnięcie nareszcie postanowienie.—W takim razie panno Michalino...

Traciłem, i czułem niewyraźnie, że tracę nie samą jedynie nad myślami władzę. Kola na mi się gięły. Wyznanie, które przedtem parę razy błysnęło przedemną, choć niewyraźnie,—tłoczyło się teraz—uniesione, nieprzytomne, nieprzeparte—jako we śnie gorączkowym westchnienie za szczęściem nieogarnionem, wielkiem, jedynem...

Michalina podniosła głowę. Zmienioną była.

Niepokój, z kolei mnie ogarniał.

Cichy, lecz chłodny uśmiech zesunął się z lic dziewczyny, pobladłych naraz i przemknął przedemną widmem białem, powiewnem...

Słowa mi przed niem zawracać z ust poczęły. Cofały się, chowały—same teraz wyleknione jako dzieci, przed „strachem“ którego wyzywały.

Nie, nie to com był zobaczył we łzach Michaliny było obecnie. Spostrzegłem się, i dobrze, że nie poniewczasie.

Przytomniałem szybko.

Dziewczę w tej chwili podało mi obie dłonie, a mówiło zcicha, poważnie, lubo najserdeczniej—o ile się zdawało.

— W takim razie, panie Pawle... w takim razie—że twoje tu słowa dokończę, powiedzmy sobie... w tym domu, pierwszego tego wieczora: do widzenia się!... Wszak tak? Do jutra, nieprawdaż? Przed pogrzebem jeszcze?... Zmęczyłam dziś pana swojemi troskami! Przepraszam najmocniej!

Pomyliłem się. Niezawodnie.

Ale nie weprzeć odrazu i bez śladu spiętrzonego uczucia w łożysko, z którego wezbraną przemocą wygnaniem został! Łza gorąca na pozimniałej... tak sędzę... dłoni Michaliny, zastąpiła zhamowany przed chwilą święty mej duszy wyraz...

Na niej, na łzie tej, zakończył się nasz pierwszy niewyhrycki wieczór!

Odprowadzając, Micia wyszła na ganek za mną. Kanis był już na cmentarzu i ujadał na niedospane swe przywidzenia.

Noc była ciemna.

— Teraz to już pewnie pan Paweł duchów się nie lęka, ani Koi-Baby—ozwało się dziewczę, gdyśmy się żegnali.—Zresztą, Kanis pana dopilnuje i obroni... w potrzebie. Dobranoc!

— Dobranoc pani! Dobranoc panno Michalino!

W kwadrans później byłem z powrotem w lamusie, przy oknie, Kanis, który mi towarzyszył tylko do granic dworskiego obszaru, i dalej za nic postąpić nie chciał, wył obecnie i wyrzekał za Czarną na czem świat stoi.

W plebanii, długo światła nie gasły, i cienie—chodząc po firankach—budziły wypadki dnia i wieczora. Myśli najrozmaitsze snuły się czas jakiś, gmatwały się wtedy nawet gdy ciemność dokoła zaległa; lecz wiły się już coraz ciszej, coraz słabiej, aż póki sen krzepki, niesiony na marach to czarnych—pogrzebu, to jasnych—miłości, nie spędził tych widzeń i westchnień w otchłań chwilowej niepamięci.

---



### III.

Szybko pędzą, zmieniają się dnie i ludzie.

Życie w Niewyhryczach, w parę tygodni po śmierci i pochowaniu starego pana, potoczyło się powszednią koleją. Pani starościna, zamknięta z Joasią po dniach całych w swoich pokojach, gości przyjmowały rzadko, wychodziły mało, nie wyjeżdżały nigdzie prawie. Za to Dyonizy zajął się interesami najgorliwiej. Po pierwszych dobach spędzonych z ciotką i siostrą na opłakiwaniu straty rodzica, gdy już długi ten przezeń spleconym został jednym gorliwym zachodem co do kropli, zaczął coraz częściej dom opuszczać, nawiedzając to miasteczko, to okolice. Dużo przed nami prawil o tych właśnie przeklętych interesach, które go zmuszały do natychmiastowego codzien ich załatwiania. Dla mnie atoli ogrom wszystkich owych kłopotów malał akurat w stosunku prostym do narzekań kolegi. Przyjrzeć

się rzeczom bliżej mogłem i po części musiałem. Wiedziałem jak stoją. Gospodarstwo szło po staremu, pod bezpośrednią pieczęią rządów i ekonomów, ciężary na majątku leżały niewielkie, a parę przedawnionych procesów zaledwie dopiero oczy sobie przecierało za górami. Co zaś do nowego ruchu produkcyjnego, o którym Dyonizy wspomniał był po drodze z Wilna,—o ile przekonać się można było z miny, gestów i pocmokiwań Srulka pachciarza, takowy zaczepiał się dotąd o finansową jedynie dziedzinę spraw dominialnych; lecz czy był istotnie produkcyjnym, w jakiej mierze i dla kogo? nie odgadywano.

Oddać wszakże należy młodemu dziedzicowi tę sprawiedliwość, że jeśli za często zmieniał gniadą parę koni na karą a karą na gniadą, tedy z drugiej strony, nie miał on i w Niewyhryczach, w domu, nic tak szczególnego do czynienia z doskonałym swym zdrowiem i urodą. Starościna zatopiona w modłach, tem mniej Joasia zaczytana godzinami całymi w bibliotece ojcowskiej, nie mogły dlań stanowić odpowiednio dobranego towarzystwa. Nad książką, w jakiegokolwiek jej formie, złotego ołtarzyka czy foliowej kroniki Bielskiego, nigdy się fantazją bujną nie unosił pan Dyonizy. Ciocię, przez szacunek nie wiele go

kosztujący, pochwalał za pobożność. Lecz ślęczenie Joasi uważał po prostu za chimereę zdrowiu jej tylko szkodliwą; i rzecz rzadka! w tym jedynym razie miał poniekąd słuszność.

Joasia za wiele oddawała się pracy książkowej, niezaprzeczenie. Idealna ta istota, żywy obraz matki, spadkiem kądzielnym otrzymała nie tylko słodycz jej obejścia, nie tylko szlachetność i podniosłość jej sposobu myślenia, ale też i wąty jej ustrój cielesny. Wiotka, szczupła, białości śnieżnej, jasna blondynka o niebieskiem cichem spojrzeniu, miała lilii skromność, wdzięk i przezroczystość. Biedy z tem nie byłoby jeszcze wielkiej, gdyby duchowa strona dziewczęcia, jej umysł, wyobrażenia, usposobienia moralne, nie były się w niej krysztaliły na przewagę jakąś nadmierną, nad wyraz barwną, jaskrawą niemal. Kwiat to był istic królewski. Niestety, wazonik, w którym rosnać mu przeznaczono, miał się krucho, filigranowy był, wykrojony jak ze szczerozłotej koronki. Dla mnie wyraz twarzy i spojrzenie Joasi, przypominające aż do złudzenia opiekunkę moją, czyniły, że obie one, i ta żyjąca i tamta w niebie, składały się w uczuciach na symbol zacności i świętości niewieściej, przed którym żadna ducha mojego ofiara nie byłaby za drogą, za wielką.

Dyonizy nie był tedy w obłędzie gdy walczył przeciw książce... w ręku siostry. Przeciążona jej główka, przesiadywanie za długie, nie mogły zbawiennie oddziaływać na jej konstytucyę, wymagającą świeżego raczej powietrza, przechadzek, rozrywki towarzyskiej. Bądź co bądź jednak, nie od samej tylko lektury kobiet stronił Dyonizy. Rozmowy nasze wieczorne również szły mu w niesmak Czy może wstręt czuł do obcowania z płcią białą w ogólności? Bynajmniej. Mawiał owszem, że świat bez kobiet byłby rodzajem uniwersytetu z wiekuistym i wyłącznym wykładem mechaniki racjonalnej. Lecz właśnie pod kobietą rozumiał coś, co z Joasią iść mogło w parze nadzwyczajnym chyba tylko zbiegiem niesłychanego trafu z przypadkiem niebywałym. I to go tłómaczy dla czego ze dworu, przed samym zwłaszcza wieczorem, zmykał jak niegdyś w Białymstoku od lekcyi, to jest przez wszystkie możebne wyjścia, wybiegi, okna i furtki.

Czego natomiast szukał po za domem? i czy znajdował to czego szukał?—Na drugie chociaż z tych pytań musiałbym odpowiedzieć: wątpię.

Pożycie towarzyskie z sąsiady w naszym powiecie dość było, zgadzam się, miłe pod

owe czasy. Z pewnością przecież nie tak dalece, a przynajmniej nie w tym kierunku, jak to sobie wyobraził i zapewne obiecał Dyonizy, oswojony z obyczajami miast większych, do których, rozumie się, należał niezaprzeczenie Białystok, ten Wersal podlaski, że już o Wilnie niema co i mówić. Na prowincyi bawiono się wesoło, śmiano się szczerze za lada powodem, odnajdywano gry coraz dowcipniejsze, tańczono we dnie świąteczne, czasami—na imieniny—w powszednie, nigdy w postne, lecz na tem już był i koniec, lub mało co więcej. Rozrzutność gryzła wprawdzie i wtedy młode nasze obywatelstwo. Objawiała się ona atoli pod jedną jeszcze tylko postacią. Plutus zbierał z niej dość obfite żniwo w kształcie wysadzonych w powietrze korków od szampańskiego, czyli od czegoś, co w Szałagojdzie, metropolitalnym składzie win naszego miasteczka, starozakonny gospodarz mianem tem okrył ewentualnie. Stolik zielony szerzej się rozsunał dopiero w początkach piątego dziesiątka naszego stulecia, lubo i przed tem cieszył się pewną popularnością. Na tem wszakże, biorąc rzeczy skrupulatnie, poprzestawano do czasu. Innym bogom kłaniano się zdaleka. Apollo naprzykład, na przestrzeni kilkunastu mil kwadratowych, nie miał ani jednego

szczerego wyznawcy. Gdyby zaś, kryjomo, i uszczknął kto dlań gdziekolwiek mizerną gałązkę otwartego uwielbienia, — nie laurem lecz cierniem mu ona splatała się zaraz. Sądny dzień działał się w powiecie, niosąc zgorzenie stugębnę aż po Kijów z jednej strony, aż pod Kiejdany z drugiej. Co do bożka Erosa, — mimo przechwałek a raczej przedwczesnych pogroźek Dyonizego, można się było założyć o pół Niewyhrycz, że nikt go tutaj nie znał nawet ze słyszenia. Społeczność nie od dzisiaj chorowała na zagorzałość mózgową; moralność atoli prywatna, zaprawdę, zdrową wciąż i chłodną była. Mawiano niekiedy: „pan X romansuje z panną Y“, lecz to przez proste nadużycie retoryki, nie przechodzące z pewnością granic romansu książkowego, a w razie najgorszym listownie się obsyłającego. Konkury formalne, one same dawały nadzieję — lecz już niepłonną — wzajemności; i trzeba było zaiste mieć przesadzoną ufność w swoje pięknie wysypane wasy i sutą ojcowską fortunę, by móżdż, jak Dyonizy w początkach zaraz swych wycieczek, kłaść do prozaicznej szkatułki swych marzeń półsłówka i uśmiechy urodziwych cór Podlasia, skierowane — ani wątpić o tem — wyłącznie ku powiecie dośzkom, jakie za sobą pociągał

ślubny kobierzec. Druga ta, kobiercowa alternatywa—a, to co innego. Pewny jestem, że za zgodą na nią stanąć były gotowe z Dyonizym wszystkie rozporządzalne siły znacznej naszej prowincyi. Cóż z tego, na nieszczęście, kiedy znów koleżce memu, póki co, nieśpieszno było z objawem skłonności, tak dalece poważnej, i jak wiadomo dość późno w klimacie naszym przychodzącej.

Ztąd pewne nieporozumienie, a nawet, w końcu, widoczna oziębłość stosunków między młodym dziedzicem Niewyhyrcz, a jego nowem otoczeniem. Która strona dała ku temu powód pierwszy, która ostatni? nie wiem. Dość, że crescendo wyjazdów i odwiedzin Dyonizego trwające przez kwiecień, urwało się nagle. Koleżka zwiesił jak to mówią nos na kwintę, sposepniał, i już za rzetelnym interesem niechętnie z domu wyruszał. Z niemałym zdziwieniem i większą jeszcze pociechą ujrzeliśmy go nawet zjawiającego się wieczorami w saloniku i zabawiającego się rozcinaniem świeżych francuskich dzienników lub dzieł, które brat pani starościny, zarządca jednej z komór celnych, z Lipska dla Joasi sprowadzał. Obiecywało to coś, i już czekałem, rychło-li nasz młodzian, z nudów, na prawdę za książkę weźmie, lub o powrocie do Wilna za-

marzy. Wielkanoc, i niezbyt dalekie za nią wakacje letnie, zawieszały tymczasem wszelkie w tym ostatnim względzie postanowienia. Dyonizy trzymał się domu; święta spędzał z nami.

Tak było w jednej połowie Niewyhrycz.

Jak było w drugiej?

W drugiej sprawy moje stanęły wcale dobrze. Na probostwo, rozumie się, zaglądałem jak najczęściej: w niedzielę po mszy, w sobotę po nieszpórach, w dnie inne bez pretekstu, lub też pod pretekstem przechadzek, w których mię nieobecny Dyonizy nie krępował, a którym panie ze dworu, ze względu na niepewne i często wietrzne niebo kwietniowe, rzadko kiedy chciały towarzyszyć.

W początkach jednak nie obyło się i na mojem niebie bez chmur. Zaciągały one głównie pod postacią pewnych uprzejmości i pewnych nieuprzejmości państwa Faustynowstwa.

Nie zawsze uprzejmą była pani Faustynowa, i to z przyczyn niezupełnie odemnie zależnych, a dość oryginalnych, z tych mianowicie najprzód, które pannie Michalinie dostarczały materiału na różane wianki żartów ze mnie, z kolcami ironii—niegłębokiemi co prawda. Piękna Tatjana, pamiętająca czasy kiedym



na widok jej wdzięków kraśniał jak studencki kołnierz mojego mundurka, skłonna była zrazu podejrzewać mię o spóźnioną względem niej samej śmiałość; że zaś nie poczytała ludziom za zbrodnię uczuciowych względem niej poszlak, dość więc pobłażliwie patrzyła na pierwsze moje odwiedziny. Dawało to wstęp wolny na plebanię, mitrężyło atoli w niej pobyt, narażało na całogodzinne nieraz rozmowy z panią domu, gdy na rzecz Mici, siedzącej z boku, pozwalało przesłać życzliwsze jeno od czasu do czasu spojrzenie, uśmiech lub półsłówko wdzięczne. Złudzenie też, najzupełniej przytem bezcelowe, trwało nie długo. Nie chciałem, i nie umiałem go podtrzymać. Pierzchnąć musiało. Zanim jednak pierzchnęło ostatecznie, inna myśl dziwna, fatalna urodziła się w główce Taci—główce chłodnej, próżnej, na przenikliwość gwałtem się sadzącej. Jak już napomknąłem, byłem z winy okoliczności i spadku po rodzicach, wierzycielem probostwa i probostwo nie należało do pierwszorzędných pod względem dochodów; dochody, jakiegokolwiek były, nie mogły nastarczyć wymaganiom lubiącej stroje pani Faustynowej. Owóż, uroiło się pięknej strojnisi, że odwiedziny moje mogły mieć na widoku rzucenie jakiegokolwiek finansowych cieniów na jej ła-

dne nowe sukienki; podejrzewać i pomawiać mnie teraz zaczęła—na miejsce upadających rachub sercowych—o rachuby pieniężne. Z tem, to już trzeba było radzić sobie gorliwie. I rzeczywiście, ileż musiałem zużyć prawdziwych arcydzieł dobrego tonu i galanteryi—dostępnych oczywiście jej pojęciom—izby przekonać upartą gosposię, że nie mam wcale ani zamiaru ani ochoty do natychmiastowego, bezpośredniego nastawiania na rewindykacyę mych praw, doraźnie oto przelanych w aksamit lub batyst; i że bądź co bądź nie jestem ci nareszcie tym śmiesznym człowiekiem, co to raz po raz podchodzi do wiadra z chęcią napicia się, choć wie, że wiadro jest puste. Takich i tym podobnych przykładów nie obwijałem przy tem w bawełnę, przekonany, że metafora nie na Podlasu wynalezioną została; wyraźnie tedy oświadczałem, że pod próżnem wiadrem rozumiem kasę księdza Faustyna. Pani Tatjana, na razie, śmiała się, uprzedzenie od niej odlatywało, lecz już nazajutrz wypadało szukać nowego fortelu do jej łaski, wyrażającej się za to, przyznając, nagrodą miłszą od tych wszystkich jakie kiedykolwiek otrzymałem w szkołach: figlarnym klapssem i popchnięciem ku drzwiom za którymi była Mi-cia. Czy więc pani Faustynowa odgadła na-

reszcie rzetelne nabożeństwo mojego serca? Nie sędę. Straciłem tylko u niej opinię „skończonego“ młodzieńca, od czasu jak się pokazało, że hołdy moje niekoniecznie w jej stronę dążą; że zaś, zkądinąd, nie przestała też i Mici uważać po staremu za „małą“, ztąd wzajemne ku sobie ciążenie dorostków, miała po prostu za „durzenie się.“ Na poczekaniu, zazdrosną nie była.

Z jakąż rozkoszą, z jakim uniesieniem— odbywszy nareszcie egzamin... niedojrzałości przed panią Tatjaną—biegło się następnie: bądź do ogródka, gdzie za ułożony zawczasu bukietik słów, liść zielony świeżo uszczknięty czekał w upominku na przybywającego; bądź do kuchni po mniej poetyczną z tychże dłoni wiązanekę ze słomy lub nawet z grochowin; bądź wreszcie—i najszybciej—pod strych, na górę, kędy Micia suchą bieliznę z powrozów, a mokrą na powrozy z ramion zdejmowała, i pustą już tylko, gołą, wilgotną rączkę podać mi mogła, na powitanie, do uścisku!

Ale, niestety, na moje utrapienie i tutaj jeszcze cel upragniony, wyglądany, oczekiwany, nie-zawsze odrazu stawał przed rozpromienionym mym wzrokiem. Niekiedy, o drugie z kolei przemienienie pańskie modlić się w duchu należało; a mianowicie, gdy za nieuprzejmo-

ścią pani Faustynowej nadejść mogła, nadchodziła uprzejmość pana Faustyna. A zdarzało się to właśnie. Zaledwim bywało wybrnąć ze Scylli podejrzeń gospodyni, w progu stawała zaraz, dymem tytoniowym otoczona Charybda najczulszych powitań gospodarza. Zaprawdę, męczeńskie pasmo udręczeń bez końca wysnuwało się z tych uścisków zacnego i dobrego księdza Faustyna, szczególnie w razie gdy za jego plecami zoczyłem twarzyczkę Michaliny, skrzywioną na widok fortunnie nieszczęśliwego owego spotkania. Trzeba bowiem wiedzieć, że Faustyn obok wielu cnót kardynalnych łączył w sobie pewien wielki przymiot z pewną wielką ułomnością, które w innych warunkach, rozważone czy to razem czy z osobna, mogły być dla mnie nie tylko obojętnemi lecz nawet znośnemi, ale które w wypadkach co tylko pomienionych, stawały się wprost niemożliwemi. Młody proboszcz niewyhrycki był najprzód biegłym teologiem: pół nieszczęścia; a zarazem, powtóre, co daleko gorsze: jękał się straszliwie. Proszę więc teraz wyobrazić sobie, co się to ze mną działo, gdy ucałowany, po koleżeńsku pod ramie ujęty, do „kancelaryi“ poprowadzony, słuchać tu musiałem, nie już przez minut pięć, dziesięć lub dwadzieścia,

lecz przez półgodziny, przez godzinę czasami, sążnistych cytatach z pisarzy greckich, i to dla tego przedewszystkiem, że z całego powiatu ludzi świeckich, na mnie jednym ciążył lekki cień przypuszczenia, iż znam się na greckiej literatury perłach. Ach, zaiste, dławiliy mię one, te perły greckie; żywcem mię w nich zagrzebywał Faustyn, gdy jął ustęp po ustępie przytaczać słowa ojców kościoła, wschodniego i zachodniego, wymierzone ku pobiciu... kogóż? czegoż?—oto Platona, Arystotelesa i Ariusa, których mię zwolennikiem być mienił—choć, Bóg mi świadkiem, że nie tylko mu nie dałem po temu żadnego powodu, lecz zarzutom jego nigdy najmniejszej nie stawiłem; opozycyi; a to z tej naturalnej przyczyny, iż ich wcale nie słuchałem, zajęty będąc czem innem, Micią głównie, później jej skrzywieniem się, następnie jej robotą obecną, etc.. A Faustyn tymczasem prawil i prawil, wciągając w siebie, za każdym trudniejszym do wymówienia wyrazem, kłęb „drajkenigu“ z małej jak włoski orzech fajeczki, którą ciągle nakładał— a umieszczonej na długim trzcinowym cybuchu, który się co chwila zanieczyszczał. Pluł przytem mówca co moment do pudełka z piaskiem, stojącego w jednym kącie pokoju, i po chustkę chodził do kąta drugiego, w którym

wisiała jego sutana. Ust bałem się otwożyć, aby przypadkiem frazes ciągnący się w dymach fajczanych od trzech minut, nie pierzchnął ku swym początkom jak wróbel spłoszony na gałąź. Ale i milczenie nie wychodziło mi na dobre. Czy Faustyn brał je za dowód uwagi z mej strony i skupienia się na duchu? czy raczej za upór i obstawanie przy błędach platońskich i arinsowskich? w każdym razie to pewna, że tak czy inaczej, krasomówczy w nim zapał wzmagął się nie w stosunku do mego milczenia lub niemilczenia, lecz akurat do pary ze wzrastającym w nim samym krztuszeniem się. Duszącą go flegmę chciał chyba przekonać. Ani litości nie miał, ani opamiętania, że już samo tylko wymówienie imienia Grzegorza Nazyanzeńskiego kosztowało go pół fajki tytoniu, a mnie całą jedną krainę najpiękniejszych przy Michałinie marzeń.

Koniec atoli końców, wszystko się nareszcie kończy na tym bożym świecie. Znajdował się tedy i dla mnie ratunek, nie ztąd, więc zowąd. Najczęściej wchodził do kancelaryi Klemens z zawiadomieniem, zawsze podzwonnie uradowanem, że przed cerkiew zajechały chrcziny lub pogrzeb. Posiedzenie z konieczności zawieszonem być musiało.

— Za-za-raz — mówił Faustyn biorąc sutanę — wró-wró-wrócę. Za-za-czekaj!

— Jutro zrana! — myślałem sobie, i pędziłem natychmiast błogosławić przed Micią nowonarodzonemu tak w porę, lub życzyć najwieczniejszego spokoju duszy zacnej i wspaniałomyślnej, co mię z „opałów“ uwolnić nadbiegła.

Wszystkie te przecież udęczenia, powtarzam, miewały miejsce w samych tylko początkach studenckich mych wypraw na plebanię. Przyszło później doświadczenie, a z niem rozum do głowy. Zapytało się siebie: i pocóż na świecie Klemens? — oczywiście po to, by nieobecność Faustyna głośno wydzwaniał; a Kannis po co? — po to rozumie się, by przyjazd gości lub odjazd państwa z domu, szczerze oznajmiał. I oto w jaki sposób znikły wkrótce kłopoty i mitręgi, jak ręką odjął.

Jednakowoż, ilekroć dzisiaj rozpamiętywam dzieje owych czasów, i ważę ilość zmarnowanych z panią Tatjaną podstępów, a gatunek przecierpianych z Faustynem kazań, mimowolnie nastrecza mi się inny szereg zagadnień, natury ściślejszej, psychicznej. Pytam siebie: — No, lecz cóż tak znowu pilnego było wówczas do poniesienia pannie Michalinie? Zczem tak bardzo ważnem do niej śpieszyłem?

O stratę jakich to drogich, dla niej czy dla ludzkości, ideałów lub nadziei, drżałem tak wobec inkwizytorskich dochodzeń pani Tatjana? Jaka myśl, jakiego zbawczego odkrycia wyraz zaostrzał tak znów dalece niecierpliwosć moją względem monologów Faustyna, które aczkolwiek bywały za długie, przecież były uczone i budujące?—Przykro mi wyznać, lecz trzeba: na wszystkie te kwestye mam rozwiązania bardzo niejasne, niepewne, a nawet omal że nie zupełnie wątpliwe. Sam przed sobą, dla siebie, szukam czasami tłómaczenia, i w głowie znajduję jedynie zamęt lub pustkę.

O czem, naprzykład, rozmawialiśmy z Michią w kuchni, na poddaszu, w galeryjce? O wszystkim niemal w ogólności i o niczem, co by szczególnie ważnem było—o filozofii nawet, z której Michalina wybierała (najpospoliciej dla oskubania) niezrozumialsze dla siebie terminy kartezyańskie i kantowskie... i o sadzeniu kartofli w ogródku, w którym to sadzeniu, ja znowu, ja fichtowskie, nie grało roli zbyt wygórowanej, nosząc tylko „króbkę“ za sadzącym, czyli—szanując i rozróżniając rodzaje—za sadzącą. Nie było w tem zwykle ni ładu ni składu. Raz plotła się swoja bieda, drugi raz rozszywało się cudze powodzenie.



Gama wynosiła się głośna, po niej spadała głucha lub zgrzytliwa. Dziś hymn układaliśmy temu coby było, jutro psalmy nad tem co już przeszło. Koszałki sąsiedzkich swarów, opałki wczorajszych uniesień i zachwyków. pieśń nadziei lub westchnienie żalu. Czasem, kiedy dziewczę przodowało, bosy wlokło się po ziemi; inną razą, kiedym ja wziął lejce losów w swoje ręce, zapędzało się ponad chmury. I odwrotnie: ona sny swe przędła podobłoczne, jam się nudnie grzebał w glebie powszedniego życia i zawodów przeszłych. Zapewne, nad filozofią czy nad kartoflami, przy poezji czy przy ciężkim maglu, rozmowie przyświecały zawsze dyamentowe komentarze oczu, ust, uśmiechów, spojrzeń Mici. Sporu o nie nie zaprowadzałem, bez wątpienia:

Lecz ileż, obok lub natomiast—czczych, bezcelowych sprzeczek wywiązałem, szalony, o błahe, nędzne—wobec tych drogich kamieni— przedmioty, domysły lub przypomnienia! sprzeczek bezcelowych, powiadam, i tem niepotrzebniejszych, że się zawsze w ostatku rozbijały o upór dziewczyny, o te jej właśnie dyamenty, krające zazwyczaj szkło kruche moich zarzutów w tysiączne drobne kawałki i iskry, które później, jak niepyszny, do koszyka prósb o przebaczenie, zbierać musiałem źdźbło koł-

ce po źdźble ostrem. Upartą, zawziętą była Micia—to jej wszyscy mówili. Cóżem się na przykład, nabłagał, i po ile razy, żeby mi narzecie powiedziała, z kądem, jakim prawem, od kogo wiedziała cośkolwiek o mnie, gdym był w Wilnie, przez owe listy Dyonizego, o których wspomniała pierwszego wieczora! Co o mnie koleżka pisał, do kogo, kiedy? Z kim właściwie korespondował? z Joasią? z Tacią? z rządcą?... Z nią może samą? — Daremnie! Głuchą była. Raz szydziła z ciekawości i z tych podejrzeń, to znowu na płacz się jej zbierało. Zamykała się w swoim pokoju, widzieć się ze mną nie chciała po kwadransach niekiedy całych. Martwiłem się, złościłem—ale w końcu trzeba było ustąpić, i jeszcze, jak zawsze, solennie przyrzec, że się na przyszłość tak „śmiesznym“ nie będzie.

Kochałem ją jednak, i kto wie czy nie dlatego tak kochałem, że była—nie inną.

Była-li to miłość prawdziwa, czy nie? i jeśli była, — w jakim stopniu i ustosunkowaniu? Logicznie-li czy nielogicznie, klasycznie czy romantycznie, rozwijały się w nas uczucia? — O to serce mię daleko mniej już bolało, lubo przyznam się, trapił mię, gniewał, drażnił, zarówno wtedy jak później, wyraz ów nieznośny: „w nas“, wchodzący w określenie

wzajemnego naszego z Micią stosunku i naszych wzajemnych ku sobie skłonności. Drażnił nasamprzód pod owe czasy dlatego, że był faktycznie podwójnym, a był zarazem osią, na której się zataczał — przeczuwałem to już dobrze — bieg, kierunek całej mojej przyszłości. Drażnił też w następnych, późniejszych czasach, bom widział, że teoretycznie piśmiennictwo wszystkich narodów faluje i pędzi przez ten wyraz bez zastanowienia, bez poczucia, że w nim tkwi zasadnicza dwoistość, zasadnicza, jak się Kant wyraża, antynomia, przez którą przeskakiwać nie godzi się przecież.

W nas! Dziwna pretensya! Któż bo mógł kiedykolwiek zgłębić, odgadnąć, co się *w nas* dzieje? Kto kiedy duszę w osobie drugiej dojrzał, pochwycił, w kategorye jakiegokolwiek ujął?—Wiele przedtem, wiele potem czytałem opisów, w których obie zakochane w sobie istoty, niedość że precudne rzeczy wypowiadają przed czytelnikiem w długie zimowe i krótsze wiosenne wieczory, lecz jeszcze najtrafniej przed nim, niby z kalendarza lub tabliczki Pythagorasa, wzajem za siebie się odczuwają, wzajem dla siebie i o sobie się czują. Co za złudzenie! Jak niespostrzedz, że tu za nich wszystkich, i za bohaterów i za czytelników czuje i odczuwa sam tylko autor; on

jeden snadź najlepiej wiedzący co i kiedy kochanek pomyślał gdy wyrzekł „kocham“, co i kiedy kochanka wyobraziła gdy powiedziała „lubie“.

Co do mnie, otwarcie wyznaję, żadnych podobnych refleksyjnych promionkowań, oddźwięków i rozdźwięków duszy ze słowem, pojęcia z obrazem, niepochwycilem w szczęśliwej owej porze widywań Michaliny — i nie odczułem ani w sobie ani przy sobie. Jeśli zaś w danym razie nie ja, któżby więc za mnie zdolnym był je odczuć i pochwycić? Kto z dwojga rozmiłowanych osób mógł komu innemu raczej niż sobie tajemnicę swej duszy odkryć, przed kim innym, nie przed sobą zasłoną z pierwocin swego szczęścia zdjąć i pokazać? Nie dość. Do dwojga tylko rzecz sprwadzając: kto kiedy kochać zdołał za siebie i za istotę drugą? kto szaleć, żyć i umierać umiał za dwoje? kto w śpiewie miłosnym prym swój i wtór oblubienicy słyszał jednocześnie? — Baśnie to są. Człowiek za siebie jedynie ma możność, za siebie jedynie jest wstanie powiedzieć: kochałem, myślałem, czułem, pragnąłem; nigdy zaś i pod żadnym pozorem: kochaliśmy, czuliśmy, pragnęliśmy. A cóż dopiero sądzić o tych, co nam prawią w trzecich osobach liczby mnogiej: kochali... pragnęli!

Tyle w tem prawdy, co złota lub słońca w olejnej farbie obrazu. Wymysł czysty, podstawność wyrafinowana, widzenie słuchem, słuchanie węchem!

Tak jest, za siebie tylko mówię; a mówiąc, mogę, mam prawo powiedzieć: kochałem Michalinę. I tyle tylko wiem, że kochałem. Lecz też za to nie myślę się: dobrze to wiem że kochałem. Kiedy zaś, gdzie, świadomie powiedziało się jej o tem? — Nigdy może, nigdzie — albo zawsze i wszędzie. W jaki zezwolony sposób? — W żaden i we wszelki.

Snuło się to — życiem; przedło się — sercem; rozmawiało się o tem — z przyrodą całą.

Wschodziło słońce — patrzyłem i mówiłem zaraz do niej, do Michaliny, była czy nie była obecną: tak wschodzi radość w mej piersi, gdy ciebie spotykam.

Słyszałem, budząc się zrana, szmer drzew w ogrodzie; pomyślałem: takim jest szelest jej sukienki, gdy sny moje nadchodzi rozpraszać, lub tworzyć — piękniejsze.

Zaszczekał Kanis na cmentarzu; zauważyłem natychmiast: nieubraną jest pewnie, i gościom się nie pokaże, aż przyjdę.

Wracały zórawie wesołe na wiosnę; nasuwał mi się zaraz obłok przed oczy, i zapewniał: lecą tak wysoko, że ich wspólnie wi-

dzicie, gwarzą tak radośnie, że razem tę radość w sercach słyszycie waszych.

Pytała:

— Co jutro pan robisz?

Odpowiadałem:

— Chciałbym przy tobie być... pani.

To właśnie jej mówiłem, tak mówiłem, tyle tylko mówiłem. I tyle też tylko kochałem. Kochałem z pewnością.

A ona? Ona, co i jak czuła?—Opiszą to pewnie kiedyś szeroko spółbracia, co nigdy w oczy jej nie spojrzeli. Fortunni! więcej pewnie wiedzą, więcej się pewnie dowiedzieli niżli ja, com na nią patrzył ciągle, com ją widział wszędzie. — Powiem więc tylko co wiem o niej.

Ona, nawzajem, tyle mi powiadała, nie więcej — spojrzeniem, rumieńcem, ust porannym blaskiem, lic południową krasą, oczu zachodzącym światłem... bez słów więc powiadała czem dla mnie była.

Gdym wątpił o przyszłości, o niej i o sobie—była cierpką, to łagodną. to znów bolejącą, smutną, pobłażliwą, łaskawą, groźną.

Gdym ją na klęczkach błagał o przebaczenie chwilowej rozpacz, nie gniewała się.

Gdym zapewniał, że ją ubóstwiam, długo, uważnie w twarz mi się wpatrywała.

Gdym przysięgał, że do śmierci nie chciałbym... i że nie będzie inaczej, przytaczała przysłowie weselsze lub zwrotkę piosnki ludowej.

Gdym był cierpiący, zgryziony, podupadły, prosiła o kwiaty, o książkę, o drobny konno sprawunek w sąsiedztwie lub w mieście.

Tem była — to mówiła.

I nic więcej, nic zgoła więcej nie powiedziała mi nigdy.

Owszem... powiedziała raz więcej, przed sumająkoś, pamiętam, w wierzbną niedzielę. Micia prasowała kołnierzyki, ja kończyłem przy oknie wzór do haftu — nie wiem już jakiej narzutki czy spódniczki. Wzór gotów był. Odłożyłem ołówek i pióro, i wsparłszy po zwyczaju głowę na dłoń, w nią, w Micię patrzyłem. O czym, patrząc, myślałem? Szczerze powiadam: o niej. A co? — sprawy sobie z tego nie zdawałem. Musiało się jednak dumać cośkolwiek — a głęboko, bez pamięci, skoro naraz, nie poruszywszy się z miejsca, nie wyrzekłszy ani jednego wpierw słowa, spytałem zapracowaną dziewczynę, ni ztąd ni zowąd, głosem równym, spokojnym, bez zapału, bez podniesienia:

— Panno Michalino, czy pani mnie kochasz?

Drgnąłem dopiero wtedy — tknięty jakoby iskrą elektryczną, w płomieniach cały — gdy ostatni swój wyraz posłyszałem. Wracać z nim było zapóźno. Siedziałem nieporuszenie.

Michalina brała żelazko do ręki. Zwróciła błyskawicznie wzrok ku mnie — bacznie, surowo popatrzyła w oczy. Poczem, zwilżywszy palec na ustach, pochyliła się, spróbowała czy żelazko jeszcze gorące, i prasowała dalej. Milczała.

Odchyliłem się nieco; podniosłem czoło — wyprostowany jako przestępca nieświadomy — do przyjęcia ciosu. Czekałem. Nie czułem nic, nie doznawałem wrażeń żadnych. Serce mi biło mocno, a zwolna, takt po taktie.

— Panie Pawle — zagadnęła po chwili Michalina, rozciągając obojętnie kołnierzyk przed sobą na desce — dlaczego spytałeś mnie pan o to?

Odetchnąłem długo, głęboko — chwytając niemal rękoma powietrze.

— Dla tego, pani... że spytałem... bezmyślnie.

— Wszystko więc co się w takich razach mówi, mówi się bezmyślnie, panie Pawle?

— Nie pani. Tylko, gdy się co czuje... zasilnie... zawiele... wtedy, zamało się myśli, niekiedy... o sobie.



Michalina umilkła. Przestała prasować.

Powstałem, przez mgły w swych oczach szukając — zamiaru wyjścia.

— Wychodzisz? — wyrzekła Micia, wyciągając dłoń po za siebie.

— Wychodzę... teraz właśnie wychodzę. Kocham cię, Michalino!

— To dobrze... wyszeptała dziewczyna.

I wybiegła do drugiego pokoju.

Myszę, że wzruszoną była.

Odtąd—cóż mam jeszcze do powiedzenia?— odtąd godziny w Niewyhryczach były mi wiekami, wieki byłyby mi zapewne przemknęły jak chwile. Trwało to—może z parę tygodni... Dłużej chyba. Nie narzekałem ani na czas ani na ciszę. Nieznośna przed laty jednostajność tutejszego życia, miała teraz dla mnie słodycz niewysłowioną. Wczesne ranki spędzałem samotnie w swoim pokoju rysując, pisząc, spoglądając na okna plebanii. Po południu, pod osłoniętą od wiatrów werandą czytałem Joasi książkę. Była to druga rozkosz całkiem duchowa, nie z tego rzekłbym świata. Wątła moja „panienka“ lubiła słuchać gdym czytał; lubiłem czytać gdy ona słuchała. Na jej ślicznej alabastrowej twarzy, na rozpromienionem czole, w oczach jasnych, dobrych, niewinnych, znicz myśli,

promienny, stawał wtedy przedemną, dając wyrazom moim ciepło i natchnienie. Istotnie, nieziemski jakiś odblask przybierało podówczas samo nawet ziemskie niezdrowie Joasi, i o ile ludzie mogą tu być szczęśliwi, szczęśliwą zapewne czuła się w tych chwilach cierpiąca istota. Były to zresztą na świecie całym dnie odnowcze, wiosenne. W epoce owej, na ziemi naszej wstawały pierwsze brzaski poetyckiej tej zorzy, co tyle oto obietnic na pogodne jutro roztoczyła nad wami, panie Bazyli. Inny był nastrój czucia i ducha. Pieśni mistrzów wprost szły do serc. Wyobraźnia Joasi była dla nich jako lutnia złotostrunna. Każde wznioślejsze słowo, potraciwszy o nią, wracało w powietrze i do mojej piersi, w odgłosie wzruszeń tkliwszych jeszcze, dźwięczniejszych.

Rzecz zastanowienia godna. Przy Joasi, nie byłem nieśmiały. Rozmawialiśmy z sobą, wzajem sobie przerywając swobodnie, najnaturalniej. Nie mieliśmy niesnasek ani o przeszłość którą ona przeważnie kochała, ani o przyszłość w którą ja przedewszystkiem wierzyłem. Zgadzialiśmy się na jedno: że tamta była nie bez win, a ta bez cnót się nie ostanie. I w zbrataniu jednej z drugą upatrywaliśmy szczęście—wszystkich.

Biedne dziecię! Orlica duchem, motyl ciałem, daremnie ku temu szczęściu rozwijała skrzydła pracy umysłowej, nad jej siły poważnej. Bóg zdrowia poskapił, wszystko inne dawszy nad miarę. Więc już po każdej takiej nawet pogawędce, czuła się zmęczoną; ostry rumieniec wybiegał na blade jej oblicze, i książkę musiałem zamykać, a ją do powrotu i spoczynku, łagodnemi, pokornemi słowy nakłaniać.

A jednak, i jej sądzonem było przechodzić dziwne koleje. Opowieść ich nie należy tu do mnie. Uwadze przecież jednej oprzeć się nie jestem w stanie.

W doli naszej jest właśnie najsmutniejsze to, że człowiek nie może poprzestać na bezinteresownem uwielbieniu przedmiotów swej czci i miłości. Piękno, prawda, dobro, pociągają go ku sobie—i pociągają niestety całą jego istotę, która na ogół, ani jest pięknem całem, ani prawdą, ani dobrem... I ztąd wiekuisty dramat bytu na ziemi.

Wie się o tem—i wiedzy własnej czuje się niemoc, marność.

Ileż to razy mówiłem sobie, patrząc na Joasię: wierna służba temu dziecku, to jedyny cel mojego żywota. A jednak gdy samotny zna-

lazłem się u siebie, gdy okiem z lamusa rzuciłem przez Ozarną na plebanię, niepojęta siła z podwojonem upragnieniem ku Michalinie mię wiodła.

Żyłem tak. Jak długo?—Parę może tygodni... Krócej pewnie.

---

#### IV.

Był dzień Ś-ej Zofii. Wielka niegdyś uroczystość w Niewyhryczach: imieniny nieboszczki pani. W tym roku pustka i cisza dwór zaległy. Starościna, chcąc zapewne oszczędzić Joasi bolesnych wspomnień podwójnego dziś sieroctwa, wywiozła ją poprzedniego wieczora do krewnych za Narew, w Białostockie.—„Na dni tylko parę“—oświadczono mi zrana, gdym zaszedł na pokoje.

— Nikt w odwiedziny pewnie nie przybędzie — powiedziałem sobie. — Przyjdzie samemu święcić smutne wspominki po nieboszczce.

Pogoda była wspaniała, powietrze świeże i czyste. Za oknami szumiały liście, pierzchało po gałęziach ptastwo, nucąc pieśń życia tysięcznymi głosami szczęścia i swobody.

Wypędzała z mieszkania ta rokosz przyrody, rozsypana iskrami słońca i rosy dokoła

domu, pogrążonego w milczącą zadumę żałoby.

Wyszedłem przejść się; zajrzałem do domu. W bibliotece starego pana, pośrodku komnaty, leżała na stole—widocznie w pośpiechu porzucona korespondencya starego pana z podskarbin litewskim. Układała ją panna Joanna, przypisami objaśniała. Kilka książek rzuconych na posadzkę, walało się przy siedzeniu Biedna „panienka“! Z jakimżeto dziwnym zajęciem, z jaką gorączką pracowała nad ową zawiłą monografią, wyświetlić mającą ekonomiczne stosunki Podlasia z końca ostatniego wieku!

Co ją przy tej pracy trzymało? Co ją do niej ciągnęło?

Kryło się w tem zapewne coś więcej nad proste zamiłowanie wiedzy. Lecz co? Czy troska jaka serdeczna?

Bardzo być może. Mają swe tajemnice nawet kamienie drogic, mają swe ukryte własności najpiękniej świecące gwiazdy. Samo pytanie: dokąd dążymy? komu świecimy? alboż nie jest niekiedy tak męczącym, że uciec od tych zagadek chciałoby się bodajby w pył i proch przeszłości!

— Achne dziewczę! Wyjechała—zmartwiło ją wczorajsze przypomnienie nieboszczy-

ka ojca. Pragnęła Pawelkowi zrobić przyjemność niespodziewaną, a tymczasem sama ucierpiała, odczytując ten kodycył nieboszczyka pana, mnie dotyczący. Potwierdzenie zapisów, przed kilku właśnie dniami nadeszło z Białegostoku, z obwodowej izby cywilnej. Stawałem się oto, na mocy jednego z nich, posiadaczem Malwinowca, ślicznej zagrody położonej ku górze rzeki, o milę może od Niewyhrycz. Dobra „panienka“ pragnęła sama mi tej nowiny udzielić. Czemuż mówiła głosem tak smętnym? Czy dla tego, że stary pan zastrzegł, że po skończeniu dopiero uniwersytetu wejść mam w prawa dożywotnie? Nie sądzę. Pewniejsze to, że darowizna Dyouizemu po myśli nie poszła. Lecz przecież, dzie sięćkroć więcej mu zostało! Zapis, zaprawdę, pański; majątność to atoli, bądź co bądź drobna, bez robocizny, na parę wołów, z kawałkiem za to dobrego dębowego lasu... Zresztą, alboż dali na własność?

Szlachetna Joasia! Jakim miękkim, serdecznym głosem powiedziała mi po przeczytaniu:

— Dajże-ci Boże, panie Pawle! Wiesz jak dobrze ci życzę. Nie wątpię, że ubogi ten kawałek ziemi będzie drogą dla ciebie pamiątką. Scheda to po matce, po opiekunce...  
*naszej.*

Łzy miała w oczach gdy to mówiła.

Wieczorem jednak odjechała bez pożegnania! Nie byłam wprawdzie w domu. Lecz czy nie było kogo posłać na plebanię, lub chwilkę poczekać?—Znalazła się w tem niewątpliwie kropla zwyczajnej niedobrej woli Dyonizego.

Opuściłem bibliotekę niezupełnie z siebie zadowolony.

Służba dworska rozbiegła się po kątach, korzystając ze „święta“. Obok pokoju jadalnego wierna tylko ochmistrzyni zajęta była w apteczce przeglądaniem i układaniem ziół zasuszonych, lub świeżo zebranych. Półki i szafki zastawione widziałeś spodkami, flakonikami, pozaścienane białym papierem, na którym zieleniały kupki wonnego jeszcze kwiecia, zielsk lub ostrużyn.

Obszedłem po izdebce do koła.

— Ten rodzaj kory, co to jest, pani Stanisławowo?—spytałem dla powiedzenia czegośkolwiek.

— Tamten? zielonkawy? To bez skrobany przy samej ziemi. Od dołu, proszę pana.

— A... I przeciw czemu?

— No, toć powiedziałam: od dołu.

Pokręciłem głową, udając ucześniejszego niż byłem.



— Chyba!... A obok, co to jest?

— To bez proszę pana, skrobany przy pączkach.

— Od góry pewnie?

— Jużciż że od góry. Na mdłości.

— Aha, to co innego. Teraz to już prawie rozumiem.

— Nic proszę pana niema do rozumienia. Po prostu.

— Zapewne, zapewne, pani Stanisławowo.

Pożegnałem uczone laboratorium. Wyszedłem przez ganek.

Słońce uwzięło się w dniu tym wynagrodzić swą nieobecność w ciągu paru dni poprzednich. Raziło radością jaskrawą, przepelniającą świat odmłodzony, rozesłany po ziemi w całym przepychu i bogactwie zadowolenia.

Rogate bydelko borykając się, podwazało płoty. Tłuste cielęta raz po raz od niechcenia próbowały wypróżnionych matczynych wymion. Syte konie, bijąc kopytami o brukowane stoki stajni, rżały: głucho i nisko ruskie bachmaty, ciężko i ostro, przy swych karmicielkach, krępe żmudzkie źrebce. Na murawach, po za dziedzińcem dworskim, wzdłuż ścieżek i krzaków poskakiwały barany; owce skupione w gromadki, przeżuwały strawę le-

niwie. Kur z pierśią magistralnie wyciągniętą, przechadzał się w czeredzie towarzyszek, i przemawiał do nich od czasu do czasu po turecku. Nierogaczna kwiczała i pomrukiwała pociemku. Gęsi, przestępując z nogi na nogę, grzebały się dziobami w swych piersiach. Drób wszelki, rozproszony pod drzewami, upędał się za lada muszką na liściach, za lada promykiem, przeciskającym się przez krzewy poruszane na wietrze. Nie baczyły napuszone indyki, że im polskie ptastwo z góry pełnemi garściami sypało grube i miłkie ziarno piosnek, z plewą szczebiotów obfitych, bez końca... Gdzietam! Smaruj przybłędę miodem, a on ci powie zawsze... Lecz dajmy temu pokój.

W ciepłej kąpieli powietrza, wyciągały się w górę, szyje swe prostowały rosłe lipy. Podążały nibyto, z pozoru, szeregiem ku dworowi, na dziedziniec, a wciąż się jednak za słońcem oglądały, wciąż do niego się szczyrzyły. Ukośne ich krótkie cienie, jakoby dzieciaki brudne przy swych wiejskich mamkach, bezustanku za poły je targały, i zatrzymywały po drodze. Nie chciało się małemu mizeractwu zostać na wielkim gościńcu miejskim, przy lasku brzozowym; chyliły się uparcie w stronę północy, ku wrotom dworskim, na oścież rozwartym, które jakby na kogo czekały.

W lasku samym, pod zasłoną rzadko tkanej zieleni, brzezina w spódniczce białej zaglądała w oczy buńczuczniejszym sośniakom, tam i sam porzuconym, i dumnie w gałęziach pod boki się podpierającym. Leszczyny ku sobie się tuliły. Czy z zimna? Nie, tylko patrząc na drżącą wciąż osiczynę, wypchniętą ku krawędziom. Przy drodze jako baby zawsze płacziwe, ku cerkwi na wschód pochylone, modliły się wierzby w podartych przedwielkanocnych łachmanach zielonych. Robota chłopców wiejskich, w kwietnią jeszcze niedzielę, te pobrywaue z nich gałęziel

Miało się ku południowi. Piał kur po okolicznych szlacheckich zaściankach. Wieś, na przednówku milczała, zasunięta uboczem za lasek. Drzwi chat były pootwierane, z kominów rzadko gdzie szedł w górę nędzny postronczek dymu. Dzieciaki stały przy przyżbach, bose, kudłate, w siermięzkach, patrząc wytrzeszczonemi po białka oczyma na słońce, chłonąc rozdziawionemi gębami jego promienie. Żałośnie, ze środka to z końca wsi, jęknęła jałoszka. Podkurczywszy ogon szło chude psisko od podwórka do proga i napowrót szukać cieplejszego jeszcze kąta.

— Zajścy może do Wielkiego-Iwana? — pomysłalem. Lecz nie — nie było ochoty.

Wysforowałem się na pola. Z miedzy przechodziłem na miedzę, ze ścieżki na ścieżkę. Wróciłem znowu na gościniec. Nie mogłem jakoś trafić odrazu na wąską grobelkę cerkiewną. Pełen byłem myśli rozmaitych, widoków na przyszłość. Tyle było do rozważenia, tyle do ogadania z Micią. Wprawdzie już dnia poprzedniego zaniósłem na plebanię ogólną treść rzeczy. Lecz rozwinięciu jej przed Michaliną przeszkadzała cały wieczór Tacia, to znów Faustyn.

Zdecydowałem się przeciw nareszcie; skręciłem z drogi ku cerkwi. Grobelkę przeskoczyłem zaraz w kilka głębszych oddechów. Byłem już na cmentarzu.

Przed gankiem, Paraska z zakasanemi po ramiona rękawami zapalczywie w wielki samowar dmuchała.

— Czy chęty kto?—spytałem. — Czy gości macie?

— Kiedyżby ich nie było! — odparła po rusińsku.

Podniosła się, twarz spoconą fartuchem otarła.

— Głbyby tak czego dobrego—dodała—a gości, paniczu, nieszukając znajdziesz.

— Któż taki tym razem, moja Parasko?

— A ten wasz — z dworu.

Zabrała się znów do dmuchania.

— Młody pan?

— Jakij win pan mołodyj! Toj sam czortuk, szczo i buu (1).

Raz jeszcze się wyprostowała i mówiła zadyszana :

— Kołys nam husi strilau, a jak husi wże nestało, to przizou hołubytysia. Treba buło aż sobaku do chliwa zamknuty, szczo takoho hostia ne pokusau (2).

Stałem zdumiony, prawie osłupiały. Z rana Dyonizy zapowiedział był służbie, że cały dzień może zabawi na folwarku hołowieskim, o trzy mile ztąd. Do dworu bryczka jego nie wróciła; nie było jej przynajmniej przed godziną. Więc zasadzka oczywista. Koleżka oparł się aż tutaj. Odkąd zaś, od jakiego czasu bywa? Kto to mógł wiedzieć! kto odgadnąć! Lis zanim w biały dzień do kurnika zajrzy, dobrze się w nim pierwszej rozpatrzy

---

(1) Jaki on pan młody. Ten sam wisus co i był.

(2) Niegdyś gęsi nam wystrzeliwał, a gdy już gęsi zabrakło, przyszedł w zalecanki. Trzeba aż było zamknąć psa w chlewie, żeby takiego gościa nie pokąsał.

w ukryciu. Al... teraz to się wszystko tłómaczy. „Wieczorynki“ pewnie, rozmowy, śmieszki, żarty! Ba, jest o czem. I jeszcze się czai, tai...

To do siebie mówiłem. Z sobą tymczasem nie wiedziałem co począć. Wejść do plebanii? — niepodobna. Wrócić więc do dworu?... Paraska bez odetchnienia dęła w rurę samowara, spluwając tylko, z tej to z tamtej jego strony. Nakładła „durna“, zamiast węgla, kawałków drzewa z pośpiechu. Dym buchał jej w same oczy... jeszcze płomieniem wysmali...

Co myśleć teraz, jak sobie radzić z tem wszystkim? Zawracałem powoli ku wyjściu z cmentarza.

Nagle rozległo się za mną:

— Prędko tam skończysz z samowarem Parasko?

Głos był Michaliny. Drgnąłem. Dziewczę wybiegło z ganka.

Nie zdziwiła się mnie zobaczywszy.

— Pan Paweł? — powiedziała — także do brzel! W sam czas pan przybywasz.

Ubrana była w tę samą obcisłą szafirową sukienkę, która tak jej zawsze do twarzy. Rozpromienioną się wydawała. Chociaż... był to może tylko skutek wesołego spojrzenia słońca, co wysunąwszy się w górę, z drugiej

strony cerkwi, rzucało oto przez szczyt jej, na plebanię i na ganek, tarczę promieni przełamanych w zwierciadle dzwonnicy blaszanej. Przed chwilą dopiero blask ten spostrzegłem—ujrzawszy twarz Mici.

Postąpiła ku mnie, i biorąc mię, po dawnemu, za rękę, powiedziała półgłosem, nachylona:

— Jest pan Dyonizy u nas—został na obiedzie — przyjechał zawiadomić... czy wiesz pan o czym? — o czym ja wiem od pana już od wczora!

Zatrzymała się. Uśmiech zszedł jej nagle z ust.

— Cóż to, co panu jest? czego pan tak zachmurzony? Czy nie zmęczony pan jesteś? Chodź, zaraz herbata będzie. Dobrą mamy herbatę. Książdz wesół dziś — wszyscy zadowoleni...

Mówiła to głosem takim, tak jej oczy pocziwie spoglądały, że kiedyindziej byłbym niechybnie zapomniał o świecie całym. Cóż, kiedy tym razem rokosz widzenia jej — wobec niego — wyświecała jedynie głębię zmartwień mojego serca. W takich razach człowiek w jednej chwili chorym się staje. A choremu, im więcej kto nadskakuje, tem dotkliwiej nieraz

ból mu doskwiera... Spróbujże-no jednak choć raz mu nie nadskakiwać? — Umrzel

Niewiedzieć dlaczego, poco, wysunąłem dłoń z jej dłoni.

— Nie, pani — gadałem — Nie! nie mogę, przysięgam pani że nie mogę. Źle mi jest. Nie znoszę go. Niech sobie zostaje.

Ręce jej opadły.

— Ależ panie Pawle, co pan najlepszego robisz! Pójdź z nami, miejsca przy stole jest na osób dziesięć, wszyscy w dobrym humorze. Nie waruj.

Prawe to było dziewczę, niezaprzeczenie. Podejść ją mógł tylko ladaco. Przytem, trzeba żebym ci to zawczasu powiedział, panie Bazyli dobrodzieju: własne to nasze widzimy się gubi nas najczęściej, a nie złość czyja. Miłość szczerą i wielką jest rodzajem wielkiej gorączki ducha. W dniu owym pierwszą jej zazdrosną napaść poczułem. Straciłem krew zimną; dąsanie się cierpkie trząść mną i targać zaczęło. Prawda—nie lubiłem Dyonizego. Lecz co mogłem mieć przeciwko niemu? Alboż mu sam nie mówiłem, i po tyle razy o potrzebie zażyłości dworu z plebanją? Wielka rzecz, że mi się twarz jego nie podobała, że mnie kłuł ten jego uśmiech ostro pod wąsem zacięty, w pół słodki, w pół jadowity!



Trudno! Rozumu człowiek nabiera przez całe życie... jeśli go odrazu nie straci za młodu.

W dodatku, Micia zawiele nastawała. Po-dejrzliwy byłem.

— Co się to dzieje — powtarzała nie odstępując odemnie—co się to z wami dzieje, panie Pawle drogi? Zkąd te niesnaski, zmiłuj się! On przecie tak serdecznie o panu się odzywa. Powiada że i teraz, bez uniwersytetu, byleś pan chciał — odda panu Malwinowiec.

Jak jaszczurka ośliznęło mi się po sercu to słówko: — *on!*

— Podstęp, pani, hypokryzya czysta—wołałem — znamy się nie od dzisiaj. Grusza sobie, innemu gruszki na wierzbie. Nie, nie mogę. Przyjdę później. Wieczorem wolę przyjść.

Michalina stała z załamanemi rączkami.

— Masz tobie, wieczorem teraz!... Panie Pawle! dobry panie Pawle! W plebanii tak wesoło, pogodzili się z księdzem o łąki. Nie wydziwiaj pan... Wieczorem! lecz właśnie że dziś wieczorem nie będę. Wyjeżdżamy po sprawunki do miasta.

— To przyjdę jutro... pojutrze... kiedykolwiek!

Ale ostatnie słowo z ust wyszło bezmyślnie, a do duszy wpadło jak zła wieść do chaty.

Prawdziwa powódź żalu głos mi zalała—„kiedykolwiek“!...

— Pani—jęknąłem—panno Michalino, miej litość nademną... nad sobą!... O, jakżebym pragnął, żeby się ziemia przedemną rozstała.

Micia na krok się cofnęła. Istotnie, lichy wie co się ze mną działo. Żałowałem już i tych słów teraz. Ona patrzyła mi w oczy, zagryzając wargę górną jak w domyśle lub niedowierzaniu.

— W tem coś być musi, panie Pawle, to niepodobna. Zkąd? co? dlaczego?... Czy zaszło co? czyście się znowu pogniewali?... Ale cóżem ja temu winna?

Postąpiła napowrót ku mnie.

— Proszę mi powiedzieć otwarcie, o co chodzi?... Co panu jest naprawdę?... Mów!... Pawle!

Mnie tymczasem złość coraz gorzej gryzła. Ostatni jej wyraz, który mi przypomniał samotne z nią rozmowy, głowę mi nareszcie zupełnie zawrócił.

— Nie, pani—zawołałem—nie! Bawcie się sami... Do widzenia się! Żegnam!

Odbiegłem. Zrobiłem dziesięć, dwanaście, piętnaście kroków, ale dalej iść nie mogłem. Nogi ciążyły, jakbym gdzie po grzęzawiskach

brodził. Coś w tył ciągnęło, że myślałem, iż wznak upadnę. Musiałem stanąć, odwróciłem się.

Michaliny nie było. Odeszła. Pobiegła pewnie do pokojów. Opowiadać może sobie teraz będą historię całą...

Ćmiło mi się w oczach — jakbym osowiał.

Na cmentarzu samotnie dymił się samowar obłokiem sinym... Wydał mi się wtedy jak kadzielnica zostawiona przy katafalku. Ściana cerkwi czarną była cała — w górze gorzały jakby światła jarzące. Ogromny pająk słońca palił się nad nią.

Co rzeczywiście ze mną się stało? Zaledwie pytać mogłem — i nie wiem nawet napewno, czy pytałem.

Taka już być musiała miłość! Dusza dziwna taka!

Pociągnąłem do domu — żyw nieżyw. Odrzuciłem nogą furtkę w ogrodzie, i zabrałem się do swojej nory w lamusie. Ze złością cisnąłem w kąt ubiór świąteczny. Usiadłszy, głowę złożyłem na chłodnej krawędzi stołu. Gniew mną miotał na samego siebie. Na rozedrganych ustach biegały wyrazy, którychbym nigdy przeciwko sobie w opamiętaniu nie powtórzył... Zmęczony byłem okrutnie — skoła-

tany, zbity, jakbym wczora z Wilna piechotą wrócił.

Nie spojrzawszy na plebanię, wstałem, zamknąłem okno, wziąłem burkę studencką i bez sił — naciągnąwszy ją na oczy — rzuciłem się na łóżko.

Czy śniłem? Czy wciąż dalej siebie gryzłem?... I czy długo?

Zdaje się że długo.

Powieki. gdym się budził, zmuszałem znowu do snu. Pragnąłem nie czuć, zapomnieć, przespać wszystko co było, co jest, co być może... — Lecz, do krośset djabłów! — powiedziałem naraz sobie — cóż znów stało się tak złego? — Zerwałem się z łóżka. Lżej się czułem.

W pokoju było ciemno. Za rzeką wył i ujadł Kanis.

Przypomniałem sobie, że Micia powiedziała, iż nie będą w domu wieczorem.

— Pewnie za sprawunkami wyjeżdżają — pomyślałem.

Na stole przy łóżku, szukając omackiem krzesiwka i papierowych „siarniczek“, trafiłem na talerz i łyżkę. Przyniesiona wieczera oddawna stać tu musiała. Wazka była zimna. Siarniczek nie znalazłem, ani krzesiwka.

Wiatru nie było na dworze. Cisza oblegała ściany lamusa.

Kanis po chwilowej przerwie jął na nowo ujadać i wyć.

— A może już z miasta wracają — powiedziałem sobie.

Burkę włożyłem na rękawy. Świeżość nocna czuć się dawała w pokoju; resztki dreszczu przeciągały mi po kościach i skórze. Usiadłem. W oknach plebanii nie było światła.

— Może już śpią — zauważyłem. Ale wierzyć temu nie chciałem. Do blasku z pokoiku Mici przywykłem jak marynarz do gwiazdy polarnej. Brak jego zaścielał mrokiem najbliższe komnaty mej duszy. Spragniony teraz byłem tych promieni więcej jeszcze niż kiedykolwiek — w tem chwilowem zapewne omdleniu i rozżaleniu. Czekałem.

— Lecz czego się tak Kanis zazał? — pytałem siebie.

Patrzyłem uważniej za Czarną.

W plebanii nie było tak ciemno, jak mi się najprzód wydało. Oko dopominające się o promień z takim uporem—promień dojrzy, bodajby w robaczku siwętojańskim.

Ale przywidzenia nie było. W „piekarni“ probostwa wyraźnie ktoś czuwał. — Paraska

najprawdopodobniej lub Klemens, czekający na powrót państwa — powiedziałem sobie.

Z okna kuchni, wychodzącego przy ogródku i podwórzu plebanii na pola i lasek brzozy, roztaczała się właśnie szeroka, w mgłach zatarta i złagodzona struga światła ciemnoczerwonych; rzucała się mętną fioletową łuną na parkan pokryty zielenią, i chodziła po pnium bliskiej topoli z niecierpliwością upiora na czatach. Nie ulegało wątpliwości, że podtrzymywał ktoś ogień w piekarni. Łuczywo, zatknięte snąc u przypiecka, poprawiane i odnawiane było raz po raz, bo światło, konające na chwilę, znów wnet jaskrawiej rzucało się na płot, zielen przy nim i drzewo.

Śmiech jakiś zbudził się we mnie. — „Jeśli to Paraska — mówiłem — więc głupia. Któż niepotrzebnie łuczywem szafuje, gdy dość jest zarzewie przechować na kominku, ostrożnie je przysypawszy popiołem...”

Naraz znikła łuczywna zorza przy kuchni probostwa, gwałtownie zduszona jakoby w dłoni. Tuż za nią, na czarnem tle podwórza, podniósł się ku cerkwi cienki odblask biały, niejako duch blady zgasłego płomienia.

Pies czekać przestał.

— Ha, pójdźmy zobaczyć, coby to być mogło! — rzekłem do siebie.

Znowu złość we mnie się budziła.

Wysunąłem się z mieszkania cicho na ogród.

Pora była późna. Ledwie dojrzany pasek drogi mleczej omdlałe zsuwał się z bioder niebieskich. Po nad rzadko falującym sklepieniem drzew alei, „wóz“ gwiazdzisty zajeżdżał, na lekko przyćmionem, bezksiężycowem tle błękitów, ku północnym swoim godzinom.

Skierowałem się ku furcie, wiodącej na dziedziniec. Pod oknami sypialnych pokojów pań... czy mi się przesłyszało?... ozwał się jakby suchy kaszel starościny. Być nie mogło. Wyjechały przecież na dni kilka. Furtkę znalazłem odrzuconą na oścież. Drżąc, kołysała się na ścianie bzów wonnych. Wiatru nie było. Przyśiągłbyś, że przed chwilą przeszedł kto tędy, tak się wahała ruchem niewłasnym. Przyknałem ją ostrożnie za sobą i podążyłem ścieżką po za stajniami, uboczem, ku brzezynie. Spokojnie, głucho było w powietrzu. W stajniach przez ścianę słyszałem leniwe, półsennie żucie koni przy żłobach. Wstęgi gościńców i drózek szarzały na zaczernionej masie poletków. Łagodny południowy wietrzyk od czasu tylko do czasu zaszeleścił zbłąkanym umarłym liściem przy wzgórzu.

Pod laskiem zwolniłem kroku. Głęboko ciemne i ciche miał wnętrze; lecz szeptał po

krańcach, poruszał się niewyraźnie, oddychał lekko jak niemowlę, zdrowo zaspane pod zmruczonem a czujnem, niebieskiem okiem piastunki.

Stanąwszy, powiodłem wzrokiem po całym półkolu niewyhyryckich obszarów. Przedemną, na zgarbionym tułowie cerkwi mżał mgławicy poblask blaszanego pokrycia dzwonniczki. W lewo, ku dworowi, niepatrząc, widziałem już na wąskiej połowie domu zwykłe światełko w pokoju Dyonizego. Nocnego jego kagańca pręga świetlana, nieruchomie zasepiona, półsenną źrenicą zaglądała tym razem aż tutaj z pod chmurnej pawęży kasztanów, gęsto stłoczonych przed długim frontonem dworu. Drażnił mię ten wzrok osowiały; zazierać zdawał się w najskrytszy zakątek mojego serca. Odwróciłem się. W prawo, nad drogą do miasta, nad wypustami i pastwiskami w dół Czarnej, obwisłe i ciężko spoczywały ołowiano-bezbarwne przestworza niebios i ziemi, w jedno zmieszanych. Tkwiły na nich niepewne, dalekie obłoczki, to zbrukane, to bielsze i przepadały w ciemnościach bez śladu. Tak może niegdyś — ani zupełnie na czarno, ani wprost na biało — wieszczyła światu biedna Koi-Baba! i tak się też rozchwiał bez wyrazu i koloru jej żywot, z wieszczbą pospołu! Chłodem mi na duszę wionęło to przypomnienie. I po-



wiedziałem sobie: Równie dwuznaczne, równie nieprzechylone ani na noc głuchą, ani na dzień jasny, było dotąd postępowanie Mici ze mną! Zaprawdę! Matowe to jej spojrzenie, zimne a niby dobroduszne, ciepłe a odsuwające, którem pierwszego zaraz na plebanii wieczora duszę mą omotała — na niemotę ją skazała — w obłąd zakłęła — nieśmiałością skrępowała — czarem napoiła — w uroki oblekła — tęsknotą przejęła... Spojrzenie owo cóż ostatecznie dziś zapowiada, co obiecuje, ku czemu popycha? — Mówi do mnie jedno — a do niego może drugie!

Skrzypnęło na drodze od miasteczka.

Punkt na niej tumanu zawisł w zamroczu. Zaruszał się niebawem, rósł. Ktoś nadjeżdżał.

— Niezawodnie oni — rzekłem w duchu.

Serce mi zabiło. Ciepło rozlało się po twarzy. Ot, co to jest, kiedy człowiek kocha!

Usunąłem się szybko na bok, za drzewo.

Po nad niepewnym zrazu, wyraźniejszym później turkotem kół, który kopyta tłukły w takt miarowy, huścić się wkrótce począł dźwięk stłumiony lecz ostry, podobny do uderzania kawałka żelaza o drzewo; zbliżał się. Wychyliłem głowę. Kary koń z probostwa zaświecił łysiną. Nad nim, z tyłu, zami-

gały błyszczące, posrebrzane niegdyś antabki skórzanego pokrycia starej karetki mojego ojca. Nadjeżdżali. Dojrzałem na koźle paki i zawiniątka. Koń szedł stępą. Bicz sterczał nad nim kątem ostrym i kiwał się jak w drzemce. Pokrycie bryczki lekko w tył się pochyliło. Rękaw sutany księdza poziomo się wysuwał z boku, i pływał w powietrzu przy biczu, jako łódź przy swoim maszcie. Poznałem chudy zarys twarzy Faustyna — jego podbródek ostry, ku piersi zwrócony...

Zagotowało się naraz we mnie.

— Jakto? sami? oboje tylko?

Przy Faustynie, na ciemnym płótnie nocy i karetki, rysowała się maleńka główka kobieca — jedna, jedyna, samotna.

— A Micia? Gdzież podzieli Micię?

Myslałem, że im do oczu skoczę.

Faustyn „wioknął“ w tej chwili na konia. Zawracali w prawo na grobelkę.

Przyszła refleksya do głowy. Dziewczyne niewątpliwie zostawili w miasteczku. U Kalisewiczów najprawdopodobniej. Zagadała się pewnie nieboga z Rózią za północek, jak niegdyś z koleżankami, kiedy je następnie musiałem rozprawdzać po domach jak warty.

Odetchnąłem swobodniej.

Karetka, odwrócona już tyłem do lasu i do mnie, wstępowała ostrożnie, noga za nogą, na mostek, pod wzgórzem. Po chwili turkot zmiłkł, sucho zasunawszy się w piasek. Cofnąłem się. Z pod cerkwi, ku podwórzcu plebanii, spłynęło widmo—szmatka niby księżycowych promieni. Byłżeby to Klemens? Pewniej Paraska... Kanis wrzasnął, jakby go kto ze snu obudził, kopnąwszy nogą. W kuchni pokazało się światło czerwone; struga jego szeroka wylała się przez parkan przy podwórzcu plebanii, i zatoczyła się w wąwóz Czarnej.

Stałem. Wkrótce pod księżemi stodołami dało się słyszeć gwiznięcie Klemensa—pies szczekać przestał. Żóraw wywiódł po chwili długą zgrzytliwą nutę; pojono konia.

Wszystko jak zwykle. Czemuż się trwożyłem?

Wracałem uspokojony. Micia niewątpliwie została w mieście. Tem lepiej! — powiedziałem. Jutro rozmówimy się na dobre, bez przeszkody, bez Taci.

Przy węgle domu furtkę ogrodową znalazłem przymkniętą. Lecz... byłoby to nowe złudzenie?—Bujał nad nią, unoszony na wonnem posłaniu z bżów, obłoczek dymu. Tytóż czuć było w powietrzu...

— Hm! włóczy się, panicz,—mruknąłem.—  
Trzeba radzić śpiesznie, zawczasu.

Rozmówienie się z Micią stawało się tem pilniejszym.

W plebanii, gdym wrócił do lamusa, już światel nie było. Zasnąłem zaraz—prawie na rozkaz. Nie wiele godzin miałem przed drogą, postanowiwszy wyruszyć o świcie. Wypadało, trzeba nawet było odwiedzić miasteczko. Od pogrzebu starego pana ani razu w niem jeszcze nie byłem. Na dom nieboszczki matki nawet spojrzeć wtedy nie miałem czasu. W każdym razie, przynajmniej spokojnie, bez obaw, bez wtrącania się Taci, pomówię z Micią. Kalisewiczów zarazem pozdrowię. U nich dziewczyna została, napewno,—z Rózią.

---

## V.

Kominiarz magistracki z ulicy Staromiejskiej, naprzeciw którego mieszkali Kalisewicze—a raczej, od śmierci samego burmistrza miasta imci pana Benedykta Kalisewicza mieszkała sama tylko pani Kalisewiczowa z Rózią—kominiarz magistracki, powiadam, miotły zaledwie dopiero wynosił na bruk dla wytrząśnięcia i wybicia ich o parkan sąsiada, gdy, uwiązawszy zroszonego majowem powietrzem wierzchowca, spędziwszy chustką pył z ubrania, stanąłem przed progiem domu, gdzie, najniechybniej, Micia na nocleg się zatrzymała.

Słońce zaglądało do okien, jeszcze nieprzetartych.

Na Podlasiu drzwi frontowe tę mają dogodność, że są z klamkami. Wchodzi człowiek najprościej, ilekroć zasuwki nie zasunię-

to; w razie przeciwnym, pociska się za kłamkę raz, dwa, trzy, cztery—stosownie do odgłosu, jaki się przez to sprawi w mieszkaniu. Najzwyczajniej dwa pociśnięcia wystarczają aż nadto na obudzenie nie tylko domu, lecz ulicy całej.

W razie obecnym nawet ta fatyga potrzebną nie była. Rękę zaledwie podniosłem dla poprawienia „maniszki“ białej na piersi, którą mi konna jazda cokolwiek zmięła — kiedy za drzwiami dał się słyszeć głos gospodyni:

— Widziałam, widziałam pana Pawła przez okno. Zaraz odsunę. Tośka przy kuchni, sama wszystko muszę robić. Tylko trochę uprzątnę. Zaraz. A dobrze, bardzo dobrze pan Paweł zrobiłeś, że przyjechałeś. Na czczo pewnie? To właśnie — Rózia zaraz wstaje. Mleko już na ogniu. Poślę zaraz do Barucha po bułeczki, po te, które pan Paweł lubisz, z czarnuszką, świeże... A słyszałam, słyszałam, jak się tam panu Pawłowi powiodło i poszczęściło. To i chwała Bogu! zawsze, kawałek chleba, gdy jest, to jest. Zaraz otworzę. Rózia już wstaje. Tośka! a pilnuj, żeby mleko nie zbiegło. Czy zawsze pan Paweł lubisz mleko? To dobrze. Czyste jest mleko, prawdziwe, od krowy. Już się „parzy“. Zimno pewnie było zrana na dworze? Rosa jest na szybach. A bardzo będzie Rózia ra-

da, gdy pana Pawła zobaczy. „Nieduża“ coś teraz, wcale „nieduża“ —zmizerniała nieboraczka... Tośko! skocz na róg do Barucha! Masz: czy widzisz?—Patrzcie, weźmiesz cztery bułeczki, po groszu, z czarnuszką. Skocz przez ogrody, to bliżej. A mleko żeby nie zbiegło! Cztery bułeczki, czy słyszałaś? po groszu, świeże, z czarnuszką—a nie marudź!.. Zaraz panu Pawłowi odsunę. Różia już wstała, zaraz się ubierze. Mleko się już gotuje. Zaraz, tylko powietrze trochę przepędzę. I jakże tam pan Paweł ze zdrowiem? Słyszałam, że dobrze. Bo Różia to jakoś nietęgo. Lecz wkrótce się to skończy, właśnie i ona ma już kogoś... To i chwała Bogu, że dobrze z Micją jesteście...

Nie zupełnie mi ten dyskurs podobał się za progiem.

Kominiarz, ująwszy akurat miotłę oburącz za trzon, huknął nią właśnie na sztorc z całych sił o ziemię, dla tem większego umocowania „wienika“ u góry. Koń się strachał i rwał. Dzieciaki ostępowały mię zewsząd—wyglądano z sąsiedztwa: Parcimowicz z lewa, Wrzeckonkowie z prawa, kominiarka naprost.

— Zaraz odsunę—mówiła pani Kalisewiczowa.—Mleko już się podnosi. Tośki jak nie widać. Bułeczki świeże, z czarnuszką.

Dobrze się stało, że pan przyjechałeś, panie Pawle...

— Ale pani Kalisewiczowo dobrodziejko, ja na jedną tylko chwilkę... Chciałem tylko złożyć moje uszanowanie, i zapytać...

— Zaraz, zaraz, niechno choć łóżko zarzucę.

— Ale pani Kalisewiczowo dobrodziejko!— krzychałem przeze drzwi ku kłamce.

Kominiarz roboty swej zaprzestał. Trzymał teraz miotłę nieruchomą, trzonkiem do ziemi, sam wyprostowany. Z pod czarnych łóz wienika, świeciły mu zęby białe jak kość słoniowa. W kupki, niby muchy, zbierały się dzieciaki, jedne przy koniu, przy samej kulbace, inne przy mnie—nieco opodał.

— Pani Kalisewiczowo dobrodziejko!...

— Zaraz, zaraz, tylko trochę zamiotę...

— Ależ, słówko tylko...

Kominiarz dalej jak natrętny wpatrywał się we mnie. Nareszcie przemówił:

— I poco pan darmo stoisz? Poco pan darmo krzyczysz? Czemu nie wziąć za kłamkę i nie wejść?

— A jeśli drzwi na zasuwkę zasunięte?

— A! to co innego, kiedy zasunięte. W takim razie trzeba wziąć i „klamkać“, bo pewnie śpią.



— Ależ nie śpią, skoro pani Kalisewiczowa rozmawia ze mną.

— A! to co innego, kiedy rozmawia!

I, na tem skończywszy swą interwencję, kominiarz z podwójną gorliwością zabrał się do naprawiania swych mioteł. Koń się niecierpliwił okropnie.

— Pani Kalisewiczowo! — wrzasnąłem. — Czy u państwa panna Michalina?...

— A!... Zaraz!... Kto taki?

Podeszła przynajmniej pode drzwi.

— Panna Michalina—Micia!

— A tak — była,—mówiła.—Albo co?

— Czy niema jej tutaj?

— A czy ma być? To i owszem. Znajdą się bułeczki dla wszystkich. Zaraz, tylko trochę kurz zdmuchnę. Ot i Tośka. To i dobrze. Ksiądz Faustyn czy także przyjdzie? mówił?—To nic, będzie i dla księdza. Aha, to zostali na noc, u Szajka? w Szalagojdzie?— I ja tak mówiłam. Dobrze zrobili, że zostali.....

Byłem już w zupełnej rozpacz, kiedy ostatnie słowa pani Kalisewiczowej wpadły mi narzeczcie do ucha. Niechże ją bogi mają, z jej gadaniem, czarnuszką i gościna!—Przecież!—powiedziałem do siebie—w Szalagojdzie!... Lecz jakże? czy sama?... Chora może!

Posłałem przez drzwi czempredzej „do wiedzienia“! i wskoczyłem na wierzchowca. Mały Józiek Parcimowicz odwiązał mi właśnie konia z zaiskrzonymi oczyma, i cugle podał. Zawróciłem śpiesznie, a ukłoniwszy się w przejeździe Wrzecionkom, popędziłem, drogą przy żydowskiej szkole, ku Szałagojdzie...

W drodze atoli przyszła mi naraz rozwaga: a jeśli Micia dalej gdzie pojechała? Do znajomych na wsi?

Wypadało przecież zobaczyć.

Szajko, gospodarz Szałagojdy, stał akurat przed swoim wysokim zakładem, zdobnym w rzeźbione drewniane filary, naczółki, esy i floresy. Jedyne to gmach w miasteczku, który w wymiarach sobie właściwych Alhambrę poniekąd przypomina. Na żółto był malowany. Szlafrok właściciela, szeroki, rudobronzowy, grubą plamą odbijał na tem pięknem tle. Gospodarz głęboko ręce zasunął do kieszeni wygodnego swego stroju, z głową podniesioną zdawał się robić przegląd wozów na placu przed ratuszem murowanym, zielonym, z chorągiewką żelazną na dachu, przez którą przebierała na jasny błękit nieba wycięta data 1667.

Gromadki ciemno-siermiężnego ludu i czarno-chałatowego Izraela, bezładnie rozsypane przy zaśmieconych szynkowniach, toczyły rozmowę, tu hałaśliwy, tam mniej serdeczny, ówdzie domierający już na dopitkowem przy-ciszeniu. Wiar i języków słyszałeś kilka. Klął się Mazur na N. Pannę Częstochowską, przysięgał Litwin z pod Goniądza na Ostrobramską, „bożył się“ Rusin kleszczelski na Sokalską. W jednym miejscu kłócono się w narzeczu rusińsko-polskiem, w innem godzono się z polską po żydowskiu. W kobałkach „kwoktały“ kokosze; w wasząkach rwały się prosięta, jakby je kto miał dorzynać. Masę jeszcze bekiesz futrzauch i kozuchów widziałeś wszędzie, czarnych, białych, żółtych. Poranek był świeży, to prawda.

— Jak się masz, panie Szajku!—powitałem starozakonnego z konia.

— Jak się ma pan Paweł!—odrzekł gospodarz Szałagojdy bez wielkiej atencji.

— Czy jest kto od nas w zajeździe?

— Jakto, czy jest kto? wszyscy są.

— Z Niewyhrycz?

— Dla czego z Niewyhrycz? Albo to same Niewyhrycze na świecie! Jest pan z Płancz, są państwo ze Strokowa, jest panicz z Szałstał...

— Więc nikogo z Niewyhrycz nie było?

— Jak to nie było? Ale, kto był, to i pojechał.

— I nikt nie został?

— Po co miał zostawać, kiedy zapłacił?

— W nocy tedy wyjechali?

— A z kąd ja wiem? Koń nie u mnie stał, u mnie tylko panowie stoją. Koń stał na Kaczanowszczyźnie.

— Więc może nocują gdzie?

— Dla czegoby nie mogli nocować.. Nu, ale panie Pawle, tylko pan ostrożnie z nogami swojego konia. Tam kobieta z jajkami stoi, która odeszła.

Zwiesiłem głowę. Niema jej. Gdzieżby była? .. Czy nie śniłem przypadkiem cały dzień wczoraj? Powiedziała wszakże najwyraźniej, że wyjadą wieczorem za sprawunkami. I rzeczywiście wyjechali, skoro powrócili. Lecz Micia, czy dalej gdzie się wybrała? I dokąd? po co? na jak długo?

— Mądrzem wykalkulowałem, niema co mówić!—rzekłem skruszony.

Szajko palcem lewej ręki kiwał w tej chwili i ku sobie głową nawoływał chłopą, który koguta z czerwonym, zająszonym grzebieniem trzymał pod pachą. Chłop obwieszony był kudłami czarnymi, spadającymi mu z pod

czapki baraniej, okrągłej, ze wstążeczką błękitną u góry zamiast kitki. Zdawał się być głęboko w ziemię zapatrzony, jakoby w zadumie nieporadnej. Czy był siebie, czy koguta niepewny?—pytałem w duchu.

Wzrok mój ściągnął uwagę gospodarza. Ozwał się do mnie dobrotliwie:

— Czemuż pan Paweł nie zlezie? Dla pana Pawła zawsze się w cukierni znajdzie ciastko i filiżanka kawy.

Podziękowałem. Chłop właśnie zdejmował pokornie czapkę przed gospodarzem—a oglądał się dokoła.

Niechętnie skręcałem konia. Lecz czuły i czujny wierzchowiec sam szedł w stronę „turmy“ i „poświętnego“... Wracał do stójła.

— Czyby nie zajrzeć na Kaczanowszczyznę?—myślałem.

Koń atoli podążał dalej. Jak żołnierz w odwrocie ciągnąłem się na nim, ulicą Litewską, przy opróżnionej i zapadającej cerkwi Ś-tej Trójcy, ku zielonym poletkom przedmiejskim, wyglądającym zdala. W głębi widnokregu ruszały się czarne cętki krzyżów na rozdrożach, z złotymi przy nich taśmami „mogił szwedzkich“, z których żydzi piasek biały na święta wożą.

— Co się z nią stało? — dopytywałem się znowu siebie.—Czy nie pojechała przypadkiem do Podbiela? — Złe zrobiłem, że wczoraj wręcz nie zaczepiłem Faustynów, i nie zapytałem, gdzie zostawili Micję.

Słońce wzniosło się już na wysokość dwóch, lub półtrzecia chłopca. W oczy je teraz niemal miałem. Jechałem, nie patrząc. Opamiętanie przychodziło powoli do głowy.

Koń naraz wstrząsł się podemną—potknął.

— Co u licha, czyliż nie za mną zostały te przeklęte bruki miejskie?

Od miasta, owszem, byłem już daleko, ale jego bruk połamany ciągnął się dalej, sterzcząc ostremi kamieniami po drodze.

— Pamiątka to po Tatarach — rzekłem z westchnieniem—po Rakoczym, po Szwedach! Chaty tu niegdyś stały, domy, dwory. Kipiało, huczało życie. A dziś?

Podniosłem głowę.

Gładko, równo, smętnie spoczywała ziemia rodzinna pod kobiercem zielonej, rozłożystej niepamięci. Na lewo, ciągnął się chudem pasemkiem gościniec białostocki. Na prawo, o staj piętnaście, dogorywały na słońcu resztki spalonych „młynów miejskich“ nad Czarną.

Biedna kraino! biedny stary grodzie! Kto was tu nie plądrował, kto nie rznął, kto nie palił!

Lustracya Dybowskiego zaznacza w tem mieście siedmdziesiąt kilka kamienic w wieku XVI-ym „mocnych, grubych, w których za- możne kupiectwo siedzi.“ Dziś jest nato- miast „murowanek“ zaledwie dwie czy trzy, wliczając w to Landratowszczyznę pustą. Do- mów wielkich — powiada lustracya— „dobrze opatrzonych, z dziedzińcami“, było osiemset z górą; ileż obecnie zostało?—ze dwie setki, małych, spróchniałych, nędznych.

Gdzież się podziało nasze kupiectwo otyłe, o sutych skórzanych trzosach? Ustąpiło przed chudym, chorowitym handelkiem nieszczęśliwe- go, zmizerniałego plemienia... Gdzie owe „lodo- wnie i miodownie murowane“, owe garbarnie duże nad rzeką przy ulicy Dubickiej? Gdzie szukać tartaków wodnych, zakładów kuśnier- skich przednich, nożowni, ludwisarni, fabryk sukna „cienkiego“ — nad któremi się rozwodzi Dybowski? Gdzie zamek dostatni, lubo drewnia- ny, w którym stawał Zygmunt August w prze- jazdach z Lublina na Mielnik i Drohiczyn do Wilna? Góra tylko z pod niego wędzi sobie obecnie łysinę nad niskiem i błotnem „Pod- zamczem“, którego może sama nazwa stanie

się wkrótce zagadką — *niedorzeczną* dla naszych wnuków, chorujących na lepsze oczy, niż kiedykolwiek były... Kapusta już tylko mizerna wzrasta na zgliszczach dawnego starościńskiego dworu—lub chudy ziemniak gnije po dołach, które kiedy gospodarz każe kopać ku zimie, sam roboty pilnuje, aby mu nie kradziono srebrnych poczerniałych złotych, obficie tu w ziemi powstających, niż marchew lub buraki. Ani jednej już niema w mieście gospody, w którejbyś gościa należąco mógł umieścić i przyjąć. Ostatni Król, który tędy przejeżdżał do Grodna, Stanisław August, nie miał gdzie stanąć na przekąskę. Piętrowe izby ratusza były bez okien, dolne opuszczone, brudne i — „cuchnące“ — dodaje w szczerej prostocie relacya ś. p. dziada Dyonizego, ostatniego starosty tej ziemi.

Żyli za mojej pamięci ludzie, co ten przejazd Króla Jegomości zapamiętali naocznie. Matka moja, ztąd rodem, widziała to dzieckiem. Król był smutny i blady. Siedział w wielkiej kolasie, ciągnionej przez ośm koni, nie dla parady, lecz że błoto sięgało ludziom i koniom po kolana. Przed miastem, u końca ulicy Brańskiej, spotykały Króla „cechy“ z chorągwiami, duchowieństwo trzech obrządków, kahał z rabinem, lud wszystek, kobiety,



dzieci,—z magistratem na czele. Starszy ławnik—czy podobno wówczas pisarz grodzki, którym był wuj mojej matki, sławetny Jakób Tokarzewicz, witał przemową Króla w imieniu miasta. Siedział konno, a niewiele miał po temu prawa, jako nieurodzony szlachetnie. Lecz, że był człek mowny, kształtny i uczony więc nikt mu tego, nawet z jaśnie wielmożnych, za złe nie poczytał. Owszem, gdy pięknie a krótko Najjaśniejszego Pana powitał, powiadając: iż swojego Króla, istotnie, już tylko „mym chlebem i solą przyjąć jest w stanie miasto, „równie skołatane jako losy Rzeczypospolitej“, Stanisław August, który się na takich rzeczach znał, uprzejmie ręką skinął, podniósł głowę na mówiącego, i zaraz go zaprosił, by królewskiej jego landarze towarzyszył z boku, co się cechom i mieszczanstwu wielce podobało. Jechali tak do środka miasta, i Król ciągle najlaskawiej z pisarzem rozmawiał, który konia dobrze się trzymał, a był urodziwy, umiał w porę nisko się do króla nachylić i, co trzeba, pokornie a spokojnie odpowiedzieć. O ile później stało się wiadomem, Król rozpytywał, a pisarz opisywał Naj. Panu, w jaką to niedolę i dla czego ziemia ta i jej stolica popadły, od jakich czasów to się stało, i czego lud wierny a przywiązany ocze-

kuje i spodziewa się od swojego Monarchy. Gdy byli na pożegnaniu, Król raz jeszcze głową się skłonił, a odprawiając miłościwie pisarza, ozwał się doń głośno, przy wszystkich:

— „Dziękuję *panu*, uprzejmie *panu* dziękuję.“

I oto dla czego jest dziś dwie rodziny tego imienia, choć szczep ten sam: jedna staromieszczańska, do której ja po kądzieli należę, druga młodoszlachecka, potomstwo imci-pana Jakóba. Bo był zwyczaj w dawnej Polsce, że kogo z podlejszego stanu panujący panem publicznie nazwie, już go przez to nobilituje—co było rzeczą słuszną. I słyhać było później, że Król Jegomość ze łzami miasto opuścił, choć w niem był bardzo ubogo podjęty...

— Znikło, zmilkło wszystko jako mgła, jako sen!—mówiłem teraz do siebie, popędzając konia.—Po ojcach ocalało zaledwie to, czego już sama ziemia odmówić człowiekowi nie jest w stanie: zagon i mogiła. A po nas, co po nas w spadku pójdzie na syny? My im ile bogactw przekazemy po sobie?

Stanałem, ściągnąwszy cugle. Zatrzymał moją uwagę szczegół pewien.

W zagłębieniu nad rzeką, przy drodze, paśło się bydelko. Krówki okrągłe, rosłe.

— Czy dworskie?—zagadnałem pastucha.

Pastuch siedział nad rowem i strugał coś. Podniósł głowę, obrosłą kędziorami, zapylone-  
mi jak „baranki” do mycia—i nie czekając  
długo, nie pytając o nic, rzucił się ku mnie  
z przerażającym dysonansem zgłosek krzykli-  
wych, ostrych, od których aż koń w bok po-  
skoczył.

— Ta-ta-ra-ta! ra-ta-ra-ta!

— „Niemek!”—zawołałem.

Więść o nim przepadła była w mej głowie.  
A tyle dla mnie fujarek nakręcił niegdys  
w miasteczku, kiedy, bywało, z nieboszczką  
matką odwiedzałem krewnych lub znajomych.  
Niemek był wówczas pastuchem magistrac-  
kim, osobą niemal urzędową, jadał z czeladni-  
kami kuśnierskimi i chłopcami sławetnego  
imci-pana Kalisewicza, burmistrza miasta.  
Jakże się tu dostał? Dla czego z urzędu  
spadł?

Nazwiska nie nosił nigdy innego, nawet  
w dokumentach grodzkich. Sam czytałem  
w rejestrach magistratu: „Niemkowi pastu-  
chowi na rok złotych polskich dwanaście, pa-  
ra obuwia mocnego na zimę, *soroczek* dwie,  
rajtuzy i kapota.” O czapce nie było wzmian-  
ki; spadała widocznie na owych złotych pol-  
skich dwanaście.

Twarz to niepodobna do opisania. Zupełnie jak u norymberskiej lalki: pucołowata, roziskrzona, szerokogęba, rumiana, ruchoma, ale bez żadnego wyrazu. Nie postarzał nic a nic; ten sam zupełnie, co i był, choć go żeń z Paraską... Klótni z pewnością nie byłoby z Klemensem głuchym.

Staął, w górę wznosił pięście, spuścił je ku ziemi, rozkrzyżował ramiona, wskazał w jedną stronę, wskazał w drugą, wrzeszcząc:

— Ra-ta-ra-ta! ta-ra-ta-ra!

Oczy miał duże, okrągłe, na wierzch wytrzeszczone; spojrzenie szklanne.

Na nim kapotka zszargana z guzikami moieżnemi o herbie obwodu białostockiego, koszula czarna, „rozchrestana“, pierś szeroka porośnięta,—bosy, przez plecy torba w poplamione pasy żółte i zielone. Wyglądał z niej cbleb błękitnawy, suchy, okwitły, i szczypiór świeżutki.

Jął kręcić się i skakać śród drogi, przesadzać rowy z rubaszną zręcznością domorosłego tancmistrza. Znów stanął, rozkrzyżował ręce, wywinał kilkanaście powietrznych młynków, zachychotał, oczy mu zagrały—i jednym rzutem na ziemię w tył, na głowie stanął, wyprężywszy nogi w górę, chude, zabłocone, podrapane.

Dałem mu parę groszy, znalezionych przy sobie i jechałem dalej, znów stępa, jak nie swój, smutny, zbolały prawie. Przykre „Niemek” zrobił wrażenie.

Mijałem mogiły „szwedzkie.”

— Takie to szwedzkie mogiły—mówiłem sobie—jak ta oto ziemia rusińska albo polska. Pamięć ludu sięga nieraz posad najgłębszych, a szatę przybiera coraz nową — jak te pola. Nie szwedzkie to kopce, zkąd dzisiaj piasek żydzi wożą—lecz jadžjuńskie. Wiem to od pana Joachima, wiem od pana Jaroszewicza. Dzielny to był lud. Nazywał się w ten sposób od wyrazów *jadz*, czcić, miłować, i *jungas*, życie, młodość. Tak siebie nazywały, bez mała, wszystkie ludy na ziemi. Zawsze od czci albo od słowa, co na jedno prawie wychodzi. Człowiek czcią żyje. Czci siebie w innych, w otoczeniu swoim—czci brata po krwi, po mieczu, po duchu, czci przyrodę—żywicielkę, czci niebiosa jasne—czci Boga, zamieszkałego w sobie i we wszechświecie. I cześć tę życia, wiecznie młodego, głosi, rozśławia. Jadžjungowie równie też żyli nie czem innym i nie inaczej. Czemuż zginęli? i *czem* zginęli?—Zginęli *tem*, że mało pracowali, nie umieli pracować, choć bili się jak lwy. Dla tego przepadli—dla tego śladu po nich

niepozostało na kawałku ziemi, gdzie „pod lasami“ siedzieli. I wszystko, co o nich wiemy— wiemy od tych, którzy ich zwyciężyli. Wiemy jeszcze i zkaładną, że starego, przedślowiańskiego języka, który w Indyach odkryto za moich czasów—ale o tem, szeroko by mówić!

— Jednakże, wszystko to bardzo prawdziwe, lecz tymczasem gdzie jest Micia?

Mydliłem sobie oczy, czem mogłem—i historią, i niehistorią, a w gruncie myślałem tylko o niej. Ówiewka widocznie miałem w głowie.

Nagle—już wieś niewyhycką było widać na lewo—kiedy mi odkrycie samo przyszło ni ztąd, ni z owąd.

— Gdzie?—powiedziałem.—Ależ jasne jak słońce. Alboż to raz tak bywało?... Poczciwy wójt Wielki-Iwan alboż raz na swoim wozie odwoził ją na plebanję, gdy za sprawunkami w mieście zabawiła dłużej, niżli czekać mógł ks. Faustyn, który żydów nie lubił, choć biegle z nim mówili po hebrajsku, i w Szalagojdzie się nudził? Gdybym był wczoraj choć kwadrans jeszcze poczekał u brzezinki, byłbym zarazem uściskał Wielkiego-Iwana, i Micię. przeprosił za swą niedorzeczność poranną?...

Ówiknąłem tą razą konia porządnie, i już miałem zamiar wprost przez zagony puścić się

ku wsi, gdzie z drugiego jej końca była chata wójta niewyhyckiego.— „Zapytam, myślę sobie, Wielkiego-Iwana, jak było z Micią, a jednocześnie ucałuję Jaguskę...” Kiedy naraz, nowym jakoby zwrotem kęła Fortuny—stanąłem, osadziwszy w miejscu wierzchowca.

Oczom swoim z początku nie chciałem dać wiary.

To, com zobaczył, było—na razie—więcej, niż niespodziane. W powieściach tylko chyba zdarza się coś podobnego.

Trzeba wiedzieć, że Niewyhyce od strony miasta nie wyglądają powabnie. Większą połowę lasku brzozowego na lewo zasłania wieś. Ogród dworski, ku wschodowi, kryje się za wzgórzem cerkiewnem. Samego dworu, przez groblę, widać zaledwie róg lewego skrzydła, i to nie wyraźnie za kasztanami i za stajniami pańskimi. Tyle obrazu, co po za Czarną, na cerkiewkę z rozpaloną od południa dzwonniceką i na stare stodóły z tyłu. A i Czarna w tych miejscach niedobrze się przedstawia. Płasko się tu ryje. Opuściwszy dwa wzgórze, cerkiewne i dworskie, pomiędzy którymi tworzy wąwóz głęboki, malowniczy, rozszerza się ona następnie śród nizin więcej błotnych, niż suchych, z kąd dziś torf dobywa

się pod cegielnię, zbudowaną w późniejszych czasach, u samej brzezinki.

Ale jest wszelakoż z tej strony jedno miejsce, które choć do raju przenoście. Znajduje się ono pod samą cerkwią, na pochyłości góry od południowego zachodu. Góra nie od razu tu spada na torfiska nadrzeczne. Niestromy, łagodny jej stok zniża się owszem tak powoli, leciuchno, jakbyś dłonią prowadził. Nie równego nie spotkałem ani koło Wilna lub Kowna, gdzie są wygięcia gruntu, w obec których niech się schowają wszystkie cuda nadreńskie, ani też około Grodna, gdzie Niemen płucze stopy takim pagórkom, o jakich się nigdy nie śniło Włochom ni Szwajcarom. Powiadają, że tylko Słowianie z tamtej strony Bałkanów, co pod Turkami,—z którymi już i podówczas, za dni moich na wojnę się zanościło—tudzież u naszych braci Węgrów, znaleźć można gdzieniegdzie coś, co choć zdaleka stanąć z tem może do pary. Murawa, powiadam ci, panie Bazyli dobrodzieju, taka, że niczem względem niej najprzedniejszy utrechcki aksamit. Wprost kłaść się i całować. Czy ją tu słońce tak od południa wygrzewało, czy wiatr zachodni deszczem tak zraszał, czy nareszcie mgły nadrzeczne tak na nią chuchały, dość, że ludzie nadziwić się jej nie mogli.



Stary kamerdyner Jan, który też niemały kawałek świata zwiedził, miał zwyczaj mawiać, że, gdyby Napoleon nie był przegrał pod Berezyną, i gdyby tędy chciał być powracać, pewnieby górę całą kazał dla tej murawy na furgony włożyć i zaprowadzić do Francuzów, wraz z cerkwią, której dotąd nie mają ani jednej. To samo co do słowa nieboszczyk pan hetman z Białegostoku zamierzał z nią zrobić, dla swego zwierzyńca, ale i on procesu z wojną nie wygrał, choć zaczynał zupełnie inaczej, i umarł, przebacz mu Panie!

Taka cudna była ta niewyhrycka murawa pod cerkwią.

Owoż, czyby się kto spodziewał? — Gdy ja tak po wszystkich szalagojdach świata ciągam się na szkapie, która już i zmęczona, i głodna, gdy sobie suszę i męcę głowę nad tem, gdzieby się nareszcie podziać mogła Micia,—gdy omal że dla niej nie potratowałem wszystkiej oziminy chłopom—a tego się już w górę była wyniosła—patrzę: Micia tuż—na drugim brzegu rzeki, z Paraską. Rozciągają właśnie na tej pięknej murawie płótno szare, i zabierają się najniewątpliwiej do jego polewania, bo dwa duże „lewary“ — przy nich. I Kanis również przy nich. Wszyscy w bieli, Kanis biały, Paraska biała, Micia biała, i płótno,

choć szare, białe. Na ozłoconej od słońca murawie wszystko mi tak naraz pobiełało po za Czarną!

Zsunąć się z konia, który na to tylko czekał, by galopem puścić się ku stajniom dworskim; samemu wpaść na grobelkę, na mostek, a z niego zaraz w prawo, na dół, po nad brzegiem, ścieżką, kędy Trochimeczuk było dworskie pędza zrana na wygony; skoczyć ku murawie, zkąd Kanis, zadarłszy kite, pędził już naprzeciw, zataczając się niemal z góry, z wywalonym od gorąca ozorem—było dziełem krótszem, niż kiedy to mówię.

Pewny byłem, ze swojej strony, że padnę bez namysłu do białutkich na murawie stóp Mici, tak mnie jej widok ucieszył... Ale Kanis, jakby go piorun zapalił, uwiązał mi się łapami u szyi, i niewiele brakło, żebyśmy obaj nie stoczyli się gdzie do rzeki. Nie była jednak w tych miejscach Czarna głęboka, a brzeg aż gorzał od ślicznego żółtego piasku, miłkiego, że nieśćby go można królom do zasypywania najpobożniejszych przywilejów i dekretów. Gdyby nie cerkiew za blisko, byłaby tu kąpiel od ostendzkiej i zdrowsza, i piękniejsza; tak zaś, przy samej cerkwi, woda wydawała się prawie święconą, kąpać się nikt nie śmiał.

Micia, patrząc, stała z lewarem w ręku. Podniosła z ziemi, gdym się zbliżał, cieniutką, drżącą na wietrze chusteczkę, i zawiązała ją sobie—zasuwając ręce pod włosy, ledwie zgarnięte—u szyi. Od słońca. Zaczynało już być dobrze gorąco.

— To pan nie przy panie Joannie dzisiaj? — spytała krótko, podnosząc cokolwiek głowę. Na twarzy nie było uśmiechu.

— Ja? przy panie Joannie?

Zdrętwiałem. Micia, bez przywitania, brała lewar, który na chwilę była postawiła, zawiązując sobie chusteczkę,—i szła wzdłuż płótna z głową, w pół odwróconą. Paraska pobiegła czerpać wodę. Psa nogą odtrąciłem.

— Ależ, panno Michalino—począłem z niższego cokolwiek tonu—panny Joanny niema we dworze...

— Tak pan wiesz, co jest we dworze, jak i gdzieindziej... — odrzekła Micia, posuwając się szybko szlakiem płóciennym. Kaskada wody tryskała z jej rąk dokoła, na płótno, na murawy i na jej obnażone stopy. Szumem swym zimnym przyciszała jej słowa, które i bez tego chłodnemi były.

— Co, czy znów? — wtrąciła nadchodząca Paraska, przyciągając mię swoim zwyczajem do pocałowania (zwyczaj naganny, bo zarzu-

całą rękę na szyję z taką siłą, jakby ci kark skręcić chciała).—Co, czy znów kłótnia z paniemką?

— Panicz twój inną miał i ma zawsze paniemkę...—powiedziała Micia, i odwróciła się. Trzymała lewar w rękę nachylony, ale już woda z niego się nie lała. Próżnym był.

— O! o! o! o! o!—wywiodła Paraska głośno za nią.—*Czy wże? czy wże? A jak Pawełkowi wsio skażu, to szczo bude? a?*

— To gadaj sobie! Wszystko mi jedno — rzekła Micia.

Paraska lewym łokciem „kuksnęła” mię, że aż w boku trzasło. Nachylając się zaś, powiedziała mi do ucha głośno, niby do Klemensa:

— *Wozmi i ruczku pociluj, ta i usio!*

I poszła polewać.

Postąpiłem ku Michalinie, która, postawiwszy w tej chwili lewar na murawie, kamieniem przyciskała róg płótna, skręcający się wciąż do podmuchów wiatru.

— Panno Michalino—rzekłem.—Oto od samego świtu upędzam się po polach, po mieście, żeby panią gdziekolwiek ujrzeć, zobaczyć—przychodzę zmęczony, zbiedzony—a mnie tu pani...

— Mnie zobaczyć?!... Pan się upędzasz? I po co?—spytała.

Była zagniewana, niezaprzeczenie.

Nakładała kamień na płótno, ale nie chciał leżeć.

— Myślałem, że znajdę panią w mieście — u Kalisewiczów — że tam pani nocowałaś...

— Wstydz się pan kłamać tak otwarcie! — zawołała Micia, powstając i precz od siebie odrzucając kamień. — Jakby to nie pan kryłeś się wczoraj pod laskiem, i jakbyś nie wiedział, że wróciłam z księdzem!

— Więc to pani byłaś?! — powiedziałem, składając ręce, mimowolnie.

Dziewczyna szybko i ostro spojrzała mi w oczy. Znać jednak, że w nich szczerłość pytania zapisaną była niedwuznacznie, bo odparła głosem, nieco zmięczonym:

— No, Koi-Baba może? Szczęście jeszcze przynajmniej, że ksiądz Faustyn drzemał, bo Bóg wie, coby pomyślał, zobaczywszy pana, czającego się za brzezinką jak rozbójnik! I po co, powiedzno, panie Pawle, łazić — wyglądać — szpiegować? — Cóż wyszpiegujesz? powiedz! Przypuść, że wyszpiegowałeś nawet, to i co dalej? co ci z tego przyjdzie? Zastanów się tylko i powiedz: co ci z tego przyjdzie? — No, powiedz!...

Nie przestawała dobijać mię wzrokiem.

— Przebacz... — wyszeptałem.

Spuściła oczy.

— Czemu pan taki blady? — zagadnęła z cicha.—Głodnyś pewnie?... Zaraz wracamy...

— To nie, pani—powiedziałem, łamiąc się z głosem własnym. — Dobrze, że cię widzę, moja Miciu najdroższa...

Dziewczyna dłoń zimną położyła mi na ustach, które też zamilkły.

Późno dnia tego wróciłem do dworu z plebanii. Faustyn wypisywał w cerkwi jakieś metryki, które ku wiosnie dłuższe jakoś wypadały, Faustynowa zaś, zamknięta w kancelaryi z Hirszem Mogzio, krawcem nadwornym, nie pokazywała się wcale.

Paraska tylko od czasu do czasu wleciała mi dokuczyć.

---

## VI.

Dym gryźł w oczy, a nie mogłem ich otworzyć. Spałem twardo. Nad ranem trapiły mię sny dziwaczne, do niczego niepodobne; budziłem się po kilkakroć; mocniej mi powieki się zwały dopiero przed wschodem słońca. Zawsze tak bywa, że po dniach szczęśliwych noce są niespokojne. Przyroda nie cierpi zbytku. Gdy rzeczywistość jest słodka, urojenie musi być gorzkim, iżby się stało zadość prawom równowagi odwiecznej, która w warunkach ziemskiego istnienia niczemu nie pozwoli wybijać zanadto nad poziom swój... ziemski właśnie. Najczystsza, najwznioślejsza duchowa rokosz pociąga za sobą w odstępie czasu mniej więcej dalekim jakąkolwiek zaśniedziałą grzywnę odwetu. Czemuż tylko zjawisko odwrotne niezawsze się sprawdza, niezawsze

jest pewne? Czemu, gdy marzymy boleśnie, bolu rzeczywistego nie uśmierzamy przez to?

Zasnąłem był tedy wybornie o świecie. Lecz oto budził mię ktoś teraz uparcie. Czułem niewyraźnie obecność czyjaś przy łóżku. Mocowałem się z sobą, usiłowałem przedrzeć się przez mrok i niemoc zaspania, a nie mogłem, męczyłem się.

Alem się uporał nareszcie.

Stary Jan kamerdyner stał przy mnie ze swą lulką porcelanową saską, długą, dziobatą, z zielonemi na niej kwiatkami i „okurzał“ mię z mniejszem jeszcze *à propos*, niżli ks. Faustyn przez pierwszą połowę kwietnia.

— Ot młodzież dzisiejsza, paniel—prawił.— Do południa! A ponockach, panie, to się, nieprzymierzając, włóczy jak na wojnie. Wstawaj oto, paniczu, pan Dyonizy prosi pana do siebie.

— Pau Dyonizy... al... zaraz.

— Nie odwracaj się pan tylko na drugi bok, nic z tego nie będzie, nie pozwolę, bo znów, jak onegdaj wieczерę, tak dziś śniadanie pan prześpisz. Marnować się przecie tak długo nie można. Przy tem, hej, czy słyszysz pan?—nowiny dobre są.

— No?...

— Pieniądze są.



— Ba?...

— Ale są i alarmy w domu.

— To niedobrze...

Nie zwracało się zwykle uwagi na poranne „godzinki” starego Jana, gdyż był to odwieczny jego nałóg układania z wiadomości dworskich, zebranych w salonie i stajni, pewnego rodzaju kabały. Tasował te karty każdemu na inny strategiczny ład, i rozdawał w ten sposób, iżby ostatecznie nie nikomu nie powiedział, a dał służbie materyał do gadania i do sprzeczek na dzień cały.

— Nareszcie, tak czy inaczej — rzekł — wstawaj pan naprawdę. Ja muszę iść jeszcze do pani starościny po listy. Z temi listami to także, panie, historia cała.

Wyszedł. Wstać musiałem choćby dla wypędzenia nieznośnego po nim dymu. Po słońcu, gdym wyjrzał, widać było niedalekie południe.

Gdym się ubierał, przyszedł mi na myśl wczorajsze rozmowy z Micią. — Wszystko to bardzo pięknie — mówiłem sobie. Lecz czy nie zanadto jest już owego nastawiania na potrzebę zażyłości z Dyonizym? Kłótni nie szukam, dziewczynie wierzę, ale niemniej — wilk w oborze... Zobaczmy, jak sierść dziś najeży.

Wszedłem. Dyonizy na męskiej połowie domu dopijał ranną kawę. Sam snadź wstał niedawno; na drugim stole nakrywano tymczasem do obiadu.

Po zwykłym powitaniu, ozwał się kolega, podając mi nalaną filiżankę:

— Chciałbym z tobą pomówić, Pawle.

— Owszem, słucham cię, Dyonizy.

— Wczoraj widzieć się z tobą nie mogłem, a był interes pilny. Wypadło sprzedać spory kawał lasu w Malwinowcu, na wyrąb.

— Alboż to do mnie należy? Sprzedałeś las, jakbyś sprzedał co innego.

— Przecież wiadomo, że jesteś dożywotnim posiadaczem Malwinowca.

— Zostanę nim po skończeniu uniwersytetu. Las tymczasem... odrośnie.

Pierwsze moje, dobrze usposobione wyrazy poszły w kierunku pojednawczych przykazań Mici; w dalszych wzięła górę przyrodzona złośliwość, zwłaszcza, że, szczerze mówiąc, Malwinowiec bez lasu był czemś w rodzaju mieszkańca... bez chaty.

— Nie myślałem nigdy korzystać z zastrzeżenia, przywiązującego kawałek zagrody do dyplomu—powiedział Dyonizy sucho.

— Jabył jednak wolał, żebyśmy obaj z zastrzeżenia tego skorzystali:—w Wilnie i, o ile podobna, prędko.

— Niestety, co do mnie, nie widzę nateraz możności ozdobienia siebie zaszczytem doktorskim. Prędeż się za dni kilka oprę nad Sekwaną, niż nad Wilią. Złe wieści mieliśmy z zagranicy.

— Z zagranicy?... Więć od wuja?

— Przez niego. Nie wiem, czy ci kiedy mówiono:—mamy kuzynka w dalekich krajach. Dziesiąta woda po kisielu, lecz co chcesz! Słono mnie kosztuje to kuzynostwo. Młodzieniec siedzi obecnie we Włoszech czy w Paryżu. Posiadać ma, z wyjątkiem pieniędzy, wszystkie „cnoty wieku“, jak mawiał nasz Borodicz. Wpadł w długi, i bodaj czy nie koza mu grozi. Trzeba się prawdy same-mu domacać, na miejscu. Wuj na takie zlecenia za stary, a obcym doniesieniom nie wierzę, bo frant może podobno stwarzać pozory. Kością już w gardle stoi mi ta sprawa!

Szeroko otworzyłem oczy. Podobał mi się naraz ten kuzynek! Powiastka o nim była świeżutką; trąciła pokostem najzupełniej tych samych konceptów Dyonizego, jakich przed laty używał w listach do ojca w sprawie rozmaitych „składek“ na ubogich studentów.

— Kiedyż to się ten nowy kuzynek narodził? — spytałem nie bez przekąsu.—I już urwis? W kolebce?

Dyonizy spojrział na mnie.

— Szczególnym, Pawle, tonem odzywasz się dziś do mnie, zaraz od wstępu.

— Czy rzeczywiście? No, bo przyznaj, że wynalazek twój kuzynowski posiada szczególności trochę.

— Dobrzeby tym razem było, gdybyś choć przez sarkazm został prorokiem, ale...

— Słowem: jest kuzynek. Czy on to zjeść ma tę dębinę malwinowiecką? W takim razie lepiejby może było wziąć z sobą inny, miększy cokolwiek gatunek drzewa?

— Żartuj zdrów, masz nawet poniekąd do tego prawo, skoro ci dziś zabrano to, co wczoraj dano.

— O! co do tego, Dyonizy...

— Przepraszam, pozwól, że skończę. Z pieniędzy za sprzedany las mogę ci teraz właśnie oddać część tylko. Potrzebuję reszty. Oto jest tysiąc złotych do twego rozporządzenia.

Wyjął i położył paczkę asygnat przedemną. Oniemiałem.

Dyonizy mówił dalej:

— Wyjazd, o którym wspomniałem, przykrym jest dla mnie w chwili obecnej. Zastą-

pić mnie tutaj nie będzie pewnie komu. Twojej dobroci nadużywać dalej—trudno. Nauka cię ku sobie ciągnie, wiem o tem. Życie wiejskie nie przedstawia dla ciebie ani widoków, ani powabu. Zauważyła to nawet Joasia biedna. Coraz mniej mogłeś udzielać się jej w ostatnich czasach, coraz mniej czytać...

— Do pioruna! co to jest? — zawołałem.— I kiedyż, proszę cię, mam czytać, skoro starościna z kurami spać idzie, a ciebie bies nosi po za domem, swoim i nieswoim?

— Aha, *nous voilà!* — powiedział Dyonizy z ironią.

— Alboż nieprawda?

— Może i prawda. Lecz odkądże to zaszła potrzeba fraucymeru i kawalergardy przy Joasi, żebyś jej mógł czytać?

Pocisk był zręczny; poczułem jego braterskie ciepło na skroniach. Ale replikę dałem niezwłoczną:

— Jeśli sądzisz, Dyonizy — rzuciłem z naciskiem—że rozdawnictwo dyspens w tym względzie do ciebie należy, to istotnie, daj mi ich... z parę. Zapłacisz sobie... za rzeką.

Kolega się na krześle wyprostował. Milczał chwilę, jakby nie mogąc przyjść do języka czy do myśli. Powiódł ręką od czoła do wąsów, wziął cygaro ze stołu, i rzekł głosem

rozdrażnionym, ale niedostrojonym do wysokości, przezemnie oczekiwanej:

— Posłuchaj mnie, bądź łaskaw, uważnie, Pawle. Słów na to dużo tracić nie mogę. Unieśliśmy się obaj. Lecz wystarczy nam może rozsądku i krwi zimnej, ażeby się nareszcie porozumieć, o co komu chodzi...

— Bardzo słusznie. Lecz zastrzedz się muszę, że wina za uniesienie spada na tego, kto spór drażliwie postawił.

— Mniejsza o początek. Pomijam również podprowadzenie pod jeden poziom dwóch wybrzeży. Wiem, że myślisz inaczej...

— Niekoniecznie.

— Zmienisz pojęcie z wiekiem, z doświadczeniem. Zapytuję tylko: kto ci dał prawo rozciągania kurateli nad kimkolwiek? Na podstawie czego zaprowadzasz tak czujne straże nadrzeczne?

— Na podstawie czego? O prawa pytasz?— Lecz pierwej, co ty pod prawami rozumiesz? Czy o papiery moje pytasz? Czy też, jak się spodziewam, do sumienia się mego odzywasz?

Sądziłem, że go tem osadzę. Ale gdzie tam.

— Więc, okrom praw sumienia i praw pisanych, innych nie uznajesz?—zagadnął niespodzianie. — Prędko zapominasz o własnych

naukach. A cóż się stało z prawami owej swobody towarzyskiej i osobistej, o której mi tyle niegdyś mówiłeś? Zmieniłeś już przekonanie? Czy może podwójne odnalazłeś dziś miary i wagi dla stosunków ludzkich?...

— Jakie miary? jakie wagi? — przerwałem podrażniony.

— Ależ oczywiście. Tyleś się w Wilnie nagadał przeciw przesądom, że aniby mi przyszło do głowy przesądzać twoją dobrą wiarę. Ale się pokazuje, że ten tylko przesąd jest zły, który *wam* zawadza, a ten, co *nam* przeszkody stawia, już jest dobrym. Prawda z tej strony Pireneów, lub Czarnej, fałszem z tamtej. Wy macie korzystać z wolności nowej, a my tylko pamiętać o obowiązkach starych. Wam drogi otwarte tutaj i tam, a nam jedynie u siebie. Czy tak dziś apostołujesz?

— Zwolna! zwolna! — odparłem. — Nierozpędzaj się, Dyonizy! Stałeś się dziś wymowniejszym, niż cię kiedykolwiek znałem. Szkoda, że źródło nagłego tego przypływu wzniosłości za nisko jest położone. Pozwólże. Najprzód, co do apostołstwa. Wiesz doskonale, że nie apostołowałem dotąd nigdzie; uczyłem cię, bo tak rodzic twój kazał, bo za to wasz chleb ja-dłem...

— Ależ, Pawełku...

— Nie przerywaj. Moje zdania przed chwilą powtórzyłeś—prawda. Nie zaprę się też ich, nie powstydzę się. Lecz z pewnością wstyd mi za twoje zastosowania. Aha! więc to tak wolność rozumiałeś? Onegdaj zaledwie zlaźł ci landrat pruski z karku, wczoraj zaledwie „sprawnik“ wlaźł ci na szyję, a ty już czempredzej szukasz za to kozłów i kozlic ofiarnych na plebanii naszej? Brawo! brawo! Jeśli z tego punktu chcesz patrzeć na życie i życia próbować, zaiste nikt ci nie odmówi pasportu na drogę podobnej wolności. Masz *carte blanche*. Używaj, nadużywaj bez obawy.

— Pozwoliłem ci mówić, Pawle — pośpieszył uciąć Dyonizy, oblany rumieńcem—ale się boję, ażebyś nie nadużył wyrazów. Ku temu, zdaje się, zmierzamy... Niech i tak będzie: inne są nasze pojęcia o prawach. Lecz, powiedz mi z łaski swojej, *panie* Pawle, kto ci pozwolił podejrzewać moje intencye?

— Tylko bez dumy zbytnej, Dyonizy! Ton ten wcale nie przystoi w obec kolegi, w obec obcego w waszym domu sieroty. Klócić się możemy; „chytryć“ z sobą—nie. O intencyach swych mówisz?... Masz słuszność, raz jeszcze masz słuszność. Czernić je, byłoby nie tylko występkiem względem ciebie z mojej strony,



lecz istotnem niebezpieczeństwem dla mnie ze strony twojej. Nikt wilka nie wywołuje z lasu... gdy go zabić nie myśli lub nie ma czem. Nie o strzały zresztą chodzi. Pomijam zatem twoją przeszłość i jej gwarancye... intencjom... Lecz natomiast wręcz, krótko — żeby cię nie nużyć — dwa stawiam pytania: czy uznajesz, Dyonizy, że są rzeczy, których nie wolno ani nam, ani wam—skoroś już ten podział zaprowadził—ani tutaj przed Pireneami, ani tam za Czarną?

— I cóż ztąd, że uznaję? Cóż to ma do obecnego zdarzenia i zajścia?

— Ma—gdyż—otwarcie teraz! szczerze, kolego! Czy w uczciwych zamiarach zajrzałeś na plebanię?

Dyonizy powstał.

— Ja? w zamiarach? Ależ, wyperswaduj sobie, Pawełku. Żadnych zgoła zamiarów nie miałem i nie mam. Byłem tam u nich... Kiedyż?—onegdaj, zdaje się, dla załatwienia sprawy o kawałek łąki za ogrodem. Oddałem łąkę, pal ich lichu. Wilcze oczy, popie gardło... Pójdę znów jutro, dziś może... może nigdy—według tego, czy znajdę lub nie znajdę tam przyjemności, jakiej każdy z nas potrzebuje i szuka—szukać ma prawo...

Wspaniałym był ton, przerażającą pewnością słów jego. Ujrzałem przy nich na dnie swego sumienia jakby pierwszy zarys przegranej. Na welinowym bowiem papierku „przyjemności“, szatan, nierząd, Epikur i człowiek (dopóki jest młodym i niebiednym) zgodny kontrakt podpisali od wieków. Wiedziałem o tem. Wiedziałem, że go żaden paznogieć rozumowania nie zedrze. Znalazłem się pod bramami twierdzy nie do zdobycia.—Ktokolwiek się w niej zamknął: męczennik, z przyjemnością umierający za prawdę, czy rzezimieszek... z amatorstwa.

Ochłonałem odrazu. Wypatrywałem już jedynie drogi obejścia przedmiotu.

— Otóż to! — powiedziałem, zarzucając w pół odwrocie nogę na kolano—otóż to! Przyjemność! To co innego. To rozumiem. Przynajmniej w tym względzie nie zmyślasz kuzynów, ani... kuzynek. Znać cię na tym punkcie.. jak pana po cholewach.

Dyonizy wybuchnął:

— Proszę! — powiedział zaiskrzony dowcipem cierpkim. — Toż dopiero racya fizyka! Więc jakto, trzebaż, ażebym, dla dogodzenia tobie, upędzał się jedynie za umartwieniami ciała i duszy? Katechizmu się może jeszcze od ciebie uczył? Lub też, co byłoby zapewne naj-

pożądańsze, w klasztorze się zamknął dla nieprzeszkadzania wymarzonemu przez siebie upodobaniom?

— Czerp te swoje przyjemności i rozrywki nieklasztorne, gdzie one przed tobą stoją otworem... jak w Wilnie—rzekłem zadraśnięty na nowo.

— Ba! Czy tak? Przypuszczasz zatem, dobry mój Pawle, że tam się teraz napraszać muszę, gdzie mnie za drzwi wyrzucają? Czy doprawdy byłbyś tak naiwnym? Jakże mało znasz życie, Pawle, przy całej swojej nauce... i jakże ci z tem źle być musi na świecie! A przecież, gdyby trochę rozwagi i zastanowienia...

Zaszczepiły mi się były zęby; ale nie mogłem wytrzymać.

— Znam czy nie znam życia, — ozwałem się—źle mi czy dobrze było, jest lub będzie na świecie, rzecz to moja. Tobie zaś powiadam: plebania to mój dom rodzinny. Wspomnienia moje, tęsknoty moje tam są złożone. W takich razach, nauka nie ma nic... lub bardzo mało do czynienia. Co zaś do rozwagi—rozwaga, jak już na początku wspomniałeś, przyjdzie zapewne z wiekiem, z doświadczeniem — nie troskaj się o to...

Dyonizy wzruszył ramionami.

— Plebania twój dom? — wycedził. — To w nim nie przyjmuj!

Cisnął cygaro w kąt, i od stołu odszedł.

— A zresztą—podjął zaraz, zaczynając szeroko chodzić po pokoju—twój dom! Więc cóż: zjadłem ci go, spaliłem, zrabowałem? Cóż się z nim stało?

Zatrzymał się, i dodał wyzywająco prawie:

— Lub w nim?

Podniosłem się i ja teraz.

— Co się z nim stało, pytasz, lub w nim? — O, mój Dyonizy! Innym tonem zaśpiewałbym tobie, gdyby się rzeczywiście... co stało. Na to—nie wyciągaj mię. W tej piersi jest jeszcze serca tyle, że krwią z niego zalałbyś te oto komnaty. Czy *to* rozumiesz, Dyonizy, czy nie?

Kolega odchrząknął. Odparł z wolna:

— Słowa rozumiem, grunt rzeczy niedobre. Ale, tak czy inaczej, źle robisz, Pawle, że się uciekasz do pogrózek. Nie przypuszczam przecież, ażebyś się mógł mylić, co do zasobów mojej... odpowiedzialności.

— Twojej odpowiedzialności?! — krzyknąłem postępując ku niemu.—Sądziś przeto, że z tobą bym szukał zaczepki jakich burszowskich?... z rozeńkiem?... Cha, cha, cha! zwarjował człowiek!

Zapłonęło mi w oczach.

Dyonizy się usunął.

Zawróciłem—i poszedłem ku oknu.

Kolega raz jeszcze odchrząknął. Ozwał się później głosem znizonym:

— Ty raczej, Pawle, nie waruj. O co? po co? dla czego? Daruj, w rozum twój teoretyczny nie straciłem dotąd wiary, ale zmysłu praktycznego, dalibóg, że nie masz za szeląg zlamany...

Dość szczerze, zdaje się, to brzmiało.

— Krew zaś—dorzucił — hajdamacka chyba w tobie, że mogłeś pomyśleć o zalaniu nią komnat, gdzie znalazłeś opiekę rodzicielską, gdzie jesteś i możesz być—u siebie.

Jał znów przemierzać pokój szerokimi krokami.

— Nie kłam tylko, nie kłam, kolego! Stwarzaj sobie, jeśli chcesz, umysłowe czy faktyczne kuzynowstwa, ale do duszy nie zarzucaj mi słówek, które w powietrzu chwyciłeś od wisusów powiatowych. Ubogi byłem i jestem—znam swe stanowisko. Za krzywdę osobistą, istotnie, dość twardobym z tobą się rachował... Lecz z tobą tylko... uważasz? Nie lubię cię, nie mam do ciebie zaufania. O tem wiedz zawczasu. Obludą względem dzieci nieboszczki opiekunki, nie zgrzeszę. Potrzebne im

moje życie—dam. Czci mojej—nie dam! Czy to jasne?

Dyonizy stanął.

Z twarzy sądzić by można było, że miękł.

— Deklaracya za deklaracyę — powiedział. — Ty mnie nie lubisz, nie masz do mnie zaufania; ja przeciwnie... co do ciebie. Wierz, nie wierz—wszystko mi jedno. W tym przedmiocie—kwestya zamknięta. A teraz słowo tylko jeszcze. Więc ty doprawdy masz tego kuzynka za utwor fantazyi, skoro tak na to nastajesz?

— Niezawodnie.

— Dla czego? Na jakiej zasadzie... dzisiejszej?

— Chyba że... dzisiejszej. Inaczej bym nie pozwolił sobie żartować z urwisów w kolebce, wiedząc, że masz prawo... stosować to wprost do siebie.

— Tnęsz wciąż na oślep, kochany Pawle. Widzisz, jak twoja mądrość zawodzi cię w rzeczach powszednich. A gdybym ci powiedział, kto on—ten kuzynek? gdybyś go... znał?

— Czort go zabierz! Poślij mu te oto asygnaty, które mi w twarz rzuciłeś.

— Pleciesz bez opamiętania. Zawsze tak bywało: ilekroć o ciebie chodzi, odwołujesz się do czci, do sumienia. Drugim zaś, nic już

z tych uczuć w podziale nie zostaje. Zdawaćby się mogło, ciebie słuchając, że świat odtąd stanął do góry nogami: wy wzięliście dawną szlachetność przodków naszych — o których, przyznaję, zawsze z wielkim szacunkiem mówiłeś—my zaś przejęliśmy od was same tylko zachcianki i popędy czarne. Gardłujesz przeciw przywilejom, a sam na miejsce dawnego stawiasz nowy, potworniejszy: przywilej cnoty w najmniej zamożnych. Z jakiej np. przyczyny podejrzewasz, że złożeniem przed tobą tych pieniędzy ubliżyć ci chciałem? Grosza przecież potrzebujesz. Lepiej, gdy weźmiesz swój, niżbym czekał na twoje rzadkie do mnie...

— Zmyślasz, ciągle zmyślasz. Wiesz dobrze, jak było pod tym względem poprzednio. Więc, proszę cię: nie cofaj się. Inna myśl leżała i leży pod temi „bumażkami“—i wzywam cię, jeśli w tobie pozostał choć jeden promień duszy zacnej twojej matki—zamilcz.

Dyonizy stał nieporuszenie. Gryzł wargi i podgryzywał wąsiki.

— Zgoda, skoro tak chcesz—wyrzekł nagle, z postanowieniem.—Lecz, pozwól, że i ja z kolei pod tem samem wezwaniem zapewnię cię, że najzupełniej do czego innego zmierza-

łem, niż—do czegośmy oto doszli w rozmowie.  
Wierzysz?

Zamilkł. Odgłos pytania znacząco drgał w powietrzu.

Westchnąłem.

— Przyzwyczaiłeś się chodzić uboczami—  
rzekłem—to dla tego.

— A ty nie?

— Niel... Chyba za tobą!

Dyonizy raz jeszcze się zamyślił, i, zdaje się—głębiej, bo po chwili począł słowo po słowie:

— Co do tych uboczy, powiem ci tyle: ja w domu siedzieć, pojmujesz to, nie mam powodu. Ty zaś mógłbyś bez uboczy czy z uboczami. Ani w interesie, ani w uczuciach moich dla ciebie, a tem mniej w przesądach, nie leży być ci nieprzyjacielem. Rzekłem. Pal cię teraz djabli z twoją całą nauką, jeśli mię nie pojmujesz... Kuzynek potrafi zjeść za nas dwóch. Au revoir!

Postąpił ku drzwiom swego pokoju.

— Jadę do Hubicz. Chcesz ze mną?

I, nie czekając odpowiedzi, opuścił salę.

Usiadłszy przy oknie—po kilku minutach odpoczynku—bo aż drżałem ze wzruszenia—chciałem powiązać, zsumować tę dziwną rozmowę. Lecz wątek się plątał lub rwał. Przed



ganek zachodził powóz dworski. Przypatrywałem się koniom, kołom, miękkiemu siedzeniu, błyszczącym na słońcu latarniom, sztywnemu woźnicy.— „Czemu nie?—mówiłem w duchu.—Paradne życie! Jak przy niem nie pragnąć rozrywek, przyjemności! Po co tu cierpienia, po co uczucia, ideały po co? Dla zmiany chyba. Zresztą, alboż powóz ideałom przeszkadza? Zaprawdę, w tem Dyonizy miał całkowitą słusność: zanadto świątecznie się odдыcha. Powszedniość nie jest do pogardzenia w żadnym wypadku. Powtarzamy dziś codziennie, w zamian niemal pacierza: realnie patrzmy na świat, realnie do niego się stosujmy. Tymczasem, co do siebie samych, zachodzi wielkie pytanie, czy z całą tą śniadeczyzną, nie pozostajemy goli—na gołym gościńcu słów, słów, słów. Przykład nie byłby pierwszym. Pojęcia i tryby postępowania zmieniają się jak moda:—rzeczywistość, ona jest jako sukno. Różnica w gatunku—wciąż niewielka. Doświadczenie, oto największa wiedza. Cała tylko sztuka, jak się tej nauki nauczyć? jak do niej dojść? Czy siedząc i patrząc na słońce? Nie sądzę. Ot, ten kuzynek Dyonizego. Przysięgam, nie pojmuję, jakim prawem wydać mi się mógł urojeniem. Ależ to rzeczywistość uosobiona! We Włoszech

dziś czy w Paryżu? Tu i tam może jednocześnie. Jutro będzie w Londynie i Wiedniu. Co za doświadczenie! Co za rozkosz dla zmysłów! Tak, zmysły, niema nad zmysły! Człowiek niemi zawczasu, przed śmiercią, z ziemią się łączy, w ziemię zapada, jej zimno odczuwa, z jej robactwem znajomość zabiera... Później, niech tam filozofowie dochodzą, jak Hamlet nad grobem, co prawdą, a co nieprawdą. Przedtem zaś—bardzo dobrze pani Kalisewiczowa powiada: „zawszeż, gdy kawałek chleba jest, to jest.“ Gdys na ząb co położył, lub pod siedzenie podłożył: twoje,—tego tylko możesz być pewnym. Reszta—marność. Dwie rzeczy oto mamy przed sobą: cień i światło. Zkąd cień?—z faktu, z rzeczywistości, z tego słupa, z tamtej stodoły, z tego tu ogona końskiego. A światło? Światło jest hipotezą czystą. Jest niem owa tarcza niebieska, na której żadna dłoń doświadczenia nie spoczęła nigdy, okrom dłoni Przedwiecznego. Czegoż chcemy, czego szukamy? Dajmy pokój słońcu, żyjmy w cieniu! Żyjmy rzeczywistością i doświadczeniem!

— Cóż, jedziesz ze mną do Hubicz?

Zapytanie to stawiał wchodzący kolega. Był wyświeżony jak na odpust.

— Po co?—odparłem.

— Rozerwać się trochę. Panie zajęte dziś same.

— Nie czuję potrzeby.

— Czego się dąsas? Jedź, powiadam ci. Nie będziesz żałował.

— Nie, Dyonizy, nie mam najmniejszej ochoty. Jedź sam. Potrzebuję nie rozrywki, lecz odpoczynku i namysłu.

— Ha, skoro nie, to nie. A jednakże...

Wahał się chwilę. Konie atoli tak zachęcająco potakiwały afirmatywie pytania: „być czy nie być“, że się nareszcie stanowczo za nimi oświadczył. Odjechał. Gęstszy, niż pierwszego wieczora, pył uniósł się nad drogą przy lasku brzozowym, i pełniej, niż wówczas, a mętniej było w mojej duszy.

Obiada ledwie się tknął, samotny.

Dumałem później czas jeszcze jakiś — po zwyczaju. Biedni ludzie cóż mają innego do robienia?...

Siedziałem jeszcze czas pewien, nie wiedząc, co z sobą począć—gdy przez okno zobaczyłem nadchodzącego „pachciarza“. Zbiedzoną dzisiaj miał minę Srólek. Zgarbiony był, zszargane poły jego chałata wlokły się po ziemi. Idąc stawał, obliczał coś na palcach, kręcił głową. Zmierzał do dworu.

Wszedłszy powitał zdjętą bobrową czapkę.

— Czy znowu jaka bieda w domu, panie Srólku?—zagadnąłem.

— Alboż kiedy od żyda odchodzi bieda?—  
odpowiedział niewesoło.

— My owszem utrzymujemy, że, jak bieda,  
to do żyda.

— Mało czego nie trzymacie wy o żydach!—  
odparł z niesmakiem.

Obejrzał się—uczynił ruch jakby nie sumie-  
nie, lecz co gorszego go gryzło.

— Panicz wyjechał, słyszałem—począł.

— Na parę godzin. Czy macie jaki inte-  
res?

— Co z panem Pawłem mówić o interesach,  
kiedy sam goły jak święty turecki.

Uśmiechnąłem się. Srólko brudnym ręką-  
wem chałata ocierał czoło spocone.

— Bez żartu, Srólku, czegoście tak zmar-  
twieni?

Postąpiłem ku niemu, zmiąwszy w garści  
paczkę asygnat.

— Jak się nie martwić—odrzekł.—Oto głu-  
chy Klemens z plebanii wziął się na moje  
krowy, i tylko bydło dworskie przez mostek  
puszcza na wygony... później, w sąsiednim po-  
wiece pomór, a pacht za dwa lata z góry za-  
płaciłem, a w domu ani grosza... Prawdę raz  
powiedziała wasza Kohin-Baba, gdy zwarjo-

wała, że żydowi na świecie trzy tylko drogi: powiesić się, zostać szachrajem lub — jak ona zrobiła—wyszydzić się...

— O, Srólku—pochwyciłem — nie mówcie tak o nas... u nas...

Bure oczy mu zabłysły.

— Alboż mówię do pana Pawła? — Mówię do tych, co tyle tylko znają żyda, kiedy w jego rękę pieniądze widzą — przepiwszy swoje jak chłop lub przetańcowawszy jak pan—i ani spojrzeć nie chcą, co ten żyd w domu je, na czym śpi, w jakiej koszuli chodzi, żeby zebrać złotówkę, którą później—pożyczy, na lichwę swą... krwawą. Dobrze wam gadać: jak bieda, to do żyda—a gdzie teraz żyd pójdzie, jak go bieda dusić zacznie?...

— Nigdzie iść nie potrzebuje... — odpowiedziałem nieśmiało.

Drżący, zarumieniony, zasadziłem rękę za jego „pazuchę.“

— Srólko zmarszczył czoło—wyjął papierki, obejrzał.

-- Nu, panie Pawle, a to zkąd?

— Od Dyonizego—wymówiłem.

— Niech sobie będzie od Dyonizego... pan co będziesz teraz robił?

— A tobie co do tego... „parchu“ — odpowiedziałem całując go w policzki.

Żyd się rozczulił.

— To rzadko bywa—rzekł.—No, ale i w takim jeszcze razie miała słuszość nasza Kohin-Baba... bo z wami została...

Pożegnał. Ten dom oto—panie Bazyli dobrodzieju, w którym obecnie mieszkam—to on mi kupił.

---

## VII.

Była godzina czwarta z południa gdy dwór opuścił, pociągnąwszy drogą w górę Czarnej, po za „pruskim murem“ wozowni nowej, w stronę Malwinowca.

Przechadzka w tej miejscowości najmniej drogich wspomnień wywołać we mnie mogła; najmniej zdolną była serce podrażnić lub zakrwawić. Rzadko tu bywałem. Spoczynek był mi istotnie potrzebny—i nie zmyślałem—najrzetelniej powiedziałem to Dyonizemu przy jego odjeździe. Po to teraz wyszedłem. Smugi, pola, łąki, zboża, wiatraki, drogi, chaty, przemawiały tu do mnie, w tej okolicy Niewyhrycz, zaledwo tyle, ile rzeczy same za siebie mówić są w stanie. Nic mego osobistego nie leżało na nich. Nadchodziło jedno, usuwało się za mnie drugie,—trzecie z kolei rosło lub ginęło, i razem wszystko następnie osia-

dało płasko przy ziemi, wśród obszarów nieobjętych okiem, zawsze nowych i zawsze jednako obojętnych. Kiedy niekiedy brzask młodocianych myśli zaczął się na chwilę przy jakim krzyżu, przy „sypce“, gdzie się raz lub dwa w życiu odpoczywało, lub gdzie się kiedyś zegnało, lecz natychmiast się zsuwał, odlatywał i przepadał w masie przedmiotów innych, zwyczajnych, nie nieubarwiających, ani w duszy ani na zewnątrz.

Pożądaną mi była ta różnorodność niestłoczona nigdzie, niegromadząca nic. Chciałem się opędzić szemrani w sobie uczuć nie tyle może przykrych, ile przyznam się niepewnych — demoralizujących. Nie mogłem przed sobą zataić, że zasiew niektórych słów Dyonizego, a zwłaszcza jego zamilczeń, szybko kiełkował we mnie. Wyobrażenia, a raczej wizerunki z tego jego „praktycznego“ świata i życia, dość mi dotąd obce, émiły się mi obecnie przed oczyma, poruszały się na dnie mojej istoty. Podobne to było do wydobywania się kretowisk na wiosnę; podnosiło, ryło stałą glebę przeświadczeń, szczypta po szczypcie. Zgnieść te szemrania w sobie, odrzucić, opędzić je od siebie jednym postanowieniem, jednym rozkazem woli, nie mogłem. Dość były uparte, a nie były odrażające. Motyl, gdy się



wydostaje z poczwarki, wstrętnym jest podobno, ale cóż kiedy jego śliczne skrzydełka zawczasu widzimy. Stawałem raz po raz przed tą wysypką realizmu, i powiadałem sobie: a jeśli niezbędna, — jeśli potrzebna?

Chodziłem, wracałem.

— Skorzystajmy — mówiłem sobie — z chwilowego ochłodzenia się duszy. Proza życia spojrziała nam w oczy, spojrzmy i my jej nawzajem. Najprzód, na czem polega niebezpieczeństwo? gdzie nieprzyjaciół? jakie jego siły?

Zacząłem obracać trzy te pytania na wszystkie strony, zgłębiać położenie, badać charakter, rozmierzać widoki każdej z osób wchodzących na scenę. Szukałem podobieństw dla sytuacji danej w zdarzeniach mi znanych. Porównywałem wypadki ubiegłe, rozbierałem wyraz po wyrazie co mi kiedykolwiek Micia powiedziała o sobie, o mnie, o Dyonizym, o Taci. Koleżka stara się zjednać sprzymierzeńca w Faustynowej. Taktyka znana, stara; zadanie na raz obecny łatwe. Pójdzie mu to jak z płatką.

— I cóż dalej?

Wszystko zależy od Mici. Da się dziewczyna uwikłać w intrygi czy nie. Łatwobym je rozplątał, przedstawiając przed nią rzeczy

w należytem świetle; ale kto zaręczy, że nie pogorszę sprawy zamiast ją polepszyć, gdy wczasu odsłonię to, o czem ostatecznie sam dobrze nie wiem, a dziewczyna wiedziećby może niepowinna...

Podjąłem kłębek od innego supelka: od rozmowy z Dyonizym. Co w niej było podstępem, co prawdą? Co sidłami na mnie, a co rzetelnym dźwiękiem szczerości?

— Piekło go odgadnie!—rzekłem w końcu.

Głowa mię rozboleła.

— W stosunkach ludzkich — rozmyślałem cierpko — jest dziś do zaznaczenia zjawisko niezmiernie upokarzające naturę naszą, a raczej naszą cywilizację. Słowo stało się w nas gatunkiem suchego, martwego drzewa, które tylko pod domysłem zakwita. Słuchasz nieraz człowieka, i gardłobyś zdaje się dał, że w jego wyrazach nie krąży żaden sok wewnętrzny, ani na dobre, ani na złe. Nie dotknie to cię zbyt rażąco, ale też i nie pocieszy na prawdę. Jest sobie wiórkiem jakimś, mniej więcej gładkim,—i po wszystkim. Ale zacznij ten wiórek obracać, miąć, giąć w palcach, zacznij badać jego lepkość, miękkość, zapach, kolor, włókna, smak—odkryjesz takie wyrafinowane esencje trucizn i słodyczy, o jakich... O jakich sam mówiący nie ma niekiedy wyobrażenia!

To właśnie najgorsze. Trzeba brać fakta pod roztrząsanie, nie zaś gadaniny.

Cóż jest faktem?

Faktem jest nasamprzód, że popełniłem onegdaj błąd kapitalny. Trzeba się było na plebanii zmierzyć oko w oko z Dyonizym wobec Mici. Kto tak haniebnie plac boju wrogowi ustępuje? Dziewczyna wspomniawszy wczoraj o tem, aż się uśmiechnęła dwuznacznie.

Powtóre, hołysz oto jestem. Fakt całkowicie brzydki. Z plebanii na mój i Mici wyjazd do Wilna—w razie czego—nie wyciągnąłbym siedmiu złotych. A tutaj—czy nie do lamusa na pokomornebym ją zaprowadził? Lub do ogolonego Malwinowca?

W gruncie, Dyonizemu o co innego możeby i nie chodziło. Przynajmniej, niepowinnoby. Znam go trochę. Dla czegoż jednak o Joasi... z mego niby powodu, na moją intencję wspomniał? Co miał na celu pod koniec czułych swych oświadczeń? Zatumanianie mi oczu? Chybaże. Nawet ilość niewiadomą do kombinacyi wprowadził: — kuzynka, który za dwóch zjada. Zręczny jest, wisus, niezaprzeczenie. Ja... z Joasią — na kobierzec? Czy słyszał kto co podobnego? I może jeszcze przed księdza Faustyna? z jego mówką ślubną i cytatami z Grzegorza nanzyańskiego?

Wielki-Iwan za świadka?... Tam, pod cerkwią niewyhrycką leży kilku władków halickich, potomków księcia Daniły; pewnie więc w dodatku, i koronę wyciągnęliby jaką? I sprawdzi się przypowieść: „ne umiju ni czytaty ni pisaty, a choczut na korola obraty.“

Żart na bok, lecz co ci ludzie chcą ze mną zrobić?

Paraska nawet milej już wczoraj o Dyonizym się odezwała. Za parę dni Klemens gotów słuch odzyskać i odmłodnieć na widok... półgarncówki. Zostaniemy sami z Kanisem,— i to jeszcze pytanie. Zasada bowiem „przyjemności“ rządzi nie samym tylko światem dwunogim...

Co zaś z całej tej mojej... koronacyi najpiękniejsze, to fakt główny, że sam zostałem na łasce prawdziwie monarszych zapewnień Dyonizego. Oświadczą mi wspaniałomyślnie kolega, że nie ma zamiarów na plebanii. Lepiej,— wkrótce najprawdopodobniej wyjedzie za granicę, do Paryża lub do Włoch—do „kuzynka.“ Czy sam... Budżet utrzymania nie na to zakrojony. Wszak kuzynek ma apetyt akurat za dwóch. Można go z łatwością zastąpić apetytem... „za dwoje.“ Pomysł niesłychanie praktyczny. I koleżeński jak rzadko. Domu „mego“ przecież mi z sobą Dyonizy nie zabie-

rze; ubocza zostaną na miejscu; ścieżki, do Włoch za nim nie powędrują; szyb ze światłem w oknach nikt w plebanii wyjmować nie będzie. Nawet plebania nie osamotnieje. Michalina nie bez powodu oczy mi wciąż Tacią wykiwała; rumienić się już dziś przed nią przestałem... O cóż tedy chodzi? Nikt Faustynowej a tem mniej Faustyna na królowę-bonę kierować nie ma „zamiaru“, nie myśli. Będą jak byli...

Tak siebie pocieszałem. Bólu głowy nie umniejszało to tymczasem bynajmniej. Niedrów się czułem, niesmaczny.

Skierowałem się do domu, ku Niewyhyrczom.

Zresztą, już i wieczór się zbliżał.

Z powrotem, zajrzałem do dworu. Spokojnie było wszędzie, lub jeśli gdzie gwarno, to gwarno jak zwykle. W pokojach panie były — „zajęte“, powiedziała ochmistrzyni, obierająca jakiś zdaleka pachnący czosnek. Przy oborach lub w stajniach parobcy na mój widok pochowali za siebie lulki. Westchnąłem: nie dla tego jedynie, że tytoniu nie znoszę... Wyrznąłem wszelakoż jednemu z nich verba veritatis, powiadając: że przecież niebezpieczeństwo i nieszczęście nie wtedy tylko przychodzi lub mija, gdy się na nie patrzy.

Niewiele co zdaje się zrozumieli.

Poszedłem na plebanję.

Spotkała mnie pani Faustynowa. Mici nie zastałem. Wyjechała przed południem.

— Kiedyż wróci?—spytałem.

— Jaki mądry! Kiedy wróci?! Śmiech dali-pan gadać. Że w uniwersytetach bywał, to już myśli, że cały świat jak w rogu. Pojechała więc i powróci. Jutro znów pojedzie. Czegoż tu darmo melć językiem. Fitiu, fitiu, pełna skrzynia aksamitu, to i to nie przymierzając. Kiedy powróci? Powróci wieczorem, w nocy, po nieszpórach w soborze. Może z Faustynem razem, może wcześniej. Jakby nic nie wiedział. Także niewiniątko ze swoim pytaniem!

U pięknej pani Faustynowej nie byłem dobrze notowany w ostatnich czasach, o tem wiedziałem, lecz tym razem głos jej zdumiał mię naprawdę. Rozhasany był jak od wielkiego święta. Słówka się jej kręciły niejako piórka na patyku. Pochyloną główką obracała dokoła za igrającemi i mieniącemi się falbankami, gustownie skrojonej swej sukienki, którą rączkami po bokach wygładzała.

Zapadały pierwsze cienie wieczora.

Zkąd się jej naraz, myślałem sobie, zebrało na ten akcent sklejony najwidoczniej dla mnie

z półcienkiej impertynencji i półgrubej fanaberyi? Mniej niegdyś bywała półśrodkową. Pusty śmiech lechtać mię już zaczynał, lecz się powstrzymałem, i tylko rozmachnąwszy się po starej znajomości, rzekłem:

— Cóż wam tak nagle się rozjeździło? Bo i pani jak widzę jesteś na wyjezdne, czy co.

— Jeszczeby czego niestało! Wcale nie na wyjezdne—odparła.

·Kiepska, myślę sobie, sprawa.

— Więc może czyje imieniny?

— Ot tobie masz! trafił jak kulą w płot! Imieniny! w miesiącu maju! Słyszałże kto?

— To chyba urodziny już! — powiedziałem strojąc się w najbardziej tęczowe uśmiechy!

— Patrzaj go na jakiego wykierował się śmieszniśia, a dawniej oczu nie śmiał podnieść! Otóż wcale nie urodziny!

·Posłyszałem jednak leciuchne złagodzenie w tonie. Ośmieliło mię to.

— Aha! gości się spodziewacie.

— Wybrał się! któż gości spodziewa się, kiedy jutro odpust w soborze, i dziś już sobora pewno pełna!

— Czy tak? To jutro odpust w soborze? Daj go katu, zapomniałem na śmierć. Przeszkadzam więc pewno. Najpokorniej panią przepraszam.

Mówiłem to, jakbym mówił tysiąc innych dorzecznosci lub niedorzeczności. Ale ruch ku wyjściu, jaki w tej chwili zrobiłem, należał już do prób wolnych, używanych in extremis. Tacia nie lubiła gdy kto nadchodził nie w porę, ale jeszcze bardziej była nieradą gdy kto bez potrzeby wychodził. Jedno atoli czy drugie było istną loteryą. Trafiłeś—wygrałeś; nie trafiłeś—przegrałeś.

Wygrałem tym razem. Pani Faustynowa, na widok moich ukłonów pełnych rzetelnej skromności i poddania się losom, rozfałdowała usteczka.

— No i czegoż znowu tak pan zmykasz?— zawołała.— Na wieczór pan zdążysz; Faustyn nie wyjechał dotąd, więc się nie spóźnisz. Zostań trochę z nami. Może kolacyę zjesz naprędce z księdzem? bo gościna tam wasza gościna, a zjeść niezaszkodzi..

— O jakiej ona u diabła gościnie plecie?— pomyślałem.

Paraska wniosła w tej chwili światło, choć dość jeszcze było wczesnie. Faustynowa nie zaniechała wnet rozejrzeć się w niem po wszystkich swoich falbankach... Trudno zaprzeczyć! Wyglądała jak... na urodziny.

Czy Tacia rzeczywiście była piękną, jak ją powszechnie nazywano? Mojem zdaniem wy-



padałoby ją zwać raczej miłą, powabną. Miała cerę świeżą, bieluchną, szereg ząbków drobnych, równych, jeden przy jednym jakby umyślnie dobranych z najprzedniejszej perłowej macicy; ustka kalinowe, oczęta niegłębokie, więcej zmacone niż przyćmione długimi ciemnymi rzęsy,—żywe, biegające, na pozór zjadliwe, w gruncie wszakże dobre. Jakiego były koloru? Według mnie zielonkawego, wodnego. Lecz zgody na to niebyło pomiędzy doborową młodzieżą naszej ówczesnej „inteligencji.“ Panicz z Szastał, który Warszawę zwiedzał aż dwa razy w ciągu niespełna lat czterech czy pięciu, i stanowił na Podlasiu powagę w kwestyach gustu i mody, nazywał je owszem modremi; śmiał się złośliwie, pokręcając żółtą swą brodawkę na twarzy, ilekroć mu przeczył sędzia Garnkiewicz, któremu niesłusznie dokuczano, że wyraz „modry“ brał nieustannie za „mądry“, a pisał „mądry“ przez *n.* Bądź co bądź, oczkami temi zerknęła Tacia uprzejmie i słodko, ilekroć wychodząc z kościoła—bo jeździła dawniej do kościoła co niedzielę—kłaniano się jej i ztąd i z owąd, czy kto ją znał bliżej czy nie znał. W miasteczku, cztery panny aptekarzówny, żona „horodniczego“, „smotrytiel“ turmy, sekretarz ziemskiego sądu i kilku innych arystokratów

miejskich nazywali takie spoglądanie „mizdrzeniem się.“ Naprawdę, niebyło żadnego mizdrzenia się; do niej się raczej mizdrzono za wiele. W ciemną jednak bitą nie była, i wiedziała jak kogo potraktować, choć czoło miała niskie, gładziutkie, niby grzebień ze słoniowej kości. Włosy za to czesała w ten sposób, że nierozbierając ich pośrodku, zapuszczała je w tył na szyję i ramiona w pukle ciemne, miękkie jak jedwab', obfite niezmiernie i bujne. Tak jej najlepiej było do twarzy, i tak też zwykle przyjmowała gości dopóki mieszkała przy matce, wdowie po „błahocznym“ naszego powiatu. Uśmiech miała cokolwiek zajadostajny, bez znaczenia powiedziałbym, gdyby nie mówiono, że był właśnie zawiele znaczącym. Utrzymywała to mianowicie pani kaznaczejowa, której córka przez rok cały miała guwernatkę Francuzkę, pozostałą na Podlasiu w r. 1812, dziś utrzymującą magazyn mód w Grodnie; kaznaczejówna, jej córka, była panią istotnie dobrze ułożoną. Czego jednak nikt Taci nie zaprzeczał, to szyi, podbródka, kibici i rączek jak utoczonych. W ruchach jej nie dostrzegałeś nic gminnego, lubo nieraz cała była jakoby na sprężynkach. Panicz z Szastał stanowczo utrzymywał, że w Warszawie po największych

domach nieinaczej się damy prezentując; i rzeczywiście ruchliwość owa dobrze odpowiadała postawie Taci giętkiej, zgrabnej, uwydatnionej, wydatniejszej niż postawa Mici, bo też Faustynowa o cztery lub pięć lat była starszą od swej siostry. Słowem, przy stroju zawsze starannym, wykwintnym, przy drogich czarnych zauszniczkach, przy cieniutkim sznureczku paciorek błękitnych na szyi, przy ciemno czerwonej wstążeczce, którą przewijała włos swój gęsty, suty, lśniący, Tacia niewątpliwie ładną była kobietą, wcale ładną—bardzo w tej chwili ładną. Mogła wytrzymać porównanie nawet z Micią—doprawdy. Tylko że Micia gdy się bywało zaśmiała, to jakbyś niebo zobaczył; Taci zaś uśmiech pokazywał zawsze tylko skarbiec ząbków nienaśladowanej białości, i cokolwiek więcej odchyłał jej usta różane, cienkie — i gdy była w gniewie — zacisnięte.

Obecnie widziałem te ustka całe, przy świecy i przy lusterku, w purpurze zadowolenia równie kapryśnego jak kapryśnem było zacięcie się początkowe. Z głosu też pięknej Taci, zwykle cienkiego i śpiewnego, spadło teraz wymuszenie, jako chryпка spada za użyciem łyżki prawdziwego białowieskiego miodu. Kiedy mianowicie łyżkę tę jej podałem?

z czem? Zaprawdę, odgadnąć było trudno, i odgadywać nie miałem czasu.

Wchodzącej ze światłem Parasce Tacia poleciała śpieszyć co tchu z kolacją, bo ksiądz się niecierpliwił—ale stara miała jeszcze czas szepnąć mi do ucha, wsadziwszy coś z tyłu za kołnierz niby w żarcie:

— *Pilnujśia dobre, Pawelku!*

— To więc jednakże, cóżkolwiekbądź—powiedziałem do Faustynowej, zmieszany tym wypadkiem—to więc ostatecznie wyjeżdżacie państwo tego wieczora?

— Jaki z pana filut! — odrzekła opatrując zdala, z pod sukni, glans drobnych swoich trzewiczków. — Lepiejbyś przed ludźmi udawał, a nie przedemną. Jakby to nie wiedział!

Popatrzyła na mnie.

— Przytem,—dodała poprawiając kokardkę u stanika—mam tyle dzisiaj roboty w kuchni, w spizarni, u siebie... Gdzie tu myśleć o wyjeździe!

— Roboty? czy nie w tej prześlicznej sukni, którą masz pani na sobie?—zauważyłem, narzecie!

Tacia na te słowa aż się zakręciła po pokoju. Rzekłbyś, że była z gumalastyki lub z korkowego drzewa.

— A co? nieprawda? spojrzno! Tylko ze świecą ostrożnie! Widzisz pan?

— Jak nie widzieć! oczy lgną same!

— Czy bodaj trochę nie zadługa z tyłu?

— Broń Boże! wspaniała!

— A tu, w ścięciu?

— Cudowna! przepyszna!

— Nieprawdaż? A z przodu? widzisz pan, z przodu!

— Świetna!

Podziw mój, pomimo ostrzeżenia Paraski, był szczerym. Nigdy dotąd zbliżka nie oglądałem ślicznego stroju na ładnej kobiecie, i zapewniam, że nie jest to bez powabu. W głowie mi nawet zakrążyło trochę.

— Świetna!—powtarzałem—nic do zarzucenia! Cokolwiek tylko być może od góry jakby nieładko leżała...

— Gdzie? panie Pawle kochany, gdzie? pokaż proszę. Tu?

— Nie... Tu oto.

— Ej, po palcach dostaniesz! Poszedłbyś lepiej do kancelaryi gdzie Faustyn zębami już pewno zgrzyta na kolacyę... A rękawy nie zaszerokie? co?

— Pokażno pani. Przeciwnie, czy nie zawązkie? Śliczniutkich rączek niedojrzeć...

— O, patrzaj go, co za pochlebniś! Już i do „kozytek“ się bierze! A jak dawniej, to i oczu podnieść nie śmiał. Znał „mores“ gdzie było trzeba i nietrzeba. Obaj teraz puściliście się, co?

Niechby ją z&wczasu cholera była porwała! Piękną była, że się aż niedobrze robiło.

Począłem jej coś szeptać głupiego.

— Porzućno, porzuć! Po co wygadywać niestworzone rzeczy! Nie pleć darmo! Dziś to, jutro owol *To siudy, to tudy!* Znamy się!... No, i dla czegoś, powiedz, zrenonsowałeś z Hubicz? co?...

Odstąpiłem... Gorący rumieniec twarz mi oblał.

— Z Hubicz? A zkadże to pani wiadomo, że z Hubicz zrenonsowałem?

Tacia pokraśniała.

— No, ot tobie masz, wiem...—zagadała.— Tak sobie wiem. A niby to pan nie wiesz? Toż od Amelki z Hubicz Micia na wieczór do miasteczka jedzie... I czegożeś pan tak osowiał?—Wróci, powiadam panu, może za godzinę, za dwie... Lecz panie Pawle, co ci jest? Trafisz pan jeszcze na wieczór, choćbyś z Faustynem pojechał... Panie Pawle, doprawdy, bo już nigdy nie pozwolę... Co się z pa-

nem dzieje? Może wody z cukrem? Zmiłuj się, panie Pawle! Paraskol! Czy źle panu?...

Nie słyszałem nic więcej.

— Micia w Hubiczach—i on!

Widziałem — oparłszy się o ścianę — jak świat zakrążył przedemną, zachychotał, młynka wywinął. Nigdybym pierwiej nie przypuszczał, że wyobraźnia z takim szalonym pędem uderzać i oblekać może w kolory jaskrawe, piekące, myśl jedną—myśl w mózgu powstającą jako błysnięcie żelaza, co ma pierś przeszyć. „On w Hubiczach — i ona!“ — Nicosć po za tem. W ciągu minut nie wiem ilu, reszta nie istniała. Znikły przedmioty; przy mnie nie pozostał ani jeden promyk—ani jeden cień rozwagi. Otoczenie przybrało wyraz twarzy „niemkowej“. W uszach zatrzeszczał dziki, potworny okrzyk!

On w Hubiczach—i ona!

Ocknąłem się. W pokoju nie było światła. Omackiem trafilem do drzwi. Wychodząc, posłyszałem przed gankiem bicie kopyt końskich; Faustyn wysuwał się z kancelaryi do sieni, z przeciwka; nie postrzegł mię pewno; był zagniewany straszliwie—jąkał się jak nigdy, powiadając:

— Ju-już i tak spóźniłem się. Da-dajcie pokój z waszemi kolacyami.

Mruknął coś jeszcze, wsiadł na bryczkę i odjechał.

Kanis, skomląc, u nóg mi się plątał.

Wybiegłem na świeże powietrze. Wrażenie świata było prawie nowe:—smętne do nieskończoności. Nie czułem w sobie żadnego bólu, żadnej materyjalnej dolegliwości; na duszy leżała nawet pewna swoboda—bez ciepła, bez chłodu, bez powietrza prawie, bez tchnienia. W uszach rozlegało się brzęczenie ciche, łagodne, jako szept nieobecności... na zerwanych już tym razem strunach szczęścia, które zapadło pod ziemię...

On w Hubiczach—i ona!

Przyłożyłem ręce do suchej twarzy — pałały.

Przedmioty postrzegałem przecież dokładnie: lasek był zamysłony, niebo w paski chmurkami pokrajane, drzewa ruszające się; pola—z przymkniętymi powiekami, wiały oddechem mglistym.

Lecz logika uczuć i myślenia była już we mnie jakby sparaliżowaną. Przędła odwzory świata zewnętrznego kołem jednym trafnie,—drugiem zaś, kołając przeraźliwie i gwizdząc. Wszystko szło w kierunku nabranym, parło bez zastanowienia i opamiętania po linii prostej pierwotnego rzutu: — On w Hubiczach—



i ona! Zeszły, usunęły się z tej linii szczegóły postronne, będące dla nas, w chwilach zwyczajnych, wskazówkami kontroli umysłowej;— a raczej, były i one przytomne, tylko że raz wciągnięte w potok głównego prądu, wzmagaly jedynie jego moc i szybkość.

Stałem czas jakiś na mostku, łamiąc sobie ręce, wpatrując się przez wypróchniałe otwory w przepaść Czarnej—ciemną, niewidomą. Żar z rąk przechodził — do skroni. Tętnice po nich smagały jak bicze.

Spojrzałem po pustym obszarze pastwisk niewyhyryckich. Musiałem już mieć początki obłądu, bo mi się wydało, że widzę przed sobą spalone młyny miejskie... Zrąb ich jeden czarny wstał i szedł nad rzeką... Po plecach coś chłodnego mi przesunęło. Przypomniałem, że Paraska, ostrzegając, powiedziała słowo jakieś, i papierek zasunęła za kołnierz. Rozpiąwszy koszulę, wydostałem kartkę. Ciemno było choć oczy wykol. Biegłem do dworu. Przy stajniach, wolno z głównej drogi zajeżdżał powóz.

— Pan wrócił?—spytałem woźnicę.

— Nie, panie, z drogi konie odprawił.

— Z jakiej drogi?

— Z tej tu zaraz, wracając, za mogiłami szwedzkimi.

Nowa schadzka! pomyślałem.

Do dworu, ani do lamusa nie zaszedłem. Kartkę rozwinąłem przed oknami pokojów pań, z których się lało światło na ogród przy furtce. Ołówkiem była pisana. „Jeżeli nie będę w Hubiczach, to przyjedź po zmroku, wieczorem. Pawelka zostaw przy...”

— Przy kim?

Wyraz był zatarty. Palcem go widocznie ktoś zamazywał... „Pawelka zostaw przy... Pies będzie uwiązany.” Bez podpisu — charakter Michaliny.

— A, niktzemni! wrzasnąłem.

Oprzytomniałem w jednej chwili, a przynajmniej byłem pewny żem zdrow—że mi się nic złego nie stało.

— Teraz dopiero — rzekłem — pokaże się wam... hajdamacka dusza moja!...

Ale się zastanowiwszy, parsknąłem wnet śmiechem.

— Dla czego by rady nie usłuchać? Dla czego by nie zostać przy...? — Alboż wybór trudny?

Podle zerknąłem w okna, z których niegdyś matka Joasi słodycze nam, dzieciom, rozdawała.

Zgroza mię zdjęła.

W pędzie przebyłem ogród, i już nie pamiętam jak przeskoczyłem zielska. Znalazłem się nad Czarną.

Zaspokoilem najpierw pragnienie; po czem zaraz zabrałem się do pracy... Chodziło o przejście.

Wróciłem pół przytomny, pod lamus. Leżała przy nim—wybornie to sobie przypomniałem—stara gruba deska, czy może nawet podwalina, omszona, plugawa, ale od środka zdrowa, mocna. Wziąłem ją na ramię i zadźwigałem. Zdaje się, że raz przewaliłem się, z pośpiechu, w zielska.

Miara, jak na kładkę, nie wypadła z początku należycie; deska była zakrótką. Kłopotowi atoli zaradziła wkrótce doskonała znajomość topografii nadrzecznej. Brzeg Czarnej z tej strony niski,—był z tamtej, od plebani, wysoki. Pod jedną ze ścian wysokiego tego brzegu, opadające wody Czarnej wyłaniają w porze letniej, rodzaj półwysepki, powstałej najprawdopodobniej z namulów koryta rzeki, skracającej się w tem miejscu w niewielki zygzak. W lecie ostrów porastał dookoła bujnem zielskiem i sitowiem. Znałem go jak swoją kieszeń. Przed dwunastu lub piętnastu laty, dopóki w tem miejscu nie utonął Józik Minkiewicz, krewniak Welikaho-Iwana

i Jagusi, codziennie tu niemal trzymałem worek przed Klemensem; raki tu były sławne na całą okolicę, i zdaje się nawet, że sam Napoleon ich kosztował. Oczyma teraz odszukałem ostrów; dobrze już był kędzierzawym. Przerzuciłem kładkę i próbowałem, czy na tę tu szerokość rzeki wystarczała. Sięgnęła wysępki. Serce zadrżało mi z radości. Dla czego?

— Teraz to zobaczymy—powiedziałem.

Co miałem na widoku z tem zobaczeniem?—nie wiem. Działalem z jakąś całkiem powierzchniową świadomością swych ruchów i pomysłów.

Zarzuciłem kładkę—nie do zyczenia!

Przeszedłem. Czuję się zadowolonym.

Dość teraz było stanąć na palcach i głowę wysunąć po nad krawędź brzegu, by skróć krzaki rzadsze w tem miejscu—(bo niedaleko stąd znajdował się skład główny sadzy i popiołów Paraski)—ujrzeć przed sobą jak na dłoni plebanie całą, z jej ogródkiem cokolwiek w prawo położonym, żóraw naprost, księżę stodoły na lewo w głębi, stogi za stodołami. Dopókim był mały, Klemens spuszczał mię tu z brzegu na sznurku, a później wciągał za ręce. Podrosłem od tego czasu ku

krawędzi czołem, a i ostrów musiał się cokolwiek w górę podsunąć.

Zanim jednak wyjrzałem ztąd obecnie ku plebanii, ściągnąłem wpierw ostrożnie kładkę, ku sobie, ku półwyspie mojej. Próbowałem nią dna dokoła. Na lewo przy ostrowie, w dół rzeki, od strony lasku brzozowego, było za głęboko; na prawo, trochę może za płytko. Lecz to drobiazg. Sterczącej główki podwaliny nikt nie dojrzy; a mnie w sitowjach sam djabełby nie wytropił.

Wytknąłem głowę po nad krawędź. Serce zakolało twardo, prędko, na różne strony, jakby z zawias zerwane. Uciezło wnet. Na całej wyniosłej płaszczyźnie, aż pod cerkiew, nikogo widać niebyło. Noc, w bezwładnym spoczynku rozciągnięta, leżała na ziemi, okryta wojsłokiem grubych ciemności.

Patrzyłem, wyteżałem wzrok—i nic nigdzie nie było. A wszakże, Dyonizy stał przedemną, o kroków kilkadziesiąt, na lewo, ku stogom. Czy teraz, przed chwilą się zjawił?—być może. Stał, wyciągnięty, prosty; poły szare zapiętego surduta spadały mu po kolana. Nie ruszał się. Oczu od niego przez gęsty mrok nie odrywałem. Dał się słyszeć szelest przed nim, na prawo, od plebanii. Serce na nowo wskoczyło mi w piersi. Szła ona. Widzia-

łem dobrze błysk jej źrenic. O, co za obłudnica! Ubrana była. Tylko co ją przywiózł pewno. Z Faustynem się gdzie może w drodze spotkali. Ona to była, Michalina. Po głosie poznałem.

— Idź pan sobie, idź!—powiedziała — nie można dzisiaj!

I prędko, lecz pocichu odeszła.

Czego się tak tych słów przeraziłem? Myślałem, że na wznak do rzeki upadnę. Ciemność otulała mię w całun zimny.

W mgnieniu oka, jakby mię kto ścigał, wy dobyłem podwalinę z wody, przerzuciłem ją powrotnie z ostrowu na brzeg dworski, przeszedłem, i kładkę ściągawszy, zasunąłem pieczołowicie w trawy i zielska dzielące Czarne od ogrodu.

Wybrnąłem z zarośli.

Stałem na chwilę, obejrzałem się, znalazłszy się w alei. Pot grubemi kroplami okrywał mi czoło,—a tylko co niedawno było zimno... Zdawało się, że postyszałem dalekie dzwonienie. Dzwoniono zapewne w miasteczku, w soborze, gdzie się wszyscy księża zbrali na długie w noc przed odpustem nieszpory. Poczułem na twarzy ciepły oddech biednej naszej Marylki. . siostry mojej. Ale żyć już uronić nie mogłem.

Ogród smętnie patrzył. Smętnie, gdym przechodził huczały nademną drzewa. Ziemia się zataczała. We dworze biegały po oknach jakieś światła, zaglądale pod krzaki. Furtkę znalazłem odrzuconą na bzy. Dziedziniec był pusty. Szedłem sam niewiedząc po co.

Zmierzałem ku gankowi. Pokojówka zsunęła się w bieli z jego schodków.

— Ach, panie—wołała—szukamy pana od godziny.

— W jakim mianowicie celu?

— Panienska zasłała.

— To pošlijcie po doktora.

— Prawda. Trzeba pošłać po doktora. Kogo pošłać po doktora, powiedz pan?

— Spytajcie o to pana Dyonizego.

Zawróciłem ku furcie.

W głębi alei dał się widzieć ognek. Rozszerzał się—to zwięzał promiennie w jedną i drugą stronę, i biegał po liściach niby zorza drobna, lub odbłask dalekiego na niebie pożaru. Nadchodził Dyonizy. Iskry dopalającego się cygara zaglądały mu do ust rumianych. W tył zarzuciłem ręce skamieniałe.

— Paweł?—rzekł zbliżywszy się. — Dobry wieczór!

Podał rękę. Nie przyjąłem, powiadając przez dzwoniące mi zęby:

— Pojechałbys raczej... po doktora... dla siostry... zamiast się wałęsać...

Dodać chciałem jakiegokolwiek obelżywe słowo, lecz już nie mogłem. Siły opuszczały mnie gwałtownie; w uszach poczułem szum powtórnego uderzenia krwi do głowy. Zaświeciło w oczach, a na tej błyskawicy ukazały się jakby ciemne twarze Klemensa, Mici, Koi-Baby, Marylki... „niemka“, Faustynowej, zlane w jedną wielką twarz—obłąkania.

Tak się skończyła ta sprawa... *dla mnie.*

---



## VII.

Chorowałem ciężko, ale niedługo. Ocale-  
nie zawdzięczam opiece i staraniom, jakimi  
mnie otoczono we dworze.

Z lamusa zostałem przeniesiony w zacisz-  
niejsze miejsce głównego domu, na piętro, do  
pokoju obróconego oknami na północ, zasło-  
niętego od promieni letniego słońca, i o ile to  
być mogło od odgłosów z za rzeki. Pomimo  
zapewnień pani Stanisławowej, że na siebie  
bierze moje wyzdrowienie, sprowadzono kilku  
lekarzy, nieszczędzono kosztów, niezałowano  
osobistych usług i poświęceń.

Jaki to był rodzaj choroby? Mówiono o tem  
różnie; sam niewiele co mogłem wiedzieć.  
Ochmistrzyni utrzymywała, że było to zwy-  
czajne „małe dotknięcie.“ W części ogrodu  
gdzie mnie znaleziono, za lamusem, po nad  
Czarną, porastać ma obficie „pokrzyk“, roślin-

na niesłychanie szkodliwa, trudna do wygnębienia, krzewiąca się na grobach ludzi pogrzebanych w ziemi niepoświęconej. Dość jest zaczepiwszy się upaść twarzą na tę ohydę, by umrzeć na miejscu od „wielkiego dotknięcia.“ Małe, przyjść może nawet od nieogłédnego wzięcia pokrzyku w ręce. Parzone ziółka szaławii, kąpiel z łopianu i bylicy, na pokarm pieczyste z białych gołębic, których krwią pociera się głowę choremu, oto były środki doradzane przez panią Stanisławową, za których skuteczność ręczyła. Ku wielkiemu jej zadowoleniu, lekarze nie znaleźli nic do zarzucenia jej sposobowi, zapewnili ją tylko, że wypadek obecny potrzebuje na początek małej zmiany, którą sami zaprowadzili, usuwając czasowo szaławie, łopian i nacierania.

Co mi właściwie było?

— „Zwyczajna nerwowa gorączka“—odpowiada doktor pozostały przy mojem ozdrowieniu. Starościna, gdy mnie nawiedzała z Joasią, ruszała tylko dobrotliwie głową, zapewniając, że niebezpieczeństwo przeszło; czasami opowiedziała weselszą jaką anegdotkę z czasów Stanisława Augusta, lub kazała Joasi zagrać na klawikordziku nieboszczki pani, stojącym w sąsiednim pokoju i oddawna tu, na górę, wyniesionym. Joasia grała chętnie;

polubiłem i ja głos ten żaloszny, rozstrojony jak moja dusza. Dyonizy się nie pokazywał, lubo wiedziałem, iż ze współczuciem wywiadywał się o mojem zdrowiu. Staremu Janowi zabroniono nużyć mię kabałą prognostyków i wieści zagadkowych, niepewnych jak ówczesne wypadki polityczne.

Z oznak postępowania osób koło mnie, z niejasnych przypomnień dni poprzednich, kiedy chwilowo tylko odzyskiwałem przytomność, musiałem przecież przyjść w końcu do wniosku, że choroba moja nie była tak dalece „zwyczajną” lub „małą” jak mnie zapewniano.

Kryć się dziś nie mam potrzeby. W niedoli mojej obecnej ani się skarżyć chcę, ani współczucia potrzebuję; rachunek mój z ludźmi skończony; niczego od nich nie żądam. Opowiadam i o ile mogę notuję, jedynie dla pożytku—jeśli wypadnie—drugich. Powiem tedy: miałem początki wielkiego obłądu. I z przerażeniem pytałem siebie, coby się było ze mną stało gdybym się z nieszczęściem spotkał był wśród innych ludzi, w innem mniej przyjaznem i wyrozumiałem otoczeniu. Proces z chorobami tego rodzaju krótki był pod owe czasy.

Czem były wtedy u nas domy zdrowia, czem pierwej, zastanawiać się nie mam odwagi. Wiem—wierzę temu, że dziś, dzięki mądrymu rozporządzeniu władz, szpital wileński postawionym został na stopie niemal równej z zakładami tegoż przeznaczenia... zagranicą. Skarcono nadużycia, zapobieżono kradzieżom, poczyniono ulepszenia zgodne z duchem wieku i postępem wiedzy w tej gałęzi cierpień dotąd niedobrze zbadanych. Ale za dni mojej młodości działały się tam... bardzo rzadko, to prawda... lecz się działały czasami rzeczy, które, lubo nie dorastały do miary późniejszych krzyczących — a ustalonych zdarzeń, to niemniej nie w zupełności odpowiadały już i ówczesnym pojęciom nowych psychiatrów o naturze owych „potrąceń duszy“ jak te choroby trafnie nazywała Stanisławowa. Z tem wszyskiem, sprawiedliwość wyznacząca, że ze strony uniwersytetu i rady lekarskiej czynione były za moich czasów wszelkie kroki w celu podniesienia zakładu; interwencya ta uczonych naszych ludzi przynosiła chorym ulgi niezaprzeczone, rozbijała się atoli, co do głównych zasad postępowania z cierpiącymi, nie tyle może o złą wolę nienaszych stróżujących i zarządzających, ile o ich ciemnotę. Pewny jestem, że obecnie musi tam

być... całkiem inaczej, chociaż dawna rada lekarska już nie istnieje — słyszałem.

Pomijam jednakowoż bolesny ten przedmiot. Powiem natomiast parę słów więcej o samej chorobie, o jej istocie. Znam ją. Jej ostatnie pogroźki po dziś dzień wracają do mnie z regularnością, nieco dziwną, bo w okresach, kiedy wzrok odzyskuję, kiedy widzieć chwilami zaczynam. Ile razy przestrzegam zbliżającą się do moich źrenic jasność materyalną, tyle razy wiem zawczasu, że duch mój dąży w chaos obłądu;—i na odwrót...

Mylimy się, najprzód, sądząc, że to co w spolicie obłąkaniem nazywamy jest zjawiskiem wyjątkowym, luźnem w społeczeństwie ludzkim. Osób „tkniętych“ daleko jest więcej wśród nas niż przypuszczamy półzartem, półseryo. Już w ogólności powiedzieć trzeba, że w półświatłach błąka się rodzaj człowieczy: ilekroć chwilowo cielesnemi oczyma widzi lepiej, wraz mu na duszę bielmo zachodzi; nawzajem zaślepia się na rzeczywistość, ilekroć w ideałach się rozpromienia. To samo możemy dojrzeć w szczegółach, w jednostkach; pewnik to bowiem, że wyjątkiem pośród nas jest: nie zatarg w człowieku władz jego duszy ze zmysłami, pod dotknięciem nadużyć wszel-

kiego rodzaju, lecz przeciwnie: równowaga zmysłów na umysłowej ich podstawie. Nie obłąkanie rzadkością dzisiaj, lecz rozum i sens zdrowy.

To są dopiero wszakże waryacje powszednie. W słowniku wyróżnień ludzkich noszą one miana często niepodejrzane pod żadnym względem.

Obłąkańcem skończonym w opinii powszechnej staje się człowiek niecierwej, aż w nim serce i umysł uderzą w dzwon świętecznie rozmachnięty, aż się odchyłą i zamierzą w tę samą stronę, w jaką się odchylają i mierzą serca i umysły ludzi wielkich. Zachodzi tedy pytanie, dla czego, gdy im, „wielkim“ wznosimy, po latach mnogich, świątynie i pomniki, to tamtemu—ich bratu z cierpień i doświadczeń ziemskich jeśli nie z zasług i zdobyczy—bratu, co zamierzywszy obrać drogę przez uniwersytet ku Panteonowi, zmylił się, i poszedł prosto do Bonifratrów—dla czego jemu, pytam, wstręt i pogardę niesiemy w podziale?

A przecież kto wie? Czy chybiona ta ilość (x zasadzone do równania najniższego na ziemi stopnia) nie dla tego jedynie chybioną została, nie dla tego zapoznaną zesła ze świata, że była za wielką na swoje warunki najbliz-

sze, czyli, co na jedno wychodzi, że otoczenie jej za płytkie dla niej było. Kto wie, powtóre, czy bez doświadczeń nieszczęśliwych, obłąkanych istniećby kiedykolwiek mogły powodzenia szczęśliwe, trafne. Poszedłeś oto i kwiat rozkoszy zerwałeś dla spółbraci, niezłamawszy sobie nogi na grobli świata. Chwała ci? nie przeczę. Lecz nie kamienujcie mnie bracia za to jedynie, że mniej był szczęśliwy, dążąc w tych samych widokach po tej samej drodze. Bo wątpię czy bez mego upadku byłby czyjkolwiek tryumf.

Bardzo jednakże być może, że te spojrzenia odraży i uprzedzeń, jakimi zwykle okrywamy obłąkańców zamkniętych, pochodzą z pewnego powszedniego pomieszania w nas samych pojęć różnych. W istocie, nieda się zaprzeczyć, że w liczbie zamkniętych dziś—z powodu ciasnoty po szpitalach ogólnych—za kratę bonifraterską, znajduje się dość wysoki odsetek ludzi niezmiernie małej intelektualnej i moralnej wartości—ludzi, którzy, w dodatku, i tę nawet swoją wartość puscili w powietrze z parą spirytusu, z dymem tytoniu, lub też—jak się dzieje za granicą—z pachnidłami mniej więcej salonowej galanteryi.

Lecz w tem rzecz cała właśnie, że chory drugiego owego, muszego gatunku, tak się ma

zaledwo do „prawdziwego”, jak złamana szpilka do pękniętej armaty.

Nie wierzycie?—Więc chyba nigdy nie słyszeliście biednego tego obłąkańca, gdy wieczorem, drżący i skurczony w kącie swej celki (jak to ma miejsce u nas) lub pod odkrytem niebem (jak się to dzieje we Francyi) zwiesza głowę i z zaciśniętymi na piersi dłońmi, odmawia dla siebie samego modlitwę ducha, którą jego towarzysze tryumfujący głoszą w obliczu wieków i ludzkości całej...

Nie słyszeliście tej cichej modlitwy?

Jedną jej zgłoskę, ognik błędny, jam dojrzał w spojrzeniu Klemensa—dzwonnika, odgadł ze słów Koi-Baby, odczuł w okrzyku „niemka”, poznał z kilku „myśli dla każdego” Borodiczca—a przeboleł w sobie.

Mają one spólny mianownik, spólną całość, te różniczki warjackich słówek, spojrzeń, prococtw lub „myśli dla każdego.”

Integrałem „tknięć” nieskończenie małych, unoszących się nad całym rodzajem naszym, tudzież tknięć większych nieco, wytykanych palcami, i tknięć nareszcie zupełnie wielkich, oblekanych w koszulki druciane, jest zawsze i wszędzie pewien odcień, pewien wyraz cierpkości, lekceważenia i pogardy tego, co już zdobyte, co już istnieje, a zarazem wybieganie



pragnieniem za granicę rzeczywistości, w daleką, nieznaną krainę czegoś lepszego. Na tym tedy punkcie człowiek „chory“ niewiele odskakuje od średniej miary ludzi zdrowych. Pierwiastki bowiem niezadowolenia i uprzedzenia przeciwko temu co jest, wraz z dążeniem ku doskonalszemu od tego co jest, zdają się być złożone w „każdym“ z nas bez wyjątku—przynajmniej tak zawsze dowodził Boro-dzicz. Spotykamy je zarówno u tych, co wzorem Byrona idą za dni moich, w ucieczce od swego otoczenia ginąć w obronie skazanej jakiej, niepraktycznej sprawy, jako też i u tych, co wzorem zwyczajnych lordów (z kąd inąd najzupełniej radych z siebie i z tego co swoje), wyjeżdżają radość swą zabijać bezcelowem próżniactwem zagranicznym. Niemiłosierna tęsknota „za czemś“—mdły spleen realizmu—napastuje zarówno tych, co nie chcą sami bliżej rzeczom się przyjrzeć, nakładają na drogę „okulary“ lub „dybki“ krótkowidzów, jako i owych, co nie mogąc inaczej postąpić ze swoim dalekowidztwem pozwalają się zamykać zaraz na miejscu: w Bicêtre, Bedlam lub u Bonifratrow. Znać ją, czuć ją tę gryzącą rdzę ducha, zarówno w Wolterze, płacącym „każdemu“ monetą sarkazmu i drwinek, zarówno w Goethem przelewającym metal

„każdy“ w formy artystycznej swej obojętności—jak i w naszej Koi-Babie, przyganiającej każdemu, nawet Napoleonowi; jak i w Klemensie na każdy głos głuchym; jak i w „niemku“ najspokojniej pokazującym każdemu, a nawet przyrodzie całej nędzne piszczele swych nóg zabłoconych. Z czego się okazuje, że istotnie:—„każdego“ tu mól życia toczy, i że każde ma swoje *ale*, swoje tknięcie małe, lub większe.

W obłąkańcach atoli, nieskończona owa nuda serca, całej ludzkości po kropelce wrodzona, objawia się w innym zupełnie stopniu, niż w wielkiej większości ich bliźnich. Jest ona w nich bez porównania silniej spotęgowana—i to właśnie zbliża nieszczęśliwców do wspinających gwiazd człowieczeństwa, do przedstawicieli ducha ludzkiego w jego najszlachetniejszych odsłonach: do mędrców, poetów—do geniuszów twórczych.

Zbliżenie zaiste fatalne, straszne!

Gdyż na tych to wyżynach leży kamień obrazy; z tych właśnie szczytów, gdzie geniusz rzetelny, wielkość istotna, czerpie i na ziemię spuszcza swe dobrodziejstwa, on, warjat, wielkość urojona, geniusz-poczwarka, sam się ciska i zapada w przepaść poniżenia i poniewierki.

Czem się to dzieje? Czem sobie wytłómaczyć nagłe potrącenie się i upadek wielkości niedonoszonej, problematycznej? Czy tem, że tak wysoko dążyła, i tak wysoko stanąć umyśliła? Nie sędzę. Dopóki bowiem spólnie tam pędzą—nikt nie zdoła odróżnić przyszłych „wielkości“ od przyszłych „nicostek“. Jeden i drugi rodzaj wygląda szaro. Sąd ostatni następuje dopiero na górze. Czem się motywuje? na czem swe wyroki opiewa?—„Na jakości i obfitości znalezionej w górze materiału“ — odpowiada Borodnicz. Gorączka u wszystkich jedna i ta sama. Różnica tylko w tem, *czem* mianowicie jej pragnienia zaspokoił jeden, a czem drugi. Wielkość prawdziwa znajduje — umie odnaleźć kamienny dla ducha węgiel nietylko dostatni, ale i należyty, zgodny z potrzebami czasu i okolic. Przedsiębiorczości tej i zmysłu nie ma wielkość fantazyjna. Ona nie tylko kamiennego, lecz często żadnego zgoła materiału nie dopatrzy, nie doszuka się; lub też, nieraz, nabierze na siebie chróśniaków mizernih, że z niemi choć idź do wielkich stolic, gdzie podobno funt drzewa po groszu. I dla tego to urojenie spada zwykle z takim szumem dziwnym, a płonie jako kądziel lub kawałek waty. Nie znaczy to, żeby ogień miał być różny i nie ten sam

w piersi „obłądnej“ co w piersi genialnej — tylko, że inny tu a inny tam stos był pod niego podłożony.

Że się sprawa ma tak a nie inaczej, o tem się można przekonać naocznie z kilku drobnych przykładów wziętych jakoby z Jana Pawła Richtera.

Postawmy np. obok siebie naszego Klemensa i Woltera. Jeśli chodzi o natchnienie, o zapał, z pewnością, że dzwonnik niewyhrycki nie ustępuje w tej mierze francuskiemu filozofowi, i kto wie jeszcze czy Wolter nie z mniejszą gorliwością nosił drewna pod istniejące za jego czasów porządki niż Klemens drwa do pieca ks. Faustyna. Albo nawet i nasz „niemek“! Nie widział go chyba ktoby twierdził, że z mniejszem przejęciem się, z mniejszym artystycznym animuszem strugał on niegdys swoje fajarki, jak—Goethe—swoje. Ale jakże są różne skutki dwóch tych szeregów zapamiętałości! Kto wie o Klemensie i „niemku“? Kto o nich słyszał? A o Wolterze i Goethem słyszeć będą najodleglejsze pokolenia! Nie przeszkadza to przecież być sprawiedliwym, i uznać, że ten sam najkompletniej duch ożywiał Klemensa co Woltera, ten sam „niemka“ co Goethego, i że tożsamość wewnętrznych ich popędów roztrąciła się

w kierunkach różnych całkowicie — jedynie o nietożsamość ich środków i ich otoczenia. Wolter w sytuacji Klemensa tak samo zapalczywie byłby polana nosił na plebanie niewyhrycką, jak Klemens, na miejscu Woltera, przy nienasyconej swej, kozuchowej w styczniu i czerwcu żądry ciepła i ruchu, byłby łuczywa podkładał i ciskał na calutki ówczesny widokrag europejski. Goethe, ze swojej strony, urodzony o milę od dworu niewyhryckiego, czy nie byłby może pasał woły? A „niemek“, postawiony na jakim dworze większym niż niewyhrycki, czy nie byłby poetą?

Równie pouczającym w tym względzie jest los Koi-Baby. Ostatki jej żywota — a dość młodo zginęła — wypadły jakoś na czasy powszechnej u nas wiary w Napoleona...

Owóz chora nasza wieszczka podlaska, Koi-Baba, nie podzielała tych uczuć i tych ówczesnych zapalów narodu. Sama jedna była przeciw wszystkim. Zapowiadała nieszczęścia i klęski tam, gdzie inni widzieli wschodzącą dobę odrodzenia i pomysłności. Uniesionym głosem wołała, że Napoleon źle prowadzi wojnę. Śmiano się, szydzono, pytano: „dla czego“. — Nie umiała powiedzieć dla czego. Biegała po cmentarzach, po odpustach, po wsiach, po domach, płacząc i przekonywa-

jąc lud wszystek, że nie tak trzeba poczynać, że inaczej brać się należy do rzeczy.— „Ale jak? ale jak?“ Zagadywano ją zewsząd. Nie wiedziała. Nie jadła, nie spała, składała ręce przy drogach, na rozstajach, pod krzyżami, błagała przejezdnych i pieszych, żeby o sobie myśleli, żeby na nikogo nie zważali, żeby niczemu nie wierzyli. Stawano, patrzano, badano: „z jakiegoby powodu?“ Bełkotała ni to ni owo, bez ładu, bez składu. Chciała później biedz do samego Napoleona. Cóż kiedy ani drogi nie znała, ani gdzieby był nie wiedziała. I tak, prawiąc raz jedno, drugi raz drugie, to obiecując coś kiedyś, to przeklinając swoją dolę, przepadła. Żałowali ją ludzie, bo zresztą dobra i nieszeptna była kobieta— żałowali szczególnie gdy Napoleon wrócił z niczem; ale już było za późno.— „A przytem— mówiono sobie— dla czegoż nie oświadczyła dokładnie: o co jej chodziło? komu złe zapowiadała, a komu dobre? za kim była, a za kim nie była? Tak czy inak — zwaryowała, niema wątpliwości!“

Nie taka ona jednak była waryatka jak się zdawało. Nauki tylko nie miała; wiadomości, słów jej brakło. Z czego się pokazuje, że szkoły powinnyby się znajdować wszędzie, i wszędzie dobre, jak w Wilnie za moich czasów.

W Borodzieczu historia się powtórzyła na inny znowu ład. Koi-Baba czuła za dużo, on za dużo myślał. Lubiliśmy go jednak bardzo w szkołach; nie męczył uczniów. Wykładał literaturę powszechną, ale „każdemu“ pozwalał gadać co się podobało zamiast lekcji. Sam tymczasem chodził po klasie i myślał. Odzywał się niezmiernie rzadko, a w każde słowo, jakie wyrzekł—albo właściwiej, jakie chciał wyrzec, bo często niemożna się go było doczekać—wkładał tyle znaczenia, ile go inny w książkę całą nie włoży. Zdybiesz go bywało na ulicy i powiesz: — „dobry wieczór, panie profesorze!“ — on ci wnet staje, brwi ściąga, i po dwóch dopiero lub trzech minutach, uchylając kapelusza, odrzeczce:— „tak jest, kochany uczniu, dobry wieczór.“ Gdy go pytano dla czego by tak był oględnym, utrzymywał po odpowiednio długim namyśle „że jeden niewłaściwy wyraz gubi tylu ludzi w ilu kierunkach z wiatrem się rozchodzi... Poczytał on, podobno, wynalazki ważne, między innemi wymyślił przyrząd który miał być gatunkiem „samowara pojęć“, dogotowującego myśli nie-dojrzałe, surowe, kryniczne, a zarazem sprawdzaczem szczerości i rzetelności wszelkiego niejasnego zdania. W tym celu dość było myśl wrzucić do środka przyrządu, dmuchnąć,

a wraz jej kolor, uczciwy czy nie uczciwy, sumienny czy niesumienny, sam się płomieniem pokazywał, białym, żółtym czy czerwonym. Dla zbudowania tego organonu, Borodziez potrzebował tylko sześciu tysięcy złotych. Niestety, wszystko mógł on i umiał znaleźć, tego jednego nie potrafił. Udał się był wprawdzie do rządu pruskiego (obwód nasz do Prus wtedy należał, lecz nie za mojej pamięci); władze atoli wyższe odesłały projekt na rozpatrzenie pierwszej instancyi, to jest do rady gminnej. Rada gminna słuchała Borodzieza miesiąc, słuchała dwa miesiące, i byłaby może w końcu zrozumiała o co chodzi, lub nawet, co najpewniej, niezrozumiawszy pieniądze dała, gdyby wynalazca chciał był nowy swój sposób mówienia prawdy, bronić językiem dawnym, głoszącym prawdę dla wszystkich, nie zaś „każdemu“. Ale gdzie zaś! To i na tem rzecz cała spełzła.

Ze mną nareszcie genialność jeszcze inaczej koziołka wywinęła.

Pokochałem Micię. Pokochałem ją szczerze, wzniosłe, jak chłop ruski i jak Michał-Anioł. Nie byłem w skutek tego zadowolony ani ze swego ani z jej położenia, ani w ogólności z ludzi nas otaczających: z Taci, Faustyna, Dyonizego—przypuszczalnie zaś, nawet z Ka-



lisewiczowej, Szajka lub panicza z Szastał. W tym względzie miałem słuszną. Nikt z zakochanych, bodaj by w książce nawet lub w obrazie, nie lubi aby obok niego stawał inny ktokolwiek, i przeszkadzał czytać, patrzeć lub podziwiać.

Pomimo tych przeszkód jednakże, pozyskałem o ile ze wszystkiego miarkuję, wzajemność dziewczyny. Odniosłem tedy zwycięstwo walne; przed sobą nareszcie miałem upragniony, zaczarowany ten kraj miłości, do którego młodość i poezya — prowadzą... Tylko prowadzą, nic więcej, niestety.

Rzeczywiście, ludziom niedoświadczonym — a mniemam, że do nich studenci należą — wydawało się zawsze i zawsze wydawać się będzie, że aby uczuciom naszym Bóg błogosławił, dość jest niewiastę ukochać jak kraj swój ukochała Koi-Baba, jak Borodzicz ukochał swoje „myśli dla każdego“. I noszą od-tąd, przez zimę i lato, na wzór Klemensa uczuciowe swe drewnienka, i wyśpiewują bez-ustanku zakochane swe *ratarata!* Ale nie. Miłość, równa w tem polityce, umiejętną być musi, i równa w tem umiejętności — przewidywać powinna: co po tem? co dalej? Wybierając się na tę wojnę, trzeba o niej wiedzieć choć tyle,

ile w roku dwunastym Napoleon wiedział o klimacie i geografii Rossyi; raz zaś wybrawszy się, trzeba mieć za sobą choć taką fortunę, jaką w Malwinowcu stanowił las dębowy... sprzedany. Inaczej, można, bez furgonów, wygrać jedną, dwie bitwy, a jednak całą kampanię stracić...

I tak się też ze mną stało.

Z pozycyi na której się umieściłem w uczuciach swych dla Mici, co mię zepchnęło? Czy jedno przemazane słówko w depeszy Mici? Czy dmuchnięcie Dyonizego w rożek intrygi? Czy podsłuchane ich z sobą szepty?

Najniewątliwiej! Lecz dla czego? Dla czego się zwałem tak okropnie z wyżyn, które opanowałem jednym polotem miłości? — Dla tego, że na tych wyżynach znalazłem jedynie niebo nad sobą, a pustkę dokoła? I oto z jakiego powodu dość było lekkiej niewieściej cwieré-myśli o zdradzie... dość było cieniutkiego szpilką draśnięcia w wydęty balon mej miłości, by ujrzeć, spadając—zem bez stanowiska, bez znaczenia, bez widoków na przyszłość—słowem człowiek „wykolejony“, bez furgonów—a na wojnie z Dyonizym.

Runąłem.

**Historya jednak moja tej daty nie skończyła się na jednym tylko runięciu... Słuchaj jej cierpliwie dalej, panie Bazyli dobrodzieju! lub śnij, jeśli możesz, o czemś swoim i milszem.**

---

## IX.

Wyzdrowiałem. Cisza i spokój zapanowały w sercu. Tak przynajmniej sądziłem.

Było właśnie popołudnie czerwcowe—śliczne, pogodne, wspaniałe. Wyszedłem do ogrodu. Lekko się ezulem i rzeźwo. Przyroda, ubrana w zielen i kwiaty, na mnie zdawała się czekać, moich odwiedzin i powitania pragnąć. Na liściach, w cieniu gąszczów błyszczały krople rosy porannej. Spędzał je czasami wietrzyk letni na suchą ziemię, lub promienie słoneczne brały na swe lekkie skrzydła i roznosiły po powietrzu wraz z balsamicznym oddechem drzew.

Z Wilna otrzymałem był kilka listów od znajomych i przyjaciół. Pisali, przed wyjazdem na wakacje o rozkoszach wywcześnie przyszłych na wsi, i o dłużej się porze obecnych swych oczekiwań na nie.

Za nich i za siebie teraz oddychałem.

I było czem zaiste. Jedyne to ogród, ten ogród niewyhyrycki. Kiedy rozkwitł na wiosnę, kiedy się okrył pod lato w cały przepych wiekowego swego opuszczenia, to myślę, że mu równego trzeba chyba było szukać z Chateaubriandem za Atlantykiem. Tu właściwie, w tym ogrodzie, w cieniu jego wrzosów, pod stropami jego dębów, spoczywa przeszłość Niewyhyrycz.

Dwór sam, stosunkowo świeżej był daty. Nie mogła się do niego stosować dawna przypowieść, nadająca starożytnym mieszkańcom w Polsce „wrota jaworowe, odrzwia dębowe, balasy cisowe, stoły orzechowe, przyławki lipowe.“ Wzniesiony najprawdopodobniej w początkach zeszłego stulecia, wyglądał świeżo, młodziuchno. Był prawie dzieckiem przy swoim pradziadku—w obec posępnej sędziwości drzew ogrodowych; i nie krył się bardzo z nowożytnością swego pochodzenia; przyznawał się do niej wszystkimi naśladowaniami swemi gzemsikami. Zagranicznego, francuskiego był autoramentu, wspólność zaś tę okazywał z całą szczerością na jaką stać drewniany nasz budulec, ściągnięty lub pociągnięty wapnem, ilekroć mierzy się z prawdziwym ka-

miennym budulcem wapiennym zachodniej Europy.

Z pozoru, z frontu przypominał dwór niewyhrycki najrzetelniej czasy Ludwików XIV i XV-go—rozumie się o tyle, o ile nasze dachy spiczaste zdolne są przypomnieć tępe kąty dachów wersalskich. Rozciągnięty długim jednopiętrowym frontem, osadzony na mocnem polskiem podmurowaniu, z suterenami niepolskimi, miał on okna wysokie, cokolwiek jednak zawąskie przy takim gąszczu jego roślinności. Sztukowane z dębiny trójkąciki nad oknami, w rodzaju daszków, były całkiem niepotrzebne. Za płaskie, aby na nich jaskółka ulepić co mogła, miały natomiast aż nadto dużo powierzchni popękanej, odstającej od ścian aby na nich w jesieni grubo osiadać mogła próchnica drzewna z frędzlami nadgniłych liści. Zamiast dawnych okiennic, o jednej połaci, dostatnich, grubych, silnie dom ubezpieczających od burz i złodziejów, dwór miał jakby przyklejane okienniczki podwójne, w szczebelki cięte ku górze. Deseczki te ukosne, czy jeno czasami nie były skierowane przeciw kurzawie, której na wsi niema? i czy nie przeciw słońcu, którego w Niewyhryczach prawie widać niebyło na pokojach za szeregami kasztanów?

Wątpliwa zaprawdę wartość „wyna-  
ku“ pod zimowem niebem, gdzie nieraz, po  
chwilowej odwilży, nagły mróz w sople  
kryształowe ścina wodę, zaciekającą w ka-  
żdy najdrobniejszy otworek, w górę go  
zaciąłeś czy na dół. Ztąd to zapewne pocho-  
dziła wilgoć w domu, stojącym na wcale nie  
niskiem wzgórzu. Nareszcie był od dziedziń-  
ca ganek wysmukły, francuski od stóp do  
głów, na którym ni stać ni sięść, w niczem  
bynajmniej niepodobny do ganków naszych  
starodawnych, kędy bywało zmieścić mogłeś,  
w razie potrzeby, deputację całego wojewódz-  
twa ze wszystkimi jej oracyami. Uzupełniał  
on z przodu charakterystykę tego budowni-  
ctwa francusko-polskiego, upstrzonego z tyłu,  
od ogrodu, kuchniami i „podwórkami“ w je-  
dnym rogu, a włoskimi werandami w rogu  
drugim, od furty ogrodowej.

Inaczej się przedstawiał ogród.

Na nim, znać było zaledwo jeden grubszy  
ślad francuzczyzny. Szeroka, równa aleja  
kasztanów, ciągnąca się wzdłuż prawej strony  
ogrodu, tuż prawie ponad rzeką, wskazywała  
otwarcie ciętymi niegdyś na sobie gałęziami,  
że i tu dbano o perspektywę wspaniałości  
kosztem pożytku i zdrowia. Bezwątpienia,  
nie była aleja ta pozbawioną pewnego uroku ;

jako gościniec bez celu, znaczyła coś. Łacniej atoli byłoby zrozumieć ją na lewej połowie ogrodu, bardziej podniesionej, suchszej, więcej na słońce wystawionej. Tu, w pobliżu Czarnej, zapilnie przechowywała wilgoć, i bez tego dostatnią. Ale chodziło o widok, o zaimponowanie oczom przychodnia, zaraz na wstępie do ogrodu, gdyż aleja rzeczywiście dość majestatycznie rozścielała się w kierunku prostym zaraz od furty, gęsto osłoniętej bzami, a położonej z prawej strony domu, od plebanii. W każdym razie, królewski ten szpaler był tu jedynym przedstawicielem wersalskiego smaku naszych dziadów, i porządnie tylko wpływał na ogół roślinnego otoczenia dworu, lubo na pierwszy rzut oka maskował jego powitalny wyraz dość ciężko, sztywnie, po zaudarmsku. Dorywczosć przecież szpalerowej tej formacyi francuskiej w tem miejscu rzucała się w oko natychmiast, gdy postąpiwszy cokolwiek naprzód, ujrzelśmy rozrzucone dokoła w wesołym nieładzie grusze nasze przedhistoryczne, jabłonie, świeższe nieco białe i czarnośliwy, tudzież wiśnie czerwone z wijąciami się obok lub pod niemi grzędami warzyw wszelkiego wieku, od królowej Bony i wstecz przed nią. Odrazu rodziła się tu pewność, żeśmy u siebie, na swoim gruncie, nie



gdzieś w Wersalu. Ogrodowin tych bowiem z jednej strony, a z drugiej zawiązków owocowych na zakwiciu, na przekwiciu, i w rozkwiciu, było tu pełno gdzieś okiem sięgnął lub podpatrzył. Kasztanowa aleja doraźnym chyba tylko wysiłkiem obcego wpływu przedrzeć się mogła przez ów gąszcz rodowo swojski; wyglądała też na nim, jako ciasna opaska paryska na sutej polskiej sukni panny młodej. *Sad* to był, niewątpliwy; prastarą jego siedzibę miałś tu przed sobą. On stanowił tło, tułów, ciało tego ogromu roślinności niewyhryckiej. On gościowi opowiadał wymownie, że w Polsce dawnej na pierwszym, poczesnem miejscu sadzało się lub stawiało to, co pożyteczne, na dalszem zaś—jeśli zgoda jednego z drugim była na razie niemożliwą—co miłe i powabne. Dopiero po krańcach lub w środku osobno rosnącemi lipami, jaremi dębami, dosychającemi już gdzieniegdzie klonami i jaworami, ogród się świadczył przed cudzoziemcem, że mu nie zbywa zarazem na pięknościach, pojętych niezależnie od jakiegokolwiek bezpośredniej korzyści.

To po stronie prawej. Co zaś mianowicie rośło na lewo, ku górze ogrodu, biorąc się od kuchennego węgła domu, pod którym spoczywał szczyt wzgórzy, a zchodząc po płaszczy-

źnie pochyłej aż gdzie rzeka biegiem swym odwrotnie-esowym odgradzać zaczynała niskie łąki dworskie od wysokich wybrzeży cerkiewnych? — O tem z domysłu tylko zwykle sądziłem. W starych czasach, rosły tam może konopie, może lny, może grochy i boby. Obecnie, świeciły tam „inspekta“ pani Stanisławowej, ochmistrzyni dworu, do których jednakże, niestety, pomimo namów zacnej gosposi, nigdy naprawdę nie zaglądałem, chyba gdy się już siedziało przy stole. Wiem przecie choć tyle, że od północy, inspekta te bardzo w porę i w miejscu osłaniał mur pruski, niedawno w górę wyciągnięty, na nową wozownię przeznaczony, a patrzący w stronę ogrodu, na południe, białutką swą bez skazy ścianą. W niedalekiej przyszłości wspinać się miały po tym pruskim murze łądźki i grona winne, o których szczepy panna Joanna oddawna wołała do swego wujaszka na granicy niemieckiej. Póki co, nie kusiły mię one wcale, te obiecane wiunice.

Zwracając się tedy napowrót ku prawej połowie ogrodu, dodam, że okrom wszystkiego, rysowały się tu także malownicze koliste murawy i stożkowe kwietniki. Zbliżały one powabnie; na pewną odległość znikały z oczu zupełnie. Świeżość ich barw

i zapachów psuł zresztą nieco zbytnią swą gorliwością stary Jan „kamerdyner“ dworu, i sama nawet pani ochmistrzyni. Jan za obficie uprawiał tu swój tytón, Stanisławowa znowu, za gęsto siała swoje zioła apteczne, które „liśćmi czy kwiatem, kształtem czy aromatem“, niezawsze szły do pary z różami, fiołkami, lub nawet z makiem. Zapewne, miało się tu na względzie dobro cierpiącej ludzkości; ostatecznie atoli, jedno czy drugie, tytón czy łośpuch leczniczy, przepełniało to cokolwiek ogród, przeciążało przyrodzoną jego zamożność.

Nareszcie, z jakiego wieku, i czyją ręką zasadzone lub rzucone tu były, zarówno na lewo jak na prawo, cienkie kaliny po dołach, białe czeremchy przy parkanach, czerwone jarzębiny w cieniach, zielone jesiony od wschodu, siwe topole od zachodu, liche i skwierczące wierzby za płotami, a tarń, bez, jałowiec, agresty—wszędzie, zwłaszcza zaś przy pochylym lamusie, w pobliżu wejścia do ogrodu i wzdłuż alei francuskiej?—na to znów nie było ni metryk na gruncie ni pozwolenia na żadnym z istniejących podówczas planów reformy gospodarstwa niewyhyckiego. Rosło to przecież, żyło, krzewiło się, oddychało. Nadmienię jeszcze, choć już może bez potrze-

by, że zielska szkaradnie wybujałe, chwasty zwinne jak węże, krzewy uparte i kąśliwe jak psy, najskrupulatniej opasywały zewsząd padolową część ogrodu, rozsiadłszy się ponad rzeką, na jej wybrzeżach płaskich; i że daleko lepiej same one strzegły wejść ztąd i wyjść, niżli drewniane, stoczone przez wilgoć balasy i „ostrokoły“, które też, oddać należy im tę sprawiedliwość, otwarcie się pokładły w wielu miejscach na ziemię, w trafnem poczuciu swej niemocy i starości.

Słowem, był to nieład olbrzymi, różnoepokowy, lecz autentycznie polski, bo naturalny.

Z cmentarza cerkwi labirynt ten roślinny skupiał się nieco w oczach widza, zwięźał się, wyrównywał. Wziąć go było można bez wielkiego uszczerbku dla podrzędnych szczegółów za piramidalny zbiór gmachów, zielenią grubą porośłych, a razem tworzących „ławrę“ sławniejszą. Kopuły z wiekowych dębów, wyniosłe wieżyce lip, barczyste krążganki topoli, zgarniały ku sobie, w tem oddaleniu, i w pewną przy sobie całość układały setne gromady pomniejszych gatunków drzewnych, które tym sposobem wyglądały jako kapliczki nierównej wielkości, kryte różnobarwną dachówką kwieciami lub owocami. Krzaki i niemniejsze oczerety, garnące się do stóp kapliczkom mia-

ły wtedy pozór tłumów pobożnie przed ławrą rozmodlonych. Złudzenie stawało się jeszcze pełniejszym, ilekroć na ogród patrzyło się z pod cerkwi w przyćmieniu mgieł porannych lub wieczornych, gdy słońce kryło się za lasek brzozowy lub wstawało z za pagórków kędy Czarna wypływa. Wtakich bowiem razach obraz pozyskiwał jeszcze jedno z ławrą podobieństwo. Miał śpiew i dzwony, nieustępujące miemam najprzedniejszym chórom pierwszorzędnym katedr Europy. Grały nad nim i przy nim napowietrzne i nadwodne kapele ptaków, ptasząt i owadów. Ileż razy — i niekiedy do późnej nocy, wsłuchiwalismy się niedawno z Micią, w tę cudną muzykę naszych gajów i wódł w to dzwonięcie przyrody żyjącej na które nawet ucho Klemensa nie było jak się zdaje obojętnem, gdy, skończywszy robotę wieczorną, stawał bywało zamysłony, w pół przymykał powieki, za pas ręce zakładał i — przypuszczam — słuchał... Patrząc bowiem niebyło na co w stronę na którą najczęściej patrzył: na zachód, ku wygonom, na błocka i trzęsawiska, z prawej strony cerkwi. My tu z lewej tymczasem, ku wschodowi, koncert mieliśmy jedyny.

Zacznął zwykle słowik. Jak dzieci wiejskie przed Klemensem, gdy szedł na nieszpory

wydzwaniać, tak on przed grubszymi śpiewakami biegł teraz czempredzej na swoją wiezyczkę, i za sygnaturkę chwycił, w porę było czy nie w porę. Nie żałował swawolnik srebrnego spiżu. Rzucił w niebo oburącz nuty jedna od drugiej wyższe, jedna ponad drugą się pnać, a czyste, jasne, choć żywe i gorące jak chłopięca swawola. Po gołębnikach, przy dworze, nie czekały na sygnał płowe „gardła-cze“. Słowik zaintonował był hymn o wierze i nadziei, a oni tu na cześć miłości grube aleksandryny kropią oto i kropią od półgodziny. Mylą się, zaciętrzewione, jeśli przypuszczają, że niema rytmu nad ich rytm. Na tym pięknym świecie swobody ptasiej, każdy swoją nie cudzą ma poetykę i prozodyę, swój własny zakon literacki głosi przedewszystkiem, na własnej książce modli się i wysławia. Dowodem zaś — owe czyżyki, chochliki, puszczyki, sójki, dudki, sroczki, gawrony, dzięcioły — słowem, całe owo gadatliwe i krzykliwe państwo, którego ciechanowiecki nasz ziomek Kluk ani mógł objąć ani policzyć, a które zasiadłszy oto obecnie za krzaki, za gałęzie, za kopyły, wieże i kruzganki niewyhyckiego ogrodu, wyniosło w górę hejnał bezbrzeżnie roziskrzony, rozpląnięty, pryskający, to skocznie rozigrany jak okrężne w szczęsnych cza-

sach starej Polski, to w lament zachodzący jako sądny dzień biednego Izraela... Już puhacz, nocy szukając, wyglądał z omszonego poddasza dzwonnicy; już wróble omdlałym głosem zegnałyienne swe prace po drogach i polach; już nietoperz po dwakroć się zatoczył w narożnem zagłębieniu cerkwi... Kiedy naraz z najwyższej topolowej strażnicy wstał pan bocian, nogę poważnie podniósł, i oglądnąwszy się — zaklekotał, zarechotał na świat cały. Ostro odwrzasnęły mu kawki odlatujące na „bezhółowie“, ku topieliskom i moczarom zacerkiewnym, na zachód, gdzie snuć i knuć będą złe wróżby z nieszczęsnym duchem Koi-Baby aż do poranka. Po dwukrotnym owym znaku, bociana i kawek, zaczynał się zwykle główny korowód — suma niejako wieczornych nabożeństw stworzenia. Na dwa pospolicie chóraly rozkładało się to wydzwanianie. Wyższy, dyszkantowy, prowadzony był na misternych piszczałkach i cienkich jak włos klarnetach przez orkiestrę świerszczów; niższy, sopranowy, wiodły drużnie żaby. Zazula brała altem. Derkacz bił w takt jako przy uroczystych mszach na Podlasiu w bęben się bije. Wielki tylko dzwon milczał do czasu. Ale oto odzywał się i on nareszcie—szeroko, donośnie, poważnie rozczętniony od granic lasu aż

po same źródła Czarnej... Kto był zacz? Jakie jego miano? — „Najmniejsi“. W ogrodach prastarych, ma się pod tym względem zupełnie jako u ludów młodych, czerstwych, przyszłością bogatych: wielkie rzeczy, na wzór wielkich ludzi, nie chodzą tam pojedynczo, luzem. „Hromada, wielki czołowik“ powiada Ruś kochana. Wielkim dzwonem naszych niw, łąk i sadów: rój. Podnosił się właśnie, wstrząsający powietrze ów rój niewyhryckich żuków, muszek złotych, chrząszczów, bąków, ciem srebrnych i komarów rudych. Podnosił się — i w tych rozbitych dotąd na tysiączne gamy nieszpórach przyrody, złożonych z kukań, gruchań, skrzeczeń, gwizdań i słodko rozlanych trelów, dawał się słyszeć potężny głos — *jedności*. Jedność teraz z kolei pieśń swą roztaczała — jedność nie wszechpochłaniająca, lecz wszechutulająca, nieułowiona, nigdzie w szczegółach nie wyskakująca, nie zawsze miękka i łagodna, a przecież na wszystkich szczeblach istnienia przytomna i zawsze pożądana, bo niezbędna: — od zarania bytu, kiedy z rąk jej, istoty biedne, w pierś naszą, rozedrganą, chwytną pierwszą komunę oddechu, — aż do wzniosłych popędów szlacheckiego w nas poczucia braterstwa, kiedy uściskiem jej spieszmy darzyć słabszych lub



uboższych,—aż do szczytnych poświęceń bohaterstwa, kiedy złączeni ramię do ramienia idziemy bronić świętych praw jej w języku, obyczaju, tradycji, w wierze, — i dalej jeszcze, bo aż do ostatniego w nas technienia prawdy, dla wszystkich jednak zbawiennej i drogiej, kiedy, zmęczeni i zbolali, czekamy już tylko na końcowe słowo: na żalobny głos dzwonu co nam wszystkim obwieści *Jedność* wiekuistą...

W takiej jedności oglądałem przed laty ogród niewyhrycki — z cmentarza cerkiewnego.

Tu, od środka, w samym ogrodzie, widać jej—rozumie się—niebyło wcale. Gdziekolwiek stanąłś, wszędzie rozpręgała się ona na niezliczone drobiazgi, które w jednym miejscu wiązały się z sobą autonomicznie, gdy znów w drugim antynomicznie z sobą się kłóciły. Pod cerkwią widz znajdował się w położeniu historyka, dla którego niema w wypadkach ni nieporządków, ni zboczeń, ni odskoków, lecz tylko fakta do wytłómaczenia; zaś wewnątrz ogrodu wracało się niejako na stanowisko polityka, który gdziekolwiek spojrzy, zaraz zobaczy sprzeczność, występki, nieposłuszeństwo, chęć złamania prawa lub reguły przyjętej i uznanej.

Miało atoli, nawzajem, wewnątrz naszego ogrodu pewną ważną a osobliwą cechę, której znów zewnętrzny pogląd dać nie mógł. Cechą tą, starożytność. Rzetelny znak rzetelnej sędziwości ogrodu, leżał istotnie nie w jego kopałach z dębów i nie w jego krążgankach z topoli. Piętna wieków na nim, nie mógłbyś dostrzedz ani w powietrzu, ani na ziemi. Schowane ono było—w ziemi. Jak w pieczarach kijowskich, jak w cerkiewnej części Niewyhrycz, tak samo tutaj: najdawniejsze, najodleglejsze dzieje skryły się do grobów. Ogród niewyhrycki miał swoje katakumby. Spoczywały w nich zabytki—gdyż niepodobna powiedzieć popioły—najmożniejszej, najślawniejszej i najstarszej niegdyś w Polsce rodziny. Zwała się ona — rodziną modrzewiów. Nieulega zaprzeczeniu, że rósł przed wieki modrzew na gruncie niewyhryckim. Ktoby o tem wątpił, niewierzyłby musiał w to, czego sam nie widział, a co głosiły podania ludu, poparte niezłomnem przeświadczeniem i gorącemi zapewnieniami pani ochmistrzyni dworu, która była rodem z Sandomierskiego i na żywe oczy oglądała tam modrzew żyjący. Tu zatem, w Niewyhryczach podlaskich, pielęgnowała od lat trzydziestu—modrzew umarły. Z jej to polecenia pokopano ogromne owe doły, około

których, wieczorem, przejść było straszno; ona to sterczące w nich barczyste pnie nieboszczyków starannie oczyszczała z ziemi i naleciałości; ona, okulary nasadziwszy, ostrożnie nożykiem zbierała „żagiew“ osiadłą na łykach i kłach modrzewiowych, które podziemnymi swymi rozgałęzieniami dotykały warstw pamiętających może czasy... popotopowe. Wyznać trzeba, że dla bezpieczeństwa publicznego, jamy te požadaniami bynajmniej nie były, zwłaszcza jeżeli się zważy, że nie ludzkim to łokciem mierzyć głębokość, do jakiej sięgały łapy tego słonia dawnych puszczy naszych — łapy, które pani Stanisławowa „pajęczemi“ nazywała! Dyonizy po kilkakroć nawet formalne dawał rozkazy zasypania pieczar ogrodowych; wszystko atoli rozbijało się w końcu o przedstawienia ochmistryni, że w takim razie apteka dworska utraci największy swój klejnot, zapewniający jej sławę na całą okolicę. Wyczerpie się z cennej owej „żagwi“ porastającej na pniach modrzewiowych; jest to zaś jak wiadomo jedyny skuteczny środek przeciw złym gorączkom, żółtaczkom i zapaleniom gardła.

Takim był ogród niewyhyricki.

Rozmyślałem sobie nad nim, nad jego przeszłością, i nad swoją, siedząc tak oto na ławce

owego popołudnia czerwcowego. Rozmyślając zaś, słuchałem, w pobliżu, wiekuiestej rozmowy pani Stanisławowej z Janem o tem, co ten widział własnymi oczyma na wojnie, a co tamta słyszała... w pokoju. Ochmistrzyni polewała, zdaje się, swoje zioła, kamerdyner, z rydlem, okopy jakieś sypał dokoła swego tytoniu.

— Takie tam było wasze bicie się — dokucała Stanisławowa.—Nieboszczyk pan przywłókł się z odmrożonemi uszami, kamerdyner bez palców...

— Albo to prawda! — odpierał Jan — po dziś dzień calutki jezdem.

— A z czyjej łaski? Czy może nie? Nie nachuchałam się koło was? co?

— Alboż co mówię?

— To czegoż gadanie?

— Ba! jużciż!—cedził Jan, szukając w myśli odpowiedniego na to argumentu i zacięcie wykrzesując hubkę, że aż mu ślina ciekła po cybuszku na porcelanową fajkę w kwiatki.— Ba! jużciż! .. Na odmrożenie! Ale w bitwie, panie, to te wasze ziołka nawet oderwanego paznogcia nie przykleją.

— Nie przykleją?—pochwyciła ochmistrzyni.—U was chyba na Litwie, gdzie dotąd do ran przykładają skróm bobrowy i pajęczynę.

— Tęgo pomogły mojemu bratu wasze leki sandomierskie—odrabiał się Jan—gdy go Francuz za stodołami ciopnął po głowie.

— Ciopnął?—Śliczne ciopnięcie gdzie kto od razu ducha wyzionie.

— Jakże od razu kiedy był u spowiedzi?

-- Półgodzinki! śliczna spowiedź!

— Bo ksiądz dłużej nie mógł wytrzymać na mrozie.

— To choćby, czegoż laźł do Francuza?

— Masz tobie! A ten mój towarzysz z Brzeskiego, czy także laźł do Francuza kiedy go kula rznęła, że niewiedzieć ani kędy weszła ani którądy wyszła?

— Taką tam była kula!—powiedziała nieubłagana Stanisławowa.

— Drewniana może?

— Żeby choć drewniana, tobyście może choć ze znaczkiem jakim wrócili! Taka to była cała ta wasza wojna!

Stary Jan z politowaniem popatrzał na ochmistrzynię, wytrząsł lulkę, schował do kieszeni, i za rydel brał się.

— Czort swoje—mruknął—pop swoje, baba swoje.

— „Każdy” swoje — dopowiedziałem mu w duchu z Borodziezem.

Nie wytrzymał jednak, wyjął lulkę napowrót i nabiwszy ją, począł:

— Taka tam była wojna, powiadacie. Trzeba było pójść zobaczyć. Ni nocy, ni spoczynku. Ani gdzie, panie, jadła dostać, ani ognia zobaczyć...

— To po jakiegoż licha ciągałiście się, kiedy tak źle było, a zrobić nic nie mogliście?— przetrąciła mu znów Stanisławowa, ale z przekonaniem.

Jan zabierał się do hubki i do niewątpliwie siarczystej odpowiedzi—gdy naraz uciał.

Ujrzał nadchodzącą „panienkę”.

Joasia w naszą szła stronę.

Zbliżywszy się, powiedziała „Boże dopomóż” i skinęła na mnie. Poszliśmy aleją.

Na zdrowie wiotkiego dziewczęcia dobrze wpłynęła tegoroczna wiosna stale pogodna i ciepła. Maj odziewając ziemię pełnią krasy, rzucił i na jej oblicze trochę rumieńca. Rumieniec to był róż białych. W ostatnich czasach przybyło jej nawet cokolwiek rzeźwości czerstwej. Pracowała mniej, weselszą była, rozmowniejszą, nieprzystając być niezachwianie łagodną, pełną wyrozumiałości i dobroci.

Postępowała teraz zwolna, zamysłona. Postrzegłem jakby zaniepokojenie na jej twarzy.

Ozwała się:

— Jestem natrętną, panie Pawle. Inną mam obecnie proźbę. Czy znany panu projekt nieboszczyka ojca poprowadzenia Czarnej łożyskiem dawnem? Wypadło mi właśnie poznać tę sprawę z papierów. Istnieje podobno z plebanią spór jakiś o łąkę. Plebania ma pretensye do nas, o które projekt się rozbijał zawsze. Czy znana panu ta sprawa?

Wydało mi się nieco dziwnem to podniesienie projektu oddawna pogrzebanego. Lecz głos Joasi był jak zwykle poważnym i cichym; uprzejmy uśmiech przesuwał się po wyrazach jak powiew ciepłego wiatru po równinie zboża kołyszącego się spokojnie.

— Odpowiedziałem:—Sprawę znałem kiedyś, lecz spór o którym pani wspomina już nie istnieje.

— Czy tak?

— Pan Dyonizy wspominał pewno pani o tem.

— Nie, nic nie mówił.

— Spór ten rozstrzygnął brat pani na rzecz plebanii.

— Doskonale postąpił. Nie istnieją więc dziś żadne przeszkody porozumieniu się?

Uśmiechnąłem się do siebie.

— Nieporozumienia nie było nigdy, o ile pamiętam, panno Joanno. Przeszkody pocho-

dziły być może ztąd, że ostatecznie, zbywałoby zapewne nie na dobrych chęciach, lecz na funduszach. Na plebanię spadłyby koszty znaczne, bo też... jak mniemam, ona przeważnie skorzystałaby z dokonanego dzieła usunięcia Czarnej. Lecz, moje to tylko przypuszczenie, pani.

Położyłem niejaki nacisk na niektóre wyrazy o nieporozumieniach przeszłych lub przypuszczeniach obecnych, szukając na twarzy Joasi znaczenia tej nagle regulacyjnej zagadki. Lecz szukałem chmur na czystym niebie. W spojrzeniu jej świecił jedynie ów promień pojętności rozumnej i chętniej, za którego jasną zasłoną, w duszach dobrze nam znanych, znajdujemy tak pożądaną w obcowaniu z ludźmi swobodę, i bezpieczeństwo dla swojej szczerości.

Dodałem więc czempredzej z uczuciem:

— Biedną bo jest, w istocie, plebania nasza niewyhrycka, panno Joanno.

— Wiem o tem, drogi panie Pawle. Mówił mi Dyonizy, że i panu tam winni sporo... Lecz czy nie dałoby się to załatwić w jakikolwiek sposób? Ciocia odda nam za parę tygodni dług—tysięcy z kilkanaście, gdyż nareszcie skończyła swój interes z rządem pruskim o dobra ciechanowieckie, ciągnący się od lat tylu.



Plebania, jeśli będzie mogła, spłaci nam później... Dyonizy wyjedzie pewno niebawem do Warszawy z plenipotencją starościny po te fundusze z konsulatu...

— W takim razie... — powiedziałem.

Nie mogłem atoli opędzić się mgłom wciąż na mnie wiejącym ze słów Joasi.

— Ile tam panu winni? — zagadnęło dziewczę ciszej jeszcze niż zwykle.

— Niema o czym mówić, pani — odparłem dotknięty cokolwiek.—Trzy czy cztery tysiące... Urządźmy się jakoś z księdzem.

Joasia w poczciwości swojej nie dostrzegła zapewne mego podrażnienia, bo spytała:

— Sam jeden pan spadkobiercą?

— Sam, pani... Sam teraz.

Zapiekły mię policzki.

— Czy było was więcej?... Nie przypominam sobie.

— Była... siostra, panno Joanno, lecz się chowała nie przy rodzicach.

— Straciłeś pan?... Dawno?

— Dawno, pani. Zapomniałem, opłakałem już... przebaczyłem.

Wymówiłem to krótko, twardo.

Zamilkliśmy. Nie patrzyłem na nią.

Joasia poczęła po chwili, głosem zmienionym:

— Otóż, chciałam pana prosić, panie Pawle, żebyś pan poszedł... Wszak w plebanii bywasz pan? Z księdzem jesteście dobrze?... Zacny to człowiek?

Rozmaite przypuszczenia po głowie mi się snuły, co mogła Joasia mieć na widoku z tem swoim badaniem. Odrzekłem:

— Niewątpliwie, pani, że zacny...

— Przesądów przeciwko nam nie żywi żadnych? Człowiek podobno wykształcony?

— Wykształcony...—powtórzyłem.

— Dobrze zatem wszystko się składa. Niechże pan będzie łaskaw pójdzie i pomówi z księdzem o tym projekcie, który niewielkim stosunkowo kosztem ogród nam może uwolni od powodzi wiosennych, i łąk parę. — Rzeka pójdzie, zdaje się, samemi nieużytkami po za cerkwią...

— Z największą chęcią, pani—odrzekłem.— Mogę tam pójść... Lecz, co mam powiedzieć gdy mię ksiądz zapyta... z kąd naraz dworowi przyszło na myśl...

— Czy więc panu nie powiedziałam? — przerwała Joasia.— Taką była ostatnia wola nieboszczyka ojca, w testamencie.

Popatrzyłem na nią. Szczera prawda była w jej spojrzeniu.—A dziwne, zaiste były te jej oczy. Przejrzyste i pogodne, a przecież

smętne, samotne. Wyglądały jako dwa jeziora duszy porzucone na wybrzeżach białych, równych. Wylać się były gotowe za lada poruszeniem tkliwszem. Zamgliły się obecnie na samo wspomnienie rodzica.

Dziewczę dodało:

— Jest to jedna z owych „utopii“ ojcowskich panie Pawle, które pan krytykujesz zwykle...

Nie była Joasia całkiem sprawiedliwą tym razem. Pomysłów starego pana nie krytykowałem nigdy jako utopii. Zresztą, mówiła więcej w żarcie niż na seryo.

Muszę jednak o tym przedmiocie nadmienić słówko. Jest to owa korespondencya z podskarbin litewskim, nad którą dziewczę pracowało.

Ojciec Joasi był zwolennikiem sławnego grodzieńskiego statysty i reformatora. Nie we wszystkim atoli podzielał jego zapatrywania. Nie wierzył przedewszystkiem w dostateczność—w „przyjętność“ zakładów grodzieńskich. Chodziło o punkta wyjścia różne. Stary nasz pan nie przyganiał zakładom przemysłowym wznoszonym ze skarbeca publicznego. Podróżując czas jakiś po Francyi znał instytucye rządowe tego kraju, pochwalał je, lecz tylko jako wzory podniecające przedsię-

biorczość prywatną, gdzie takowa istnieje. O obudzeniu tej to przedsiębiorczości u nas myślał. Twierdził, że społeczność nasza z trudnością zawsze zdobywała się na gruntowną wiarę w siły i mądrość osoby—ostatecznie fikcyjnej—którą nazywamy ogółem, republiką, państwem. Do ofiar, oreźnych czy piętężnych, *ześrodkowanych*, nigdy się kraj nasz nie zapalał. Ziemie i powiaty chętnie grosz i krew dawały na potrzeby wewnętrzne lub obronę granic zagrożonych, lecz potrzeby te czulej i umiejętniej pojmowały wówczas, kiedy takowe niezbyt odległymi były. Wnosił ztąd ojciec Joasi, że należałoby może zwrócić uwagę na owego to właśnie ducha „partykularyzmu” tak rozwiniętego w ojczyźnie naszej.—„Jest to siła pożyteczna—pisał—nie żaden narów. Należy z nią się liczyć. Na dnię odrębności tych i usposobień szukać wypadają—łącząc ogniwo z ogniwem—środków i budulca na wzniesienie czegokolwiek trwalszego.”

Nie mogłem występować z zarzutami przeciw takiemu widzeniu rzeczy przed Joasią. Miałem je za słuszne. Co mię wszakże uderzało, ilekroć przedmiot ten rozważałem z powodu stałych nad nim zajęć Joasi, to następna działalność starego pana. Zachęcony w młodości przez podskarbiego, dziedzic Nie-

wyhrycz długie późniejsze lata poświęcał pracom ekonomicznym w kierunku obranym. Jeździł, jednał szlachtę, bratał się z „lyczakami“ i zamożniejszym żydowstwem, kpił po przyjacielsku z popów, pochlebiał nieszkodliwie podpadyom — aż nagle zarzucił wszystko, zamknął się w domu, i o niczem prócz polowań słyszeć nie chciał... Żona mu biednemu zgasła; dobra nasza pani Zosieńka umarła.

Nad tem to zastanawiałem się niekiedy — mówiąc sobie:

— Moc i rzutkość woli naszej na polu służby krajowej byłyby tak ściśle zależne od pomysłności domowej, że człowiek, po stracie osoby drogiej, z mniejszym już hartem duszy znosi ciężar obowiązków publicznych? Miłość, źródło szczęścia rodzinnego, czyliby zarazem była pochodnią obywatelskości? Gdy ona przyswiecać przestanie, mają li przy niej w ciemność zapadać inne dziedziny ofiarności naszej?

I o tem z westchnieniem napomykałem dawniej Joasi.

Przypomniałem jej to obecnie.

Usiadła właśnie przed chwilą na ławce. Zmęczyło ją chodzenie.

— Tak, to prawda—odrzekła.

Potrącona przeszłość jeszcze większym cieniem obrzuciła jej domową żalobę. Niewypowiedziane smutną i piękną była pod tem sklepieniem pogody i życia, roztoczonego nad nią nieustającym świegotem ptastwa i niewyraźnym owym szmerem liści, w którym, jako w zadumie nad książką, czytamy to, czem dusza jest przepełniona: wesele gdy rozradowana, boleść gdy zbolała.

Mnie samego to zasepiło. Szlachetne dziewczę spostrzegło się. W tych dobrych, cierpiących istotach cudza dolegliwość pierwej do serca dochodzi niż własna.

— Lecz pan, panie Pawle — ozwała się z ożywieniem przybranem — czegożes tak posmutniał?... Czy może Czarnej żal panu, że nas odbieży?... Lub raczej, i pewniej, sam pan od nas odbiegłes myślą ku miłszym, choć równie żalobnym krajobrazom swej powieści nowej?... I co obecnie porabia nadobna a nieszczęśliwa Nalvi?

Nie wiedziałem o czem mówi.

— Nalvi?—zagadnałem.

Lecz się opamiętała natychmiast.

— Z okresu to pewno chorobliwych majaczeń moich, pani. Obłędne powtórzenie rojeń wileńskich o przedhistorycznych dziejach Słowian...

Pokiwała główką.

— Wątek dawny, przedza dzisiejsza...—odparła.

Patrzyła w ziemię.

Zastanowiło mię to. Czy nie nagmatwałem czego w chorobie?

— Panno Joanno—rzekłem na głos.—Zapewniam panią, że o tem, co w mojem nieszczęściu i upadku wysnuć mogłem z przeszłości, wiem zaledwo tyle, ile mi pani przypomniałaś przed chwilą... Nietrzeba się liczyć ze snami, spadłemi na mnie, być może... z ust jeszcze matczynych.. z jej łzami...

— Panie Pawle—przerwała Joasia — ależ nie powiedziałam tego w sposobie wymówki... Jedno mię tylko zawsze uderzało: zkąd bóg ten w panu? zkąd ta rozpacz zarówno w marzeniach jak na jawie? dla czego mówisz pan to z takim żalem?...

Zarówno przypomnienia jak jej dobroć rozrzewniły mię.

— Pani—odpowiedziałem przejęty — alboż mogę inaczej? Kto jak ja nie ma swojej rzeczywistości, kto swego powołania się wyrzekł, i z cudzej łaski tylko żyć musi, kogo wszystko już w młodości zawiodło lub zawodzi, ten czyliż nie z musu dłoń do marzeń wyciąga? Te zaś marzenia, azażliż z kolei mogą

odpowiedzieć radośnie? Można li niemi zawsze jako kwieciami święconem ubrać ściany mieszkania, którego się nieposiada... którego się nie jest pewnym?...

— Ach, panie Pawle — wyszeptano dziewczę — nie stosujesz pan przecie tego do siebie koniecznie! Byłoby to dla mnie nad wyraz dotkliwie. Z Dyonizym—wiem—nie możecie się zgodzić... Lecz, nie z jego to winy, panie Pawle, nie z jego to winy... Gdybyś pan wszystko mógł wiedzieć...

Niezmierna rzewność jej głosu strwożyła mię. Cofnąłem się.

— Bardzo być może—pochwyciłem—że nie z winy to Dyonizego, panno Joanno. Przysięgam, istotnie nie o sobie wyłącznie mówić zacząłem. Sieroctwo, życie pod cudzym dachem, stało się dziś zjawiskiem powszedniem w moralnem i umysłowem życiu Europy całej...

Joasia wątpliwie poruszyła głową... Nie wydało się jej znać szczerem to przedstawienie kwestyi. Ale mówiłem dalej, bo mówiłem sumiennie.

— Tak jest, pani. Alboż świat nie żyje w tej chwili życiem zapożyczonem? I od kogoż?—od obumarłych!... Owo rzucenie się w czasy średniowieczne, któreśmy z panią poznali z dzieł Chateaubrianda i Hugo, alboż



nie jest po prostu ucieczką z pod strzechy swych nędz pod piękne sklepienia nieżywego już gotyku? Inni tymczasem, jak skamieniali stanęli, uparli się przy portykach greckich i rzymskich. Kierunek nie ten sam, ta sama bieda, to samo ubóstwo i opieszałość na własnym zagonie opuszczonym, którego się zaorać nie chce...

Nagły uśmiech Joasi przeciął mi słowa.

— Słusznie—wtrąciła.—Lecz pan? Co lepszego pan czynisz zapędzając się w zamierchłe wieki przedśłowaniańskie? Nie byłoby u nas, u siebie, zagona swego?

Popatrzyłem w jej oczy przesłiczne.

— U nas, pani?... U nas inaczej. Stary pan, rodzic wasz, świętej pamięci, panienko, życiem odpowiedział na to pytanie swej córki. U nas, czasu nawet staćby niepowinno na czcze marzenia. Na czcze—powiadam—bo są i święte a życiodawcze, jako myśl o Stwórcy, jako zachwyty poetyczne nad swą ziemią nie-szczęśliwą, jako miłość dla brata lub cześć dla kobiety... Lecz u nas, panno Joanno, tak się złożyło, że u czyjego ogniska nie zasiadł, lub od czyjego wezgłowa odleciał opiekuńczy duch niewiasty rozumnej i dobrej, ten niech nawet nie marzy o lataniu swojemi dłońmi podartej strzechy rodzinnej... bo odejdzie

okrwawiony... zdeptany... I przed kimże się wówczas poskarży? przed kim żal swój wynurzy?...

— Panie Pawle—zawołała Joasia.—I w takim bólu ciągle pan myśl swą kąpiesz? Ależ to straszne. Czy podobna aby gorycz tę swoi w duszę ci wszczepili?

— We mnie?... Swoi?—Nie, pani. Ja tyle zaledwo znam tego świata, mogącego u nas robić cośkolwiek, ile ze wspomnień po twoich rodzicach, którzy byli moimi dobroczyńcami, ile z oblicza twego pani, która dla mnie jesteś uosobieniem świętości na ziemi, i o ile go znam z postępowania Dyonizego, który jest .. dla mnie...

— Bratem ci jest! — odpowiedziała Joasia łagodnie, lecz niezmiernie cicho.—Bratem, panie Pawle. Wierz mi, nie on temu winien... Gdybyś mógł wiedzieć, wytłómaczyłbyś sobie moje położenie... Powiem to kiedyś... Co do pana, wiem—wiem wszystko... Uczucia pańskie dla mnie, szanuję, rozumiem je... radabym im odpowiedzieć... Matka nasza bardzo pana kochała... Ale panie Pawle drogi...

Usunąłem się. Głos dziewczęcia słabł—na oblicze jej spadała mgła bladości, której chłód nie pierwszy raz w życiu widziałem.

Pochwyciłem szybko za słowo — dreszczem obłany:

— O moich uczuciach dla pani?—Ależ, panno Joanno, znasz je pani od dzieciństwa!—zawołałem.

Joasia odetchnęła. Bacznie mi jednak w oczy patrzyła w milczeniu. Czoło jej wypogodniało.

Drżała przecież jeszcze.

Od tej chwili Dyonizy w sercu mojem—na wieki był skazany. — Widziałem intrygę jak na dłoni... I to kosztem tak słabego i dobrego stworzenia...

Łzy mi się naraz zakręciły.

— Panno Joanno!—powiedziałem... Albo—po dawnemu, a po raz ostatni—Joasiu! Uspokój się! O uczuciach ci moich mówił Dyonizy?—Pozwól, że ja ci sam je wypowiem. Nie zlékniesz się ich... Tak jest, Joasiu—nie zaprzeczam...

Samego mnie znowu teraz tak opanowało wzruszenie, że słowa więzły w piersi. Mówiłem jednak:

— Uczucia moje... zapewne. Mam je dla ciebie, i najdroższe chyba ze wszystkich, najgłębsze. Na jedno ich słowo przeszłość cała w waszym domu staje przedemną... Ach, Joasiu, gdybyś ty, ze swojej strony wszystko wie-

działa, mogła wiedzieć—pamiętać!... Jako dowód tych moich uczuć, jedno ci tylko przytoczę, przypomnę.. Pozwolisz?

— Owszem, panie Pawle.

Lżej mi się zrobiło. Ciężar spadł z duszy na widok Joasi uspokojonej nieco.

Wziąłem jej rękę, które—niebroniąc — podała.

Com mówił wówczas—i o czem mówiłem, po dziś dzień to, i jedno i drugie przed oczyma mi stoi.

— Słuchajże, Joasiu. Nie dziś to było. Zima—mróz—zawieja. Do stacyjki naszej w Białymstoku wpadł Jan stary. Powtarzałem lekcję Dyonizemu na dzień następny.— „Pani chora!”—zawołał Jan. Zerwaliśmy się z krzesel... Noc całą, co konie mogły wyskoczyć, pędziliśmy przez zasy śnieżne. W oczach mi było czerwono, twarz lodem od płaczu okryta. Zajeżdżamy przed ganek. Lud stoi w gromadkach czarnych na białym śniegu—chłód, milczenie dokoła. Ciemno mi się zrobiło w oczach, choć już był ranek. Wpadamy do pokoju... Pałają światła.

— Pamiętam to dobrze — powiedziała Joasia.

— Jako anioł piękna—ty druga, smutniejsza już tylko, choć niegdyś była weselszą—

ubrana wspaniale jako ty ubogo — leżała pośrodku z krzyżem na piersi w dłoniach białutkich, pani nasza. Pan klęcząc z boku, głowę złożoną miał na tapczanie. Dokoła rodzina wasza dygnitarska... Dyonizy z krzykiem rzucił się ku matce...

— Pamiętam.

— Mnie ręce na progu opadły. Zląkłem się chyba. Ani jednego westchnienia! Nie śmiałem postąpić. Te dumne, surowe twarze przedemną, te gwiazdy na piersiach—te ich spojrzenia!... Ku sieniom jak kamień już się chyliłem, kiedy wystąpił ktoś z tłumu... Drobne, śliczne dziecko, chybkie jak trzcinka, te same oczęta niebieskie, te same usta, posiniałe tylko wtedy... Ku mnie podbiegło ze łkaniem, wołając: — „Pawelku, mama umarła!“ U szyi obcego sieroty zawisło, twarz mu zmrożoną całowało, przypominając obecnym, że i jemu przecież w tym domu zapłakać wolno u stóp nieboszczki, która bywało na wszystkich nas razem wołała: — „Dzieci, chodźcie tu!“... Pamiętasz?

— Pamiętam, Pawle — odrzekło dziewczę powstając.

Mówiłem:

— I jakże teraz chcesz Joasiu, żeby w tej piersi mojej niebyło nic—lub też było coś ta-

kiego dla ciebie, czemuś cię Dyonizy mógł zmylić — przeleknąć...

Dziewczyna pełne powieki łez miała.

— Nie, Pawle—ozwała się.—Nie zlekłam się. Tylko, uważ. Ja z kolei potrzebuję powiedzieć ci... co ojciec kazał, i co nareszcie wypada: jakie moje... *muszą* być dla ciebie uczucia. Słuchajże, nie martw się—nie unos. Najprzód, bratem jesteś... naszym... Niedosć tego, obojeśmy nieszczęśliwi: ty za Czarną, ja—dalej jeszcze... Pawełku! Niechże oto ten znak męki Chrystusowej łączy nas... tymczasem. Po matce ta pamiątka, i pierwszy dar odemnie... Kiedyś, powiem więcej.

Podawała, to mówiąc, medalionik zdjęty z piersi.

Łzy toczyły się po jej zboląlej, prze cudnej twarzyczce.

Odwróciła się... odeszła, powtórzywszy raz jeszcze zlecenie pójścia na plebanję.

Siedziałem nieruchomy—długo.

Dopiero gdy pierwszy wieczorny dzwonek wołać począł wiernych na nieszpory sobotnie, mnie budząc z zadum głębokich — opuściłem ogród.

Wstąpiłem do dworu przebrać się, i poszedłem do cerkwi.

— Wolę—powiedziałem sobie—dziś, kiedy na nieszporach nikogo zapewne prócz Fausty-na nie będzie, niżby jutro na mszy.

---

## X.

Ten sam mostek na Czarnej, ta sama grobla. Słońce tylko za mną świeciło mniej jasno, mniej czysto, choć goręcej i jaskrawiej. Ciemno patrzyło wewnątrz świątyni. Kanis nie wybiegł; uwiązany był zapewne, lub może chleb cudzy zasmakował mu nareszcie, i czekać go oduczył. Tem lepiej! Ani sobie ani nikomu krwi nie psuł daremnie.

Klemens wydzwaniał, wciąż wydzwaniał z założonemi uszami. Żałośnie tym razem przemawiały dzwony. Popękane może były jako serca ludzkie, do których świat przemawia jedynie „myślami dla każdego“, krzykiem „niemka“ lub błędnem spojrzeniem Koi-Baby.

W cerkwi, gdy wszedłem, niebyło nikogo. Ołtarze stały zasłonięte, świece niezapalone, chór kryłosowy milczał. Okna boczne, za-



kratowane i zasnutę pajęczynami, przepuszczały blade za ledwo światła. Natomiast, przez frontowe podwoje, szeroka rzeka słońca sunęła w kierunku wielkiego ołtarza, oblewając jego filary stare, złocone. Ciężka jedlińska pospołu z siekanym bluszczem, obficie po posadzce rozrzucone, zielonemi żrenicami polyskiwały na promiennym miedzianym kobiercu niebios, rozsuniętym po ziemi od zachodu. Ściany popielate, słupy poczerniałe, stały umajone w drzewa, w gałęzie i wianki z ziół; chorągwie przy nich poważnie się zwieszały na dół ciężkimi swemi lamowaniami a świeciły frędzlą złotą. Pełno wszędzie było oddechów leśnych, jak przystało na wilię Zielonych Świątek, uroczystości najmilszej w dawne owe czasy, kiedy po tym bluszczu wiek dziecięcy skakał bosemi od radości stopami.

Umilkły zmęczone dzwony, i urywanym tylko oddechem same raz po raz uderzały o swe piersi spiżowe. Ucichły, a resztki wzniesionego przez nie pyłu, niby senne młodocianych dni przypomnienia, wiły się na świetlanych strugach płynących przez cerkiew wzdłuż. Znikały gdy pas ten jasny opuściły. Tyleżby dla nich było życia dopóki ich oko dojrzy? Tak mniema człowiek, Bóg mógł inaczej rozrządzić.

Oparłem się zadumany o grubą balustradę przy kryłosie, odgradzającą prezbiterium od środka świątyni.

Cicho było w cerkwi. Cicho, lecz nie martwo. Po stronach, wiała zapachem zieleń nadwodna, świeżo naniesiona, mokra jeszcze od wczorajszego deszczu; szumiały liście drzew, prostował się i krzywdy swe goił bluszcz posiekany, kołysały się zwolna chorągwie poruszone zrana, kiedy je Klemens, wspólnie ze starostą cerkiewnym podpierał jedliną i choinkami; słońce zniżając się na niebie, tu podjęło więcej w górę swoje promienia i zaglądało do białej blaszanej skrzynki pod obrazem głównego ołtarza, gdzie się mieściły starożytne królewskie przywileje i odezwy—aż do ostatniej—kościuszkowskiej.

Nie było w cerkwi martwo, lecz pusto. Przy zakrystyi na lewo stały próżne stołki obite poźółką materyą, na których, w dniach uroczystych, siadały panie znamienitszych zaproszonych gości. Tu po raz pierwszy widziałem Micę—przyjechała z Tacią na odpust. Ile temu lat, nie przypomnę. Nosiła wtedy krótką sukienkę, błękitną, po kostki, ze wstążeczką u piersi. Oglądała się ciągle, mierząc mię oczkami czarnemi; włosy, wówczas jaśniejsze, odgarniała rączką, ażeby zbyt na

biały kołnierzyk nie spadały. Jej starsza siostra mówiła coś do ucha Maryni, z którą się znały dawniej. Już i pod mundurkiem gimnazjalnym biło mi serce — przecuciem jakimś. Do domu dnia tego nie mogłem przyjść od razu, aż póki nie zawołano na obiad, — i mówić z początku w pokoju nie wiedziałem co, aż dopiero później, kiedyśmy wyszli na cmentarz, zkąd Micię poprowadziłem na mostek, ostrzegając, żeby nóżki w otwór gdzie nie wsadziła. Ale sama już zważać umiała na wszystko, bo tak była urodziwą i piękną, że się dorosłą wydawała.

Zatęskniony, sam jeden obecnie stałem, oparty o balustradę prezbiterium...

Wszedł właśnie Klemens, twardo stąpając po drewnianej posadzce; bluszcz zaskwierczał pod jego tępymi podkówkami. Machinalnie, prosto pociągnął do zakrystyi, wyniósł ztamtąd po chwili gorejący na długim kiju „stoczek” woskowy, i jał niecić światło przed wielkim ołtarzem. Nieżywo szła mu robota. Na uroczystość jutrzejszą odnowiono przed Matką Boską wielkie żółte świece; knoty w nich były za długie, za świeże. Co panomarz zapalił tu, gasło tam, dymiąc mgławo. Klemens niezrażony, wracał po raz drugi i trzeci, bez najmniejszej oznaki zniecierpli-

wienia. Znał te sprawy od stworzenia światła I lat może miał tyleż, choć czarnego połysku jego włosów krukby mu pozazdrościł.

Siedm świec rozgorzało nareszcie.

Skrzypnęły drzwi boczne w lewo za mną, od strony plebanii. Drgnąłem... Ale do zakrystyi przez cerkiew przemknął szybkim krokiem tylko Faustyn—długi, suchy, kaszlący. Nie spojrział, przechodząc na środek cerkwi.

Za nim, po niejakim czasie, wpadł djacek zdyszany, czapkę prędko zawiesił na gwoździu tuż przy skarbonce cerkiewnej, i począł na kryłosie wydostawać z przegródek dolnych na pulpit górny książki nabożne, w skórę oprawne, stare, z zabrukanemi brzegami, z wiszącymi przy nich nowiutkiami wstążkami. Poślinił palce, karty przewracał z pośpiechem, że aż migaly w oczach, poprzezierał stronic, wstążki na właściwe miejsca pozakładał, wyprostował się i był gotów. Odchrząknął i na bok uważnie splunął, zasłoniwszy się należyście dłonią od środka świątyni i ołtarza.

Odchrząknął raz drugi.

Oficyant w stroju pontyfikalnym wyszedł z zakrystyi.

— Spólnie pomódlmy się Panu! — zaintonował.

— Zmiłuj się, Panie—odpowiedział djacek minorowo, basem, na który odezwały się wiekowe echa ścian i powały.

Ksiądz zbliżył się pod wielki ołtarz, wziął w ręce długi stojący obok pastorał bukowy, i podniósłszy go w górę, rozsuwał na jedną i drugą stronę drżące jasno-różowe zasłony z białymi srebrnymi na nich krzyżykami, kryjące obraz Przczystej Boga-Rodzicy, patronki cerkwi, Niewyhrycz i krainy całej. Wyjrzało z pod miękkich jedwabów oblicze Najśw. Panny, i szata Jej szczerosrebrna zabłysła, wspaniale rozpromieniona od światła jarzących, płomiennie teraz rozradowanych pod dobrotliwym spojrzeniem Matki Siedmiu Bolesci.

Nabożeństwo się zaczęło.

Do cerkwi weszło kilku starców i kobiet wiejskich z dziećmi na ręku, w białych na głowie „rańtuchach“. Starcy stanęli na prawo, od strony kryłosa, kobiety ukłękły po stronie lewej, u drzwi bocznych, kędy przed chwilą wszedł był Faustyn. Twarze niewiast były ciemne, szczupłe, zmęczone. Znać, że przyszły tu ofiarować Matce Jezusowej znój całotygodniowych swych trosk, udręczeń i nadziei.

**Mici niebyło.**

Wieczorna świeżość napływała do cerkwi wraz z mrokiem. Znikały, idąc w górę, promienie słoneczne, wpadające przez główne drzwi cerkwi; posępniał ich kolor, zmniejszała się ilość. Mocniej natomiast rozpały się świece przed wielkim ołtarzem, i zwiększała się w przybytku gromadka wiernych. Rzewne śpiewy kapłana, raz ucinane, to znów naprzemian wiązane z niższym głosem djacza — śpiewy które tamten wydłużał, a ten znów jako mógł skracał w chęci zapewne wrócenia czempredzej do swych zajęć gospodarskich — obiegały odgłosem tęsknym wszystkie zagłębia świątyni. Wpadały na chór wyższy, naprzeciw ołtarza, z organami teraz milczącymi; zaczepiały się o smolne belki powały, pokryte obłoczkami wiotkich pajęczyn, i rozmawiały z cicha z liśćmi choin lub z iglicową jedliną. Powracały następnie przed ołtarz wspólnie z aromatem leśnym, żywym, świeżutkim, zanosząc w ofierze przed Świętą Rodzicielką Pana nad Pany swe dary pobożne — wdzięczniejsze niewątpliwie i przyjemniejsze jeszcze być może Przepczystej Dziewie niżli wonne dymy z jałowcowych ziarenek i mrówczych bursztyneków, które Klemens bezustanku sypał łyżkami całami do kadzielnicy wielkiej, ciężkiej, bizantyjskiej, pamiętającej mo-

że dalekie dnie kniazia Romaña, władcy tej ziemi z czasów krzyżackich.

Śpiewy te i wtór ich—wtór z jednej strony żywej przyrody, z drugiej umarłej przeszłości—drżały teraz w mej piersi, kładły się na serce żalem jakimś, skargą tajemną, tęsknotą bezmierną, bezbrzeżną. Cudu dusza pragnęła—powrotu pragnęła w lata te dawne rumiane, jasne, czerstwe, kiedy roje uczuć świątecznych i roześmianych ubierały przyszłość całą z końca w koniec, jako te wianki ubierają ściany te ciemne. Tu, przy tej balustradzie, ileż uroczystych, wzniosłych natchnień wybiegło z piersi! Miejsce, zaprawdę, pamiątkowe. Tędy, środkiem tej przegrody, niegdys, w dzień Przemienienia Pańskiego, kapłan odziany w najbogatsze szaty kościelne, z krzyżem na głowie ubranym w kwiaty, szedł w zakole środkowe, pomiędzy lud, i święcił zboża, rośliny, owoce, które od tej chwili dziatwa, bez grzechu i niebezpieczeństwa spożywać na zdrowie mogła.

Tędy, w północ Zmartwychwstania, gdy już zwinniejsi mołojcy wpadli na dzwonnice i za sznury od dzwonów krzepko pochwycili; gdy cała cerkiew tonęła w światłach, a „pajak“ mosiężny w górze aż kapł góracym woskiem na głowy wier-

nych; gdy najsilniejsi chłopci rozebrali pomiędzy siebie sztandary cerkiewne, i w górę jak można najwyżej wysunęli; gdy przy kryłosie skupiły się do koła djaków najteższe z okolicy basy, najcieńsze z młodzieży alty i dyszkanty, gdy już tym sposobem wszystkich piersi, usta, uczucia i ręce gotowe były do przyjęcia „dobrej nowiny” — tędy, powiadam, wychodził niegdyś kler w złotolitych ornatach, stawał, i odchyliwszy nagle zasłony okrywające grób Zbawcy, podniesionym głosem obwieszczał, że:

— Chrystus wskrzesł [ninie] *Chrystos wo-skresze?*

I ziemia wnet cała, głosami dzwonów, pieśnią żyjących, radośnym oddechem wszystkich zmarłych w nadziei na przyszłe odrodzenie, jednym niebotycznym chórem zwiastowała chrześcijaństwu z krańca w kraniec:

— Zaiste wskrzesł Chrystus z martwych, śmiercią swą śmierć zwyciężywszy! a tym co w grobach byli, życia udzieliwszy!

I słyście, pochylony, jak wszystko co kiedykolwiek żyło lub żyje, i w dobrej wedle siebie wierze pracę swą dawało lub daje na spólny pożytek pokoleń, odsuwało ze swych twarzy białą zasłonę niewiadomości, i szeptało uradowane wraz z innymi:

— Chrystus wskrzesł ninie!



Nie wiem dla czego—wolałem zawsze modlić się z tymi ostatnimi—po cichu, niż z tamtymi głośno. Zdawało mi się zapewne, że ci co „nie wiedzą“ naturalnymi są braćmi tych co „cierpią“—a cierpiałem już oddawna—i oddawna się modliłem.

Modliłem się i teraz, szczerze, gorąco, ująwszy głowę oburącz.

Mici niebyło.

Za sobą słyszałem długie, przyćmione westchnienia, schorzały kaszel i ciężkie „Boże bądź miłosiw“ starców; słyszałem suchych, spieczonych niewieścich ust pacierz—i cienki, scherlały płacz niemowląt wiejskich, co nasze modły znienacka przeszył boleśnie, ostro... Przeszył, zduszonem echem dążył ku górze, kołysał się tam chwilkę, wznosił się, opadał, i cichł dogaszony brzękiem muchy, uderzającej się błędnie o szyby cerkiewki. I znów wnet z kolei, to ksiądz na cześć Wszechmocnego wywiódł w niebiosa wysoką nutę śpiewu, to djacek żywiej a niżej odniósł Mu odpowiedź wiernych—jednostajną, monotonna, powtarzającą się jak nędza żywota po niedoli ziemi:

— Panie, zmiłuj się! Zmiłuj się, Pani!

Trwała, ku posadzce się kłoniła, ku ołtarzom ręce wyciągała rozmowa ta długa, nie-

ustająca duszy ludzkiej z Mądrością Bożą, zadumaną, milczącą, poważną—a wszechobecną i wszechpewną.

Trwała—od niemocy się staniała, budziła się, zamierała na chwilkę, znów rosła i rozlegała się wzdłuż i wszerz świątyni Pańskiej.

Naraz — zamilkła, przypadła na klęczki, w proch się rozesłała przed Majestatem Bożym.

Nadchodziło zakończenie nabożeństwa. Dja-czek zamknął księgi, złożył je na dolnych przegródkach kryłosa. Sam ukląkł. Słychać niebyło żadnych znikąd odgłosów. Dzieci, przytulone do łona matek, cicho ssały obnażone ich piersi.

Ukląkł i kapłan przed ludem, z nim razem, na jego czele—a wzniosłszy ręce, zaintonował wspólnie z wiernymi, głosem uroczystym pieśń wieczorną:

— Boga-Rodzicol Święta Maryja! Chron nas od złego, chron od złych myśli! Uproś u Syna swego miłego, niech nam zaświecą dni święte Jegol Niech nas niedola czarna omija, niech zgoda będzie pomiędzy pany! Niechaj urodzaj spływa na łany — niech cnota, mądrość zabliznia rany, któreśmy sobie w ciemności ducha...

Szeroka to pieśń była—serdeczna—zacna—szczerą — wszystkiemu i wszystkim błogosławiąca, jak samo to serce naszego ruskiego wieśniaka, ilekroć zkadkolwiek czystszy promień na niego spadnie... i oczy mu otworzy.

Śpiewać nieprzestając, kapłan powstał, podszedł pod ołtarz, wziął w ręce długi bukowy pastorał i zwolna jął nim zasłaniać rozpromienione, uśmiechnięte oblicze Najświętszej Panny — a hymn tymczasem, roz tęskniony, rozplakany, głęboki aż do wnętrza matczynej w duszę dziecka siejby, rzewny i gorący jako natchnienie lat naszych późniejszych, stary, siwiejącym mrokiem wieków okryty, — hymn bogobojnej ziemi naszej, huczał, trząsał posadami grobowców, i rozplýwał się łzami żyjących po rosie wieczornej: aż na pola, na dąbrowy, na kurhany, po nad wody, po nad siola tej szerokiej, ukochanej — białej, czarnej czy czerwonej ziemi naszej — ziemi zacnej, choć tak ciemnej, choć tak nie raz opłakanie, strasznie błędnej...

Lud go śpiewał.

Obraz znikł za zasłony, Klemens świece gasił, a lud śpiewał:

— Boga Rodzico! Czysta Dziewico! Daj rządnosc, statek temu krajowi! Spokojem błogim okryj tę ziemię! Błogosław miastom, mo-

żnym, i małym! I dzieciom naszym — i pozostałym! Spojrz macierzyńsko na ludzkie plemię! na nasz dobytek, na nasze pola! I niechaj wszystkim Twa łaska sprzyja! a Syna Twego niech będzie wola. Módl się za nami Święta Maryja!

Ustał hymn nareszcie—a jeszcze jego słowa roznosiły echa powietrzne aż na lasy, aż na łąki, na ogrody, na cmentarze, po nad rzeki, miasta, wioski i zagrody tej rozległej, urodzajnej,..... wiernej, a jednakże nieszczęśliwej ziemi naszej.

Ustał. Światła Klemens pogasił, niewiasty z posadzki się podniosły—nikt jednak nie wychodził.

Złożywszy z siebie ornat, ksiądz się ukazał z krucyfiksem. Że nazajutrz było wielkie święto, wziął tym razem krzyż mniejszy, hebanowy, z wizerunkiem Chrystusa szczerosrebrnym — dar nieboszczki dziedziczki Niewyhrycz, pani dobrej i kochanej.

Lud tłumnie przystąpił do ucałowania krzyża.

Mici niebyło.

Postrzegłszy mnie, Faustyn uczynił lekki ruch zdziwienia; dawno tu byłem, rzeczywiście. Prawą ręką podniósł krucyfix do moich ust, gdy lewą wziął mię za ramię, ścisnął

uprzejmie, i nachyliwszy się nieco z podniesienia na którym stał, rzekł:

— Oze-cze-cze-czemuż nie zachodzisz?

Pochylił się bardziej i w czoło mię pocałował.

Ludu, jak się pokazało, tłum zebrał się niemały pod koniec. Widocznem było, że nie-szporzy zaczynały się trochę zawcześnie. Roboty polne wieśniactwo opuściło dopiero przed chwilą, przed samem „Boga-Rodzica.“ Kosy, widły, grabie, stały właśnie w babin-cu, u proga, grożąc w pobrzaskach kończącego się dnia zapadłemu słońcu słowami Szymonowicza... „że świeciło za długo.“

Wielu chłopów i chłopek znałem po imieniu. Kiwaliśmy sobie obecnie głowami, pozdrawiając się grzecznie. Mołodycie spuszczały oczy, jak przystało w świątyni Pańskiej; zameżne uśmiechały się zacnie.

Wyszliśmy z Faustynem na ostatku; Kle-mens drzwi za nami zamknął, i łańcuchem na noc je ubezpieczył. Słysząc bowiem było, że w sąsiednim dworze, u p. Adołkowskiego złodzieje trzy konie onegdajszej nocy z pastwisk uprowadzili, co nie było dziwnem od czasu jak granica pruska była ztąd teraz — od lat trzydziestu—o miedzę prawie, przez Tykocin lub Goniądz.

Faustynowi krótko na cmentarzu przedłożyłem misywę Joasi. Odrzekł zakłopotany, że nie wie, że pomyśli, „bo to widzisz, Pawle—powiedział—niezupełnie do mnie rzecz taka na-na-leży.“ Prosił na herbatę. Wy-mówiłem się. Nastawał serdecznie. Już się wahałem, gdyż rzeczywiście tęskno mi było trochę za Grzegorzem Nanzyańskim, i gre-czyzna z pamięci powoli wychodziła — gdy naraz z ganku wybiegła Micia.

Stanęła o dwa kroki od nas—cofnąwszy się. Rzuciła wpierw na mnie, później na księdza spojrzenie niejasne, zaniepokojone; chwyciła się za ręce, jakby niewiedząc co czynić. Gdy schodziła z ganku, zdawało się, że miała uśmiech na ustach; znikł teraz. Twarz jej drgnęła wyrazem mimowolnego przestachu. Ale i ten ustępował z kolei przed miększem, szlachetniejszym uczuciem, które otaczało jej śliczne usta, pół otwarte do zdziwionego—rzekłbyś — wyrzutu, czy do przebaczącego powitania.

Posłoniłem się cokolwiek na jej widok. Opamiętałem się jednak prędko. Odetchnąłem. Słowa Joasi o niefortunnym moim wyborze za rzeką, stanęły mi w myśli; wiedziała zapewne dobrze co mówiła. Wyprostowałem się więc

tylko, odkrywając głowę, jak do przyzwoitego ukłonu...

Cóż, kiedy nie mogłem! Kochałem ją. Prózno człowiek broni się swojemu uczuciu. Serce nie da się okpić. Oczy odmówiły mi posłuszeństwa—przyjmując w siebie naraz całą tę powódź, która jednym zachodem splukała mi w piersi wszystko co było i nie było na dziewczynie. Zmiękłem jako glina, z której Przedwieczny tworzył pierwszego człowieka, i prawie wbrew woli, wbrew rozumnemu postanowieniu, zwołałem do niej:

— Panno Michalino!...

Na resztę jednak głosu i tchu zabrakło znowu—gdy niechcąc spojrzałem na jej sukienkę.

— Słucham cię, panie Pawle! — odrzekła Micia podnosząc tymczasem na mnie wzrok swój ciemny jak moja przyszłość, głęboki jak moja niedola dzisiejsza.

Lecz nie wyrzekła nic więcej. Głowę natychmiast zwiesiła na piersi.

W nowej zmianie mej twarzy musiało być coś niezwykłego, skoro dziewczę oczu już od ziemi oderwać nie mogło, choć widziałem usiłowało. Opuszcilo dłonie, zawróciło się, i chwiejnie poszło ku galeryjce plebanii, chwytając do-

koła siebie powietrze rękoma jako ptak złamanymi skrzydły.

Tak jest, wszystko przenieść i wytłómaczyć mogłem—chwilę zapomnienia się, lekko-myślność, nieroztropność, zaślepienie — a tej jej sukienki ścierpieć nie byłem w stanie. Mieniła się ona odblaskiem świeżym, kramnym, tym samym powiedziałbym, który mnie przed chwilą zastanowił był we wstążkach pod palcami djaczka. Zobaczyłem na tych jedwabiach coś takiego, na czym zdawał się spoczywać, i szydersko ze mnie się naigrawać wzrok Dyonizego.

I stałem się w mgnieniu oka jako słup soli gorzkiej.

Odszedłem czempredzej, skłoniwszy się tylko w milczeniu głębokiem Faustynowi, który w tym wypadku już ani do jednej sylaby przyjść nie mógł.

— Skończyło się—mówiłem w duszy—skończyło się obecnie stanowczo, bez możebnego z mojej strony kroku do jakiegokolwiek pojednania!

Byłem tym razem dotknięty już nie na myśli tylko, lecz na sercu, na duszy, na całym swem jestestwie, na czci, na dobrej wierze, na gotowości nawet do przebaczenia mimowolnego błędu...



— Cóż bo znowu warte takie życie! — powtarzałem wzburzony cały—życie jak na majdejowym łożu, bez spokoju, bez pewności, pełne zgryzot i cierpień. — Niechby sobie mieli, niechby sobie posiadali powozy, majątki, pałace, niechby bogactw tych używali, jak się im podoba, lecz nastawać tak już dalece na cudzą niższość i ubóstwo materyalne, zwłaszcza że się wie iż człowiek przecie nie kamień, i czuć umie, i rozumieć rozumie, i czegoś ostatecznie się nauczył, i coś widział na świecie... Pójsęby gdzie lepiej w świat z zawiązanemi oczyma, a nie konać tak co godzina, co chwila, jak ostatni z ostatnich...

Nie powiem żeby przy tych słowach brała mnie chęć postąpienia ze wszystkim i ze wszystkimi jak djacek w cerkwi, kiedy się dłonią przyzwoicie od ołtarza zasłaniał—lecz rzeczywiście niewiele do tego brakło.

— Niech was tu kaci nie znają—konkludowałem w myśli — nie chcę o niczem ni słyszeć ni wiedzieć... Noga tu moja więcej nie postanie!... Czyliżby już tyle tylko było świata na świecie! Tfu, maro zgiń, przepadnij!

Wracałem. Siebie teraz pewny, spoglądałem raźnie i rzeźko na około.

Wieczór był jasny i cichy.

Chłopstwo, gdzieniegdzie jeszcze—pod cerkwią, na grobli, przy lasku, zatrzymywało się próżniaczo i gwarzyło, rozrzucone w kupki drobne, białe, w koszulach—z powodu gorąca. Widły i grabie trzymało na plecach, zaczepiając niemi, ze swawoli, sąsiad sąsiada gdy się mijali. Tam i sam przemknęła dziewczka, wołając ojca na wieczerzę, lub krzycząc na brata, żeby też nie zapomniał uszczknąć po drodze z pańskiego lasu choinki trochę na święto. Gdym przechodził pytano czy rzeczywiście mocno byłem słaby, co i od czego. Ścisnąłem za ręce jednych, kłaniałem się drugim, a u wszystkich nawzajem wywiadywałem się o ich zdrowiu i powodzeniu.

— *At*—odpowiadano—jak bywało tak i jest.

Żartując zagabiałem chłopki. Śmiały się bez wyjątku, bo i co zresztą miały robić lub gadać darmo dalej.

— *A na was tam Weliki-Iwan żdut* — ozwał się naraz, zerknąwszy zyzem, Hrycko Mańkut, zwany tak dla tego, że bił ręką lewą jak nikt przed nim prawą.

— Gdzież jest?—zagadnąłem.

Mikita Śniezyk, który oddawna Mańkuta nie lubił, pochwycił po polsku:

— *Stoi tam tylko co u lasku.*

— Nie u lasku, nie u lasku — poderwał Mańkut na przekorę—cóż nie widzisz, ślepie wyleźli czy co! *stoit szcze pri dorozii i zo starostaju cerkownym rozmawlaje.*

Pożegnałem swarliwych chłopców, poszedłem dalej. Wielki-Iwan stał istotnie przy drodze i rozmawiał ze starostą cerkiewnym. Jagusia była przy nim. Uściskałem ojca.

— A gdzie jegomość się dziewałeś?—pytał pan wójt, kum nieboszczki mojej matki na wszystkich chrzcinach.—Mam ukłony od pani Kalisewiczowej, i pismo. Zaraz oddam, pierwszej skończę ze starostą. Pójdź teraz i Jagusię przeproś.

Jagusia stała cokolwiek opodal. Nie wiedziałem się z nią od przyjazdu do Niewyhrycz, zajęty to dworem to plebanią. Spytałem o zdrowie.

— Zdrowa, paniczku — odrzekła z niejakim nadąsaniem.

— Paniczku? Już nie Pawełku, jak dawniej?

— A kiedyż byłeś u nas? Nawet „pochrystosować się“ nie przyszedłeś.

Wytlómaczyłem się czem było można. Przebaczyła bez trudu, nie przestając czynić wyrzutów:

— Spaniał—mówiła—nie przychodzi już, widzisz go, ani na pokaz teraz.

— Matula zdrowa?—zagadywałem.

— Zdrowa, dzięki Bogu. Czemuż nie przychodzisz? Zapomniał, ani słyhu, ani widu, w cerkwi nawet nie złapać, a do wsi to już ani nogą! Jakby kto cudzy, lub zagniewany.

— Za cóżbym się miał gniewać, Jagusiu kochana, czy może za jagody, któreś nam niegdys przynosiła?

— A widzisz! Przychodź. Miód jest stary dobry, ojciec na święta przywieźli araku, to i „krupnik“ będzie. I jagody się znajdują... Chodź z nami dzisiaj!

— Kiedyż za mąż wychodzisz? Wypiękniałaś, wyładniałaś, biała dziewczyna jak śnieg...

— Cóż z tego, kiedy nie przychodzisz. Przyjdź kiedy. Przyjdziesz?

— Przyjdę.

— Kiedy.

— Ot choćby jutro, na wieczerzę. Chcesz?

— Chcę, ale już zapomniałam co ty lubisz.

— Chleb wasz gruby, Jagusiu. I twoje dobre oczy.

— Co po twoich pochwałach, kiedy nie przychodzisz?

— Niebojś, nie przestały dla tego błyszczeć jako dwie świece lub zorze.

— Cóż myślisz, że będę je darmo wyplakiwała dla ciebie? I lżybyś nie przyszedł zobaczyć. Chodź teraz z nami. Niedługo zabawisz. Matula naleśników nasmaży, opowiesz mi cokolwiek, o wojnie, o Panu Tadeuszu.

— Więc nie zapomniałaś?...

— Jeszczeby czego! Toż od tej pory mamy trzydzieści kilka chat wolnych. Rok pamiętam, który mi powiedziałaś. Stary pan przywiózł wtedy młodą swą panią, ztamtąd... Chodź! Idziesz?

Podbiegła do ojca, zachęcając do powrotu. Wielki-Iwan modrzewiową swą łapą podniósł ją na dwa sążnie w górę.

— Albo wam bronie—rzekł.—Idźcie. Będę zaraz za wami; wpierw ze starostą skończyć muszę. Na, oddaj list Pawłowi. Różia go pewno zaprasza na wesele, na Ś-ty Piotr i Paweł.... Nie bałamuć tylko chłopca po drodze!...

Na świecie było ciepło i hożo.

— Pójdźmy przez las, Jaguś — powiedziałem.

— Czy nie myślisz, że się boję?

— Także! Znamy się przecie od maleńkości!

— Gdybyś przychodził, toby jeszcze, a tak żal się Boże.

Ścieżka zygzakiem biegła poprzez brzezinkę, okalając wioskę położoną pod jej bokiem. Do chaty Wielkiego-Iwana był spory kawał miłej drogi. Przypominaliśmy sobie z Jagusią—idąc tak i gwarząc — minione czasy, nuciliśmy zwrotki ruskie i polskie, hukaliśmy po lesie, w gąszcz jego na prawo, wsłuchując się w odgłosy dawne. Różany rąbek nieba od zachodu, poglądał ku nam z lewej strony przez drzewa rzadkie na skraju brzezinki, oblewał rumieńcem twarz dziewczyny, wyświetlał białe kościane guziki gładkiego szafirowego jej żupanika na jasnej spódniczce. Pogoda przyémionego wieczora łagodziła gorący oddech piersi, bijących nam żywo. Pofale wzięliśmy się pod ręce, godząc braterstwo dawnej zażyłości z następnymi lat rozwą, niezupelnie zresztą obojętną...

— Cóż wasz panicz dzisiejszy? — pytała Jagusia.—Zawsze taki sam swawolnik?

— Czy z tobą także swawoli?

— Ze mną? Z nikim nie swawoli kto nie chce. Można nakazać robotę, ale swawola przychodzi tylko z dobrej woli.

— Czy nawet z poddankami?

— A ty myślisz jak? Albo to jedną znam, co panicza zamalowała, że się aż łzami oblał!

Wszędzie tak jest gdzie we dworze jest lepsza pani.

Dały mi do myślenia te słowa Jagusi.

— Ma rację dziewczyna—rzekłem w duchu.

Biegaliśmy z sobą później czas jakiś, kogo dopędzi, po staremu. Niewinna to była zabawa. Serc jutrzennej czystości strzegła swoboda: wiedzy z mojej strony, swoboda pracowitego dostatku ze strony dziewczyny.

Ugoszczony, uściskany u Welikaho-Iwana, wracałem do dworu. Wracając, mówiłem do siebie:

— Joannie nie dopowiedziałem dla czego wybiegam od nich w przeszłość przedślowiańką. Bo to świat zupełnie ten sam. Nic się w nim nie zmieniło od czasu jak przeniósł się do Europy. Taka Jaguś, i taka Joasia, to jedno: Nalvi starożytna, geniusz plemiennej, rodowej cnoty. Jedną czy drugą weź do chaty dymnej, a będzie ci żoną zącą — weź na tron, obie królowemi być potrafią.

Żal mi naraz serce ścisnął.

— A moja Micia biedna?—pomyślałem.

Ktoś stanął przedemną. Cofnąłem się. Noc była pogodna i jasna. Spojrzałem w oczy człowiekowi.

— Hryćku, to ty?

— Tak, Pawle—odrzekł Mańkut. — Twoje szczęście. Byłem cały czas w tym lesie. I choć mój ojciec u was służył dopóki się chleba nie dorobił, a ciebie mam za dobrego człowieka—byłbyś jednak z lasu nie wyszedł. Twoje szczęście!

Z podełba patrzył. Prawdziwy to był typ „chama”: silny za czterech, podejrzliwy za dwudziestu, zły za wszystkich i na świat cały.

— Ależ Hryćku—ozwałem się — zkądżem ja mógł wiedzieć...

— Nie masz się czego bać teraz — prze-rwał.—Chciałem tylko powiedzieć to: że wy wszyscy tacy. Krzyczycie na panów, wymyślcie na szlachtę, ujmujecie się niby to za ludem, a niechno który sam się czego dochrapie! Czy pop był ojciec, jak twój, czy chłop jak naszego rządcy—jednaki djabeł go zaraz męczy...

— Ty zaś sam, czego byś chciał?—zawołałem z ożywieniem—czy żeby na świecie żadnej nauki niebyło, ani wyższości lub niższości, jak w lesie wyciętym i Niemcom sprzedanym?...

— Dureń jesteś jeżeli tak gadasz — odparł Mańkut.—Mogą ciemnym chłopom to kłaść do głowy tylko tam, gdzie świat, jak deskami



zabity, gdzie ludzie nie ani widzą ani słyszą, gdzie każdy co handluje uchodzi zaraz za złodzieja, a każdy co panuje za rozbójnika. U nas tu inaczej chwala Bogu. My ze starymi panami zwiedzali kraju niemało. Swój swemu opowie co widział. Wszędzie są i będą panowie i robotnicy, mniejsi i więksi, uczeńsi i prostsi. Nie o to chodzi... Ty sam naprzykład, czego się po nocach swędasz, czego po całych dniach przesiadujesz z założonemi rękami to na plebanii, to we dworze, czemu nie weźmiesz książki zrozumiałej i we wsi cokolwiek dobrego nie przeczytasz, nie opowiesz? Dawniej, lud przynajmniej mógł pójść gdzie chciał kazania posłuchać: do kościoła to do kościoła, do cerkwi to do cerkwi, a dziś co?

— Ależ, Hryćku, zwarzowałeś — alboż to do nas należy?...

— Wiemci przecie, że nie do was. Kto tego nie wie! Ale do was należy uczciwie z nami raz po raz pogadać, dowiedzieć się co i jak jest... Ot niedawniej jak temu tydzień przybył tu jakiś szofdra i powiedział, że jak wojna się zacznie, to trzeba żydów tłuc, a robocizny nie robić... Djabli go wiedzą *od kogo* gadał...

Machnął jednak lewą ręką — i dodał:

— Ale co to z wami rozprawiać... Wtedy się obejrzyście jak nas wszystkich — dobrześ

powiedział—zrąbią i wygołą jako las — panu zdjąwszy żupanik, a chłopu koszulę...

Odszedł.

Patrzyłem za nim.

— Dalibóg — powiedziałem sobie — jeśli z nas ktokolwiek ma słuszość, to chyba ten „cham“.

Okrążywszy stajnie dworskie, cicho przeszedłem przez dziedziniec; furtkę od ogrodu znalazłem przymkniętą. W alei było głucho.

W izbie swej we dworze, gdzie od choroby mieszkałem, długo się z kąta w kąta tłukłem, bijąc się z myślami. List Kalisewiczowej, wyjęty z bocznej kieszeni, rzuciłem na stół. Domyślałem się jego treści: wymówki i zaproszenia...

Rozbierając się, szeptałem pacierz ruski. Późno już było.

Położyłem się, zgasilem światło, ale zasnąć nie mogłem. Głowa założona była jak pakułami.

Po jakimś czasie, podniosłem się na łóżku, skrzesalem „hubkę“ pod papierowy siar-niczek, zapaliłem świecę na nowo. Sięgnąłem po list na stole, rozpieczętowałem. Podpis był Rózi. Przysunąłem stół bliżej, i czyta-łem:

— „Panie Pawle, piszę to choć mama nie wie, a Micia zabroniła, ale chociaż pan o nas zapomniałeś, to my o panu zawsze pamiętamy i dobrze panu życzymy, i szczerze prosimy Boga żebyś pan zupełnie wyzdrowiał, i był jak dawniej. W sobotę dzisiejszą po nieszpochach, przed Zielonemi Świątkami, będzie u nas Micia; niby niechcąc przyjeźdź pan do nas, choćby już w wieczór; będą Ostasiewicz, pan Teofil z Popław z siostrą Zosią i nikogo więcej. Odeślemy was swoim wózkiem, bo przez święto wypocznie; tylko proszę na pewno z kimkolwiek zabrać się i przyjechać. Ja wiem że pan Micię zawsze lubiłeś, a jej Paraska przyznała się że kartkę panu oddała, a nie komu innemu, którego Micia nie powiedziała, bo nie może. Będzie jeszcze młody Jan Koleczycki, ale ten to już jak domowy, choć niedawno przyjechał aż z Czernihowa do marszałkowskiej kancelaryi. Tylko nie zapomnij pan przyjechać, Wielki-Iwan powiedział, że panu list odda przed wieczorem jeszcze, choćby do dworu miał iść. Nic jemu nie powiedziałam, co jest w liście. Jak się z Micią rozgadacie, to Micia sama panu powie, że w karteczce był wyraz, który ona skasowała, bo to ona była, i powie dla czego, ale więcej panu nie mogę powiedzieć, bo i Micia nie powiedziała. Kar-

teczkę tę Micia pisała nie dla siebie, ale dla kogo innego, i oddała Parasce nie dla pana. Proszę pana przyjeźdź i nie wydaj mię z sekretu, bo Micia teraz nikogo nie ma tylko nas, i biedna pracować musi; mówi, że jak tak dłużej będzie, to pojedzie do Podbiela i już nie wróci“...

Złożyłem list na stole.

— Biedna dziewczyna — powiedziałem. — Takich samych wybiegów używała nasza Marysia przed rodzicami... Dobrze powiedziała Jagusia: kto nie ma dobrej woli do swawoli — nie swawoli... Przytem jest już późno. Wróciła już pewno... Gdybym był pozostał w lamusie, widziałbym po oknach plebanii.

Zdmuchnąłem światło. Długo przecież jeszcze sen na oczy nie schodził. Westchnienia wrywały się z piersi, choć nie myślałem o niczem. Złoty medalionik Joasi przesuwiał mi się po szyi.

Zasnąłem nareszcie — ciężko, bez marzeń.

---

## XI.

Minęło jeszcze jednostajnych dni kilka.

Wieczór w wigilię ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła był gorący i ciężki. Nieznośne upały dnia gęsto osiadły przy ziemi. Mrok zapadał szybko; gruba ława chmury wysuwająca się zwolna od południa, za cerkwią, napędzała na świat cienie nocy wprzód nim słońce zaszło. Niebo, przed godziną jasne choć już nie głębokie, porysowało się w smugi popielato-szare, po których się włóczyły plamki zapylone, brudne, mieniące się od czasu do czasu odbłaskiem czerwonym, znaczącym ślad promieni słonecznych zgasłych zawczasu.

Joasia, przerzucając przed stolikiem kartki zapisanego zeszytu opowiadała mi swoje czasy białostockie. Słuchałem ją uważniej niżby przypuszczać mogła. Okna w salonie pootwierane były na ogród; ale zaduch, sparty

w gęstwinie kasztanów przed dworem, tu zatarasował się za sute ciemne zasłony, których stary pan, od zgonu żony zmieniać nie dozwalał, a które teraz, po jego śmierci zmieniać bronila świeża żałoba.

Posepność ogarniała ciszę okoliczną; drzewa stały za oknami nieruchome, milczące. Od czasu do czasu wbiegły do salonu, niby widma, błyskawice blade i jakby szukały gdzie zasiaść; stare szerokie przyławki, pokryte tureckimi dywanami, puste były. Duża olejna lampa rzucała ze stołu ociężałe matowe światła na palisander mebli i przyćmione zwierciadła, przez których mgłę parną przezierało kilka surowych figur rozwieszonych po ścianach. Przy sobie z boku miałem ostatniego starostę bielskiego w czarnym francuzkim stroju. Skrzywiony był jakoby na co brzydzącego patrzył; raził go może po dziś dzień ratusz ów niewyprzątnięty, w którym mieszczanstwo zjedzone przez Szwedów nie miało czem uraczyć Stanisława-Augusta.

— Znałeś go pan prawdopodobnie—mówiła Joasia.—Wybieraliście się wtedy z Dyonizym do Wilna, kiedy Wicus wyjeżdżał za granicę...

— Po raz już drugi—wtrąciłem.

— Znasz go pan przeto?

— Ze słyszenia. Jest podobno... kuzynkiem pani...

— Dyonizy tak go nazywa, ale nie. Otóż, powiadam, za złe mu miano ten wyjazd w chwili tak ważnej. Czekano u nas właśnie na przejazd do Warszawy nowego Cesarza; Wicus jako potomek starożytnego rodu, koniecznie zostać był powinien—sama mu to mówiłam. Białystok się ożywił, przygotowywano dla Monarchy przyjęcie wspaniałe. Chodziły pogłoski o założeniu nowego uniwersytetu w Krzemieńcu i przeniesieniu ztamtąd liceum do Brześcia lub Białegostoku. Powiadano, że Najjaśn. Pan najlepiej jest dla nas usposobionym; nie braliśmy najmniejszego udziału w rozrachach petersburskich r. 1825. Dziś jednak przyczyny wyjazdu Wicusia wyjaśnione zostały. Wujaszek zebrał dokładne wiadomości o niefortunnej przygodzie z tą jego Marylką...

— Dla czego pani mówisz „jego“ — zagadnął. — Czy była poddanką?

Joasia zarumieniła się lekko. Odparła:

— Nie, nawet niewiadomo było z kąd dziewczyna rodem; mówią że z Rossyi, nazwisko swoje ukrywała... Nazywano ją po prostu: Maryś-popadzianka.

— Dobrze robiła, że z imieniem się kryła—  
pysznić się niebyło czem.

— P przeszłość w każdym razie nieszczególna, reputacya zachwiana. Chłopiec widocznie dał się być oplątać, uwikłać w sidła. Postąpił jednak szlachetnie; na pierwszą wieść o chorobie dziewczyny, czemp prędzej podążył za granicę, opłacił długi, wznosił dla niej nagrobek...

— Samą ją zostawiwszy pierwej w bardzo porządnym, dużym, dwupiętrowym domu przy ulicy Ś-go Jakóba, w starym zakładzie pana Cochin...

— Plotki, panie Pawle — powiedziała Joasia.—Dyonizy pewno panu tę historję powtórzył przez złość, przez uprzedzenie do Wicusia...

— Nie, panno Joanno. Coś tam z pogłossek obito się o moje również uszy, nic więcej...  
Mów pani dalej.

Szalone było gorąco, próżnia jakaś zataczała się dokoła pokoju, że oczyma szukać musiałem oparcia gdziekolwiek.

W stłoczonym powietrzu salonu, jedna tylko postać unosiła się lekko i jasno śród tej przeszłości chmurnej, zadumanej, niezadowolonej. Wpatrywałem się w nią obecnie. Wyprostowana, w długiej białej atlasowej sukni



z czasów konsulatu, z wachlarzykiem motylim w lewej dłoni opuszczonej jak przy przyjęciach, z odsłoniętym biustem nieposzlakowanej świeżości, smukła, wysoka, powiewna, uśmiechnięta, zdawała się być wczoraj zdjętym portretem Joasi. To nieboszczka pani nasza z pierwszego roku po swoim zamążpójściu—piękna, dobra, mówiąca głosem cichym, patrząca oczyma zdziwionemi, ciągle jakby zatroskana i zakłopotana. Joasia, siedząca w tej chwili wprost kontrefektu, w lekkiej jedwabnej sukience czarnej, wyglądała na niewiele starszą siostrzyczkę swej mamy, głęboko zasmuconą po jej stracie.

Nie była jednak panienka nasza smutną tym razem. Przeciwnie—i aż nadto wyraźnie mówiła to oczyma. Reszty jej słów nie potrzebowałem prawie słuchać. „Kuzynek“ stanął mi w pamięci, otoczony ruiną i pustką—jako w domu gdzieśmy znaleźli ostatni przytułek, a gdzie dach nad nami zawala się nagle.

Cisza, jakby zdwojona teraz, wydłużała przedemną czasy — i klęski mojego rodu. Nowe widma weszły z ogrodu i chodziły po pokoju wzdłuż i szerz—przypominając mi siostrę uwiedzioną, zhańbioną...

— Na mnie również wpłynęły gawędy postronne — ciągnęła Joasia — i to było przyczyną moich cierpień, tembardziej, że do Wicusia doszły te oszczerstwa. Za dumny żeby się tłumaczyć, nie bez winy po części; nie wracał, tułał się po obczyźnie; sądził, że mu wyrzuty czynić byłabym zdolną. Wujaszek atoli wszystko załagodził w ostatnich czasach...

Umilkła, zapatrzona naraz uważniej w kartkę zeszytu, który przed sobą trzymała.

Daleki pomruk grzmotu zadzwonił po szybach okien. Kanis zawył za rzeką.

— Zdaje się, że będzie burza—nadmieniła Joasia.

— Zdaje się... Kiedyż pan Wincenty wraca?

— Za parę dni ma być w Warszawie—odrzekła—gdzie się z Dyonizym spotkają...

Na zapytanie wchodzącej w tej chwili pokojówki, czy zamykać okiennice, Joasia potwierdzającą dała odpowiedź.

Powstałem. Panienska podała mi rękę na dobranoc; uściśniłem dłoń z ukłonem. Zmierzałem ku drzwiom; po drodze, matka Joasi, w długiej białej atłasowej sukni, z uśmiechem dobrym, pobłażliwym, spojrzała mi w twarz—zdziwiona. Odwróciłem się, chcąc parę słów powiedzieć jej córce na pożegnanie. Joasia

pochyloną była nad starością, i ze snu ją w fotelu budziła. Odszedłem.

Byłem przy furcie ogrodowej.

W otwartem oknie ciemnego pokoju Joasi, zarysowała się postać w bieli.

— Panie Pawle—szepnęła.

— Co chcesz, Anusiu?—spytałem wychylonej pokojówki.

— Panicz tam...—rzekła.

— Za Czarną?

— Nie, poszedł ku górze rzeki — wiesz pan...

— Dobrze, dziękuję ci. Bądź zdrowa.

Okiennice się zamknęły.

Zwolna pociągnąłem aleją ciemną ku Czarnej. Wyciągnąłem z zarośli kładkę, zarzuciłem na ostrów, i przeszedłem. Zasunąłem ją następnie w wodę — i pchnąłem. Popłynęła.

Obejrzałem się dokoła. Na południowo-zachodniej połaci niebios chmurnych, plebania biła gościnnymi światłami ku rzece. Rumor był przy stodółach; skrzypiał żóraw, gasząc pragnienia zwierząt i ludzi po dniu suszy piekielnej. Odprowadzono bryczkę ku szopom; psa słychać nie było, umilkł. Z kuchni dolał tywał dźwięczny brzęk łyżek wiercących się

w głuchym odgłosie pomywanych talerzy cynowych.

Gorąco pierś mi żarło; rozpiąłem, rozerwałem odzież na sobie. Odurzający zapach zielsk tataraków otaczających, mącił mi w głowie. Odrzuciwszy głowę na krawędź brzegu, odychałem powietrzem nad sobą, ku górze.

Burza nadciągała pocichu, spokojnie; ciężarna pewnością swych skutków, nie groziła przed porą zbyt niemi spojrzzeniami błyskawic. Szła oględnie, oglądała się ponuro.

Stopniowo przygotowywał się przełom żywiołów mających wziąć udział w walce, między widną jeszcze połową świata, a jego połową ślepa, która z tyłu za mną sunęła sycząc. Na stronie widnej, gwiazdy drząc uciekały tłumnie; jedne, bliżej, rozłożone nad ogrodem i dworem, snuły się luźnie pomiędzy płachtami chmur, jako chłopstwo w maruderce przed wojną, kiedy ze świecami w ręku biega po pustych chatach; inne, w głębi, ściśnięte w gromady, spadały w popłochu za odległy horyzont wschodni, zatopiony sennie. Od zachodu, na stronie ciemnej, chmura patrzyła na to, powleczone zawiścią siną, i pieńiła się kłębamii obłoczków białych. Całego stada niebios gwiazdzistych nie mogła jeszcze

zgarnąć jednym siarczystym zawojem wiatrów.

Wschód za wygranę nie dawał. Na jego dalekim po nad ziemią krańcu, zabłysło światelko różane jako lont zapalony w rękę bombardnika. Wschodził księżyc na spotkanie burzy. Wysuwał się jednak niepewnie. Twarz miał ogromną, czerwoną, opiłą, a gdy się pokazał, obłąkanym wzrokiem powiódł po widokregu.

Odsiecz księżycza z wyleknioną radością powitały wyżyny. Kiedym spojrział ku cerkwi, dzwonniczka wywieszoną już miała białą srebrzystą chorągiew rozjemstwa. Zielone pagórki ubrały się w fiolety; las brzozowy i wiejskich chat kilka przywdziały purpurę; ogniem na chwilę zapłonął czworobok stodół popich, krwią zaszły szyby plebanii. Świeciło mniemam w okienku Mici.

Chmury raz pierwszy zgrzytnęły ostrzej aż zadudniło w sklepach cerkiewnych.

Czarna milczała. Jak długa, od lasów malwinieckich aż tutaj, trzymała najoczywiściej z burzą. Sama jedna na tym obszarze czarną była i czarną pozostać pragnęła; nie wziąć nie chciała od podchmielonych spojrzeń miesiąca. Pomrukiem stłumionym odpowiedziałwszy przed chwilą na hasło chmur, przytuliła się

do dna, i z cicha obliczała wielkość pomocy, jakiej niebawem zażąda od pokrewnych sobie ulew. Wychudłe . jej łono potrzebowało zaiste, zasilić się nurtem nowych żywotnych zasobów. Zwinięta, zaczajona, spiskowała właśnie o to z okolicznymi piaskami i sito-wiem.

W oddaleniu, wicher już huczał; zajęte przezeń okolice stękały już pewno pod rozchłostaniami różgami jego deszczów. Ale tu nad rzeką, burza ociągała się dotąd. Świeżej się tylko nieco zrobiło w powietrzu.

Wystąpiły podjazdy. Wiatry zwiane wyskoczyły z za góry cerkiewnej i rozpędzały się czas jakiś po płaszczyznach. Drzewa ogrodu w tył się ugięły przed niemi jak do ucieczki, i nazad wróciły. Rekonesans obejrzał się, zaszumiał i popędził w inną stronę, sypnąwszy mi z pod swych kopyt na głowę i piersi—popiół, sadzę i obierzyny, które tu nad brzegiem naskładała Paraska.

Ucichło znowu.

Wyprawione na miejsce wiatrów lekkie chmurki, docierały pod same wrota królewskiej siedziby nocnego władcy. Księżyc raz po raz oczy sobie przed niemi przecierał.

Patrzyłem, czekając, na urwistą ścianę wybrzeża podpierającą wzgórze plebanii i cerkwi.

Wzdłuż jej krawędzi księżyc rozrzucił łańcuch jaskrawych swych światel; dolne atoli części, kręte, podmyte, pociemku się bratały i całowały z Czarną. Wyniosłe, krzywe, poszarpane, wyglądały urwiska te jako połamana linia nagrobków z żałobnego marmuru, zapadających w ruinę, popękanych; wierzchołki ich tylko gdzieniegdzie wyskakujące, zębate, ostro świeciły miesiącowi w oczy, ujęte będąc w przesła i obręcze jego mosiężne, a same gorące, wyszorowane wirami wiatrów, wyszarpane łokciami lat,—tam hardo najeżone jak brama obleżonego miasta, tu opadające jak mur rozbity. Czekałem.

Rozległo się gwizdanie; za niem drugie. Oba szły od góry rzeki, od wschodu. Żywszą falą uderzyła Czarna o brzeg i podnóże mego półwyspu. Przysiadłem, rozgarniając przed sobą tataraki i sitowia. Dał się słyszeć plusk ostrożny, jako kiedy szpieg zakasawszy „nogawice“, skrada się w bród po wodzie.

Burza oczywiście cichła, przechodziła.

Wyrzałem. Środkiem rzeki, o parę łokci przedemną, posuwał się słup opięty w długą szarą kapotkę pańską. Byłem przygotowany, na przyście Dyonizego. Zbliżał się właśnie ku mojej wysepce, płynąc w dół rzeki. Od księżycowych światel, przymrużonych cokol-

wiek, czapka mu gorzała na głowie, i wąsy piękne świeciły po końcach. Reszta postaci cieniem była okryta. Oburącz próbował gruntu z jednej i drugiej strony. Stał na pomoście skleconym z desek i poprzecznych łąt grubych. Pomost taki zwie się u nas „płytem“. Płyt był niewielki, na dwie lub trzy osoby, i to wątpię; niosła go woda sama. Płynący pilnował tylko równowagi, lub stołek swój kruchy odpychał od urwistego brzegu Czarnej, na który go wciąż nanosił potok rzeczny. Przejeżdżając koło mnie, przybysz gwizdnął raz jeszcze, w gębę mi prawie. Czatowałem na niego i na tę chwilę; pusto było dokoła—grzmiało na poboczach... Ale kolega, mijając ostrów, silnem naraz pchnięciem tyki w brzeg przeciwległy, dworski, wprawnie skierował płyt w lewo, ku mnie, i przybił pod ścianę wyniosłego brzegu, tuż obok mojej wysepki; w ten sposób, posiadłością moją zasłonięty, prom swój ubezpieczył od głównego prądu. Zagięcie rzeki między wybrzeżem plebanii a moim półwyspem, stało się dlań rodzajem portu. Gościnność, na kawałku ziemi jaki mi pozostał jeszcze, zapewnić mu teraz kazała przyjęcie... uпрzejme. Byliśmy od siebie oddaleni o jakie dwadzieścia, trzydzieści cali; gęsty warkocz roślinności przegra-



dzał nas jedynie. Stałem na tem podniesieniu, wyżej od niego — zupełnie jak w szkołach—o całą głowę i pierś po serce. Opamiętała mię ta uwaga. Zamiast oczekiwanego bólu lub goryczy, poczułem już tylko rodzaj litości, pobłażania dla niego.

Westchnieniu jednak obronić się nie mogłem. Biedna Marynia znowu przyszła mi na myśl.

Śledziłem dość pilnie ruchy kolegi. Lżej trochę zrobiło mi się tej chwili, a przynajmniej czczo było na duszy, obojętnie. Nad tą ruchomą posadzką z wody szemrzącej, pod tem sklepieniem z chmur czarnych, byłem prawie sędzią tego człowieka... podobno jego bratem po mieczu—nieprawym...

Szerokiej swej łodzi gość nie umiał z równą zwinnością umocować, jak ją był ku przystani skierował. Gruntu pod sobą nie mógł tyką pochwycić. Pragnął podeprzeć kołyszącą się pod sobą posadę płyty z drugiej jeszcze strony, by wziąć ją tym sposobem w podwójne kluby: półwyspu odemnie, a zatkniętej żerdzi za sobą. Mnie, nie wiem już jaką kolejną nerwowych przesilen, śmiech pusty jał dusić. Początkowego niepowodzenia nie życzyłem mu wcale; chciałem przytem wi-

dzieć co będzie dalej—bez gorączki, spokojnie. Sporo czasu miałem przed sobą...

Kolega zniecierpliwiony, zaklął—i gwizdnął ponownie. Rzecz godna uwagi: psu ani się przysniło pomyśleć że to Klemens.

Burza zdawała się wracać. Zaszumiały krzaki nademną. Podniosłem głowę. Niebo było chmurne — lecz już nieco inaczej niż przedtem: grube jakieś, stęchłe, niegroźne.

Gwałtownie serce uderzyło mi w piersi.

Nad krawędzią, kędy był Dyonizy, gdzie brzeg sam się zniżał i nachylał łagodnie jako wielbłąd kiedy się nań wsiada, — zasnuł się, zwiśł obłok śniadawy.

Przychodziła nareszcie rzeczywistość, a za nią—niby pop proszony na swadźbę, wbiegł księżyc i spojrział na wszystkich z ukosa. Zobaczyłem nad sobą, nieco na prawo, oblicze odlane jak z brązu, mniej blade niżli w przeddzień Zielonych Świątek, szczuplejsze trochę niż dawniej, piękne jak zawsze — piękniejsze dla mnie niestety, nad wszystko com w życiu widział lub wysnił — oblicze Mici, o bujnych ciemnych pierścieniach włosów, połyskujących jaśniej na zgięciach. W tem nawet mojem cierpieniu, uśmiechnęła się do dziewczyny dusza moja, widokiem jej rozradowana.

Nachyliło się dziewczę ku samej krawędzi, szepcząc półgłosem:

— Przybyłeś pan — a tu oto mamy gości niespodziewanych, proszą na jutrzejsze wesele.

— Znowu gościel — powiedział Dyonizy z mniejszym niesmakiem niżlim oczekiwał.

Jeszcze się mocował ze swoim płytym i trzął się od złości czy zniecierpliwienia, że aż pomyślałem, żeby gdzie czasami nie spadł do djabła.

Wyprostował się przecie.

— Któż znowu dzisiaj?—spytał.

— Nie znasz pan. Kalisewiczowa z Rózią—z miasteczka.

— Popadzia?

Lecz się poprawił:—Księdzowa?

— Nie—odparła Micia.

— Ha — podjął kolega—w takim razie tu z sobą pomówimy.

— I ze mną—dodałem w duchu.

— A Tacia co na to powie? — zauważyła dziewczyna. Wszak pan wiesz...

Zawahała się.

— Zresztą, potrzebuje mię Tacia—pochwycała.

— Szkoda—rzekł Dyonizy prawie obojętnie—miałbym wiele rzeczy do zakomunikowania przed odjazdem.

— Czy nie jak onegdaj? Ślicznie!

Był to wyrzut zaprawdę, ale zarazem niemyślne wyzwanie na dalszą rozmowę.

Płyt snadź znowu miał się ku psocie, bo Dyonizy odchrząknął, wygiął się w pół, i nogami wierzgał. Mówił jednak:

— Co ślicznie? onegdaj.. Doprawdy, pomyślałby kto, że państwo żyjecie w lesie. Na całym świecie tak się robiło i robi. Nasz Pawełek, który zwiędł nad elementarzem, zobaczno pani jak się dziś rozkleczał i rozmodził we dworze. Pojechałabyś pani choć raz oto spojrzeć.

— Cóż mię to obchodzi, że się tam u was ktoś rozmodził!—odcięła się Micia.

— Mniej jeszcze obchodzi to tych, do których się nieborak zagapił—nadmienił koleżka wesoło.

Otrząsał ręce z pyłu, bijąc dłoń o dłoń. Uporał się najwidoczniej z żerdzią i płytą; podniósł się i raz jeszcze odchrząknął, swobodnie tylko.

— Zmieniłeś pan od niejakiego czasu przekonanie względem pana Pawła—wtrąciła Micia.

— Od czasu...—jął Dyonizy.

Postąpił pół kroku i znalazł się prawie twarz w twarz z Micią. Michalina, zagłębiona w niewielkim padole za krawędzią brzegu, głowę tylko i część szyi wychylone miała ku rzece. W postawie tej była z nim na jednej prawie wysokości. Nie żałowała teraz sukienek; przyklęknęła z pewnością na gołej ziemi.

— Od czasu — prawil Dyonizy — jak narzeczcie postrzegłem, że i pani widzisz śmieszność jego postępowania; mamże stawać po gościńcach i zapewniać ludzi, którzy się na niego patrzą, że chłopiec dobrze się uczył i sprawował w szkołach?... A jednakże, bądź co bądź, panno Michalino, powinnyby się tak urządzić, żeby ktokolwiek z pań wziął go w swoją opiekę. Bije się biedactwo jak bąk w kapuscie, galopuje od rana do nocy, żeby gdzie na płocie plebanii zobaczyć spódnickę lub pończoszki, trątuje mi zboże pod pozorem ekonomicznym, zagląda o drugiej z północy poprzez drzewa czy się u was nie świeci—męczennik prawdziwy! Ani w Wilnie nic sobie poradzić nie mógł, ani tutaj...

Cokolwiek plótl tam sobie na mnie zacny towarzysz, mało go już słuchałem. Pilniej patrzałem. Przyćmionego księżycowego świa-

tła dość jeszcze było, by zoczyć właśnie, że kawaler, gwarząc tak i zagadując, wygiął w sierp rękę prawą po nad krawędzią, jakby w pół ująć dziewczkę zamierzył.

Burza rzeczywiście nie ustąpiła. Powtórzyły się grzmoty. Nowa chmura nadciągała z zachodu, prościej tylko tym razem; huczała może mniej donośnie niż tamta, lecz szerzej i dłużej.

— Panie Dyonizy!—powiedziała nagle Micia—czy znowu to samo co onegdaj?

— Pan!—poderwał galant głosem wzruszonym—jeśli się lękasz, dość ci dłonią ruszyć. Płyn jest jak piórko, rzeka w tem miejscu bez dna, w przepaść mię zepchniesz....

Zaśmiałem się prawie na głos. Kłamstwo było widoczne, skoro i ją teraz pociągnąwszy musiał za sobą.

— Co też pan wygadujesz! — zabrzmiała drżąca odpowiedź Mici.

Zamilkli nagle oboje.

— Cytł panie Dyonizy — podjęła pół głosem nieboga—czy słyszałeś pan?

Dyonizy silnie pochwyił i ku sobie przyciągnął Michalinę. Głowę zwrócił w moją stronę. Lecz czy dla tego, że twarz mi okrywały grube cienie zachodu, gdy jego źrenice świeciły w niknącym półodblasku wscho-

dnim, czy zląkł się może panicz—widział mnie czy nie widział, dość że wnet odrzekł jakby nic nie było, do Mici, głosem wszakże cokolwiek zduszonym:

— Nie, niema nic, pani. Przysłyszało się nam obojgu. Przytem proszę wiedzieć, że nie jeżdżę po nocach z gołemi rękami. Ze mną możesz być spokojną, panno ~~...~~alino.

— Tak, panie Dyonizy—poczęło dziewczę—lecz muszę wracać. Deszcz zaczyna padać. Gruba oto kropla spadła ci na twarz.

Blisko się przysunęła, skoro to mogła dojrzeć!

— Deszcz?—gdzie tam!—zapewnił panicz.—  
Chmura poszła inną stroną.

— W każdym razie trzeba tam pójść. Tacia... wiesz pan... zła w ostatnich czasach jak osa. Licho wie co podejrzuwa...

— Daj jej pokój, nie zważaj... Zresztą, zaczekać mogę. Pobieżysz zobaczyć gości, powiesz jej, że odpłynął, i wrócisz. Będę tam—wiesz?... Czy zgoda? Pomówimy z sobą. Jest o czem, doprawdy. Narzeczony siostry pisał dziś właśnie.

— Czy tak?

— Pękać ze śmiechu, powiadam pani. Biedny Pawełek, daje słowo. Dwie wsi odstąpiłbym mu, gdyby nudzić przestał nieszczęśli-

wą Joasię tem urojeniem swem niedorzecznem! Jakby to ludzie nie wiedzieli, że jego siostra...

Przerwała mu Micia:

— Panie Dyonizy, nie mów mi proszę źle o Pawełku. Nie mogę tego słuchać, zapewniam.

On do jej ucha się nachylił — i szeptał.

— Co?—spytał głośniej.

— Nie, — odparła.—Lubiłabym go, ale... Sam wszystkiemu winien... Co chce żebym dalej tu robiła?

— Nie kłopotz się, przyjdzie i jeszcze przebłaga. Żebyś tylko pani chciała zdecydować się i pojechać do Warszawy... Przypędziłby w tydzień.

Olsniewająca błyskawica rozdarła niebo.

Ciągle przy sobie byli. Micia zdawała się w niego już tylko patrzeć.

— Przyjdiesz?

Mało ich teraz widzieć mogłem. Widokrąg zewsząd się zamknął. Szatan wie po com się dalej męczył, na com czekał.

— Może... nie wiem—odpowiedziała Micia.—Lecz, rzeczywiście, panie Dyonizy, o co chodzi?

— O nic dla mnie, panno Michalino. Wyjeżdżam prawdopodobnie pojutrze, lub... jeśli



chcesz jutro. Chciałbym z Pawełkiem co zrobić. Ale ładu z nim samym dojść niesposób. Gdybyś mi pani chciała pomódz, pośredniczyć...

— Ależ nie był u nas od niepamiętnych czasów, jak panu wiadomo...

Nie dosłyszałem co jej na to znowu szepnęła do ucha.

Zaśmiała się.

— Czy zgoda, Miciu?

— Będziesz pan dziwaczył jak onegdaj, kiedy Taci niebyło...

— Nie, nie będę.

— Słowo?...

— Słowo...

— W takim razie... Tylko że, być może, dłużej nieco wypadnie mi zabawić z gośćmi, bo wątpię, żeby Kalisewiczowa odjechała na noc taką...

Wiatr zerwał się po raz drugi, sypiąc mi śmiecia w oczy.

— Zaczekam. Z sobą za to zabawimy się dłużej.

— Pierwej ze mną—rzekłem w duchu.

— Więc dobrze?

Które już z nich pytało, nie wiem. Ciemność zaległa niebo i ziemię. Pod sobą widziałem tylko Czarną, która zaczynała kla-

skać przed ulewą i łyskać ślepiami jak tygry-  
sica, gdy swe kocięta liże i ofiar wypatruje.

— Dobrze—odrzekła Micia.—Lecz, widzisz  
pan, ten wiatr.. I kiedy rzeczywiście jedziesz  
pan?

— Po co te pan?... Jutro—chcesz?

— Zobaczę jeszcze.

Ściągnąłem rękawy.

Nie rozchodzili się jednak.

Naraz—zaćmiło mi się w oczach, założyło  
w uszach. Huragan gdy na sto koni wsiądzie,  
to tak nie wyskoczy i nie załomoce jako  
nad moją głową załomotało coś jednej chwili  
w krzakach, z wrzaskiem nieokreślonym, nie-  
opisanym.

Drgnąłem cały. Myślałem, że wiedźmy  
i Tacie z całego świata chórem załajały na  
wybrzeżu.

Kto ze sznurka psa spuścił, Paraska? Kle-  
mens? Czy sam się zerwał? Domysł zginął  
w gwałcie, z jakim poszczute niewątpliwie  
psisko, rzuciło się pędem przez krzaki wprost  
na Dyonizego.

Opamiętać się było trudno, tak się to stało  
szybko, w mgnieniu oka.

Strwożony atoli głos Mici zagórował w tym  
chacie nad mojem wzburzeniem.

Spojrzałem. Była wolną—puścił ją. Uciekała.

Lecz nieupłynęło trzech sekund, gdy ujrzałem błysnięcie pomiędzy sobą a psem.

Rozległ się krótki, tępy strzał.

Pies skowyknął jękiem nowonarodzonego dziecka, i umilkł. Nie żył.

Padł — widziałem — wywinąwszy łapami w górę.

— Skończyłem z nim przecież! — zawołał zwycięzca.

— A, lotr!—rzekłem.

Ręce w minucie urosły mi jak u cyklopa, kark steżał, głowa zaciężała jak skała. Musiało widmo—duch krwawy siostry czy Kani-sa stoczyć się z krzaków i gardło mi obwinać, bom uczuł, że się duszę — że tracę przytomność—krew błysnęła mi w oczach.

Wysunąłem się z zarośli długim, bałwanowatym słupem, krzycząc w roziskrzoną twarz Dyonizego:

— Zdrajco! zdrajco!

Nie miał czasu ani na spowiedź ani na odpowiedź. Wywinął ku mnie pięścią — lecz chybiła. Całą siłą skupionych ramion i głowy uderzyłem prosto w pierś jego. Płył jak na osi pochylił się, ugiął. Przewaliłem się — pchając i depcząc pod sobą rozkrzyżowaną

w powietrzu postać Dyonizego. Oklaskiem szumnym uderzyła Czarna. Skończyło się. W oczach mi zapiekło, zaświeciło, zakłuło jak nożami; twarz w wodzie zasyczała niby rozpalone żelazo—i nic więcej. Nad sobą posłyszałem tylko, poczułem mokre łapy Czarnej dobierającej się do moich żeber, a nad Czarną, w górze, zaniósł się jakoby chychot ulewy zmieszanej z płaczem. I wszystko potem ustało, znikło, z istnienia granic uciekło.

Uciekło!

Kanis nie ożył... A ja...

W człowieku pracowało niestety własne jego, oględniejsze od psa zwierzę, ocalające mu życie wbrew i pomimo jego woli.

Niepomnąc ni czasu, ni pory, ni otoczenia, w niejasnej świadomości i siebie samego i tego co się koło mnie działo, znalazłem się--po chwili czy po wieczności — na gruncie gładkim, miękkim — na trawie zewsząd mokrej, przesiąkniętej. Powietrze świeże, chłodnawe, twarz mi oblewało. Czy słońce gdzie było—nie poczułem. Leżałem nawznak z rozwartymi powiekami, zmęczony, że ręki początkowo nie mogłem ponieść do oczu. Ani gwiazd nademną, ani drzew przy mnie, ani kolorów, ani światła nigdzie. Świegotało

-tylko nade mną ptastwo w górze, w próżni wielkiej—ciemnej—czarnej—ślepej.

Podniosłem się z trudnością do połowy. Patrzyłem: nie było nic.

Na nieobjętych przestworzach cieniów bez tła, bez dna, bez widomego powietrza, zataczało się pasmo cieniutkich półświatlanych mgławisk: domierające odbicie jasnych dni mojej przeszłości! Pasma to, migocące przypomnienie wrażeń duszy, przecinało, kędyś w nieskończoności, na dwie połowy całą otaczającą kulę—potworną, nieprzejrzystą, mętną jak przepaść wiekuistego zapomnienia: na połowę jedną, niższą, w której znajdowało się coś co dla mnie było niegdyś ziemią, i na połowę drugą, ku górze, w której mniemam pozostało niebo. Osadzony w bezbrzeżnej tej nicości kształtów i barw na kawałku gleby, jaki rękoma przy sobie mogłem pochwycić, znać odtąd nie miałem ani innych odblasków, ani innego światła lub świata...

Wstałem ociemniały, i szedłem.

Na pochyłości łagodnej, miękkiej, ujrzałem—szła przedemną—pociągała mię za sobą postać powiewna blada, smętna. Odrzask to był tylko... czysty odrzask świętości mojego serca, uczuć moich jedyna promiennosc — pogrzebana w mroku, a obleczona w lekka su-

kienkę krwawych snów księżycowych. A jednak wołałem do niej—do własnej tej mojej mary:

— Michalino! Michalino!

Nie odpowiedział nikt. Nikt ślepemu nie odpowiedział.

Upadłem. Raz jeszcze wzrok tępy wyteżyłem ku niebiosom, w górę. Daremnie! Noc bezgraniczna! Całun wszechbytu! Cisza!..

Nie. Ciszy nie było.

Ocean istnienia ciemnym był bezdennie, ale nie był milczącym; nie był ani niemym ani głuchym.

W daleko bez końca rozsnutych wieczorach i przedświtach wszechświata, zwijał się, gmatwał i znowu się rozplątywał wątek głosów przyduszonych, zapartych jakoby za mur grubym, powtarzających coś, kędyś—przypominających kogoś...

Przyłożyłem głowę do ziemi... Przemówiła. Bicie jej serca posłyszałem — i pierś moją skurczoną od chłodu, jakoby kto naraz oblał ciepłą wodą łez matczynych. Odżyła. Do niej się przeto—do ziemi przygarnąłem, jej zwilżone oblicze całowałem. Na uścisk,—odpowiedziała—pieśnią. Pieśń mi naszą śpiewała—zasypaną, zapadłą, a jednak żyjącą—

niesioną na skrzydłach niewidomych napowietrznych chórów...

Mysł więc z kolei, — treść jestestwa mojego całą wznosiłem teraz po nad nieprzeniknioną zasłonę nieskończoności, i wołałem, z sił opadając:

— Światła! światła!

Nie przyszło... nie wróciło dla mnie pod żadną postacią... Lecz wy brzask jego widzicie zapewne przed sobą — niedaleki, gdy powtarzacie słowa modlitwy Pańskiej: „Przyjdź królestwo Twoje!”...



I na tem pan Ślepy-Paweł urywał zwykle opowiadanie o swojej młodości. Milczeliśmy później wszyscy trzej: on, mój ojciec i ja. Nie śmieliśmy go pytać ani co się stało z Micją, ani co się stało z Joasią lub Jagusią. Pewnego atoli dnia przystąpiłem doń rezolutnie:

— Panie Ślepy-Pawle!

— Owszem, co waszmość ma do powiedzenia? — zagadnął.

— No, a ten Dyonizy, czy się utopił?

— Najprzód, panie Józefie dobrodzieju, nie mówi się „utopił” o kimś co się sam nie topił; powtóre jesteś kolegą syna pana Dyonizego, i wiesz lepiej odemnie czy stary—i dziś już jak jego ojciec zacny dziedzic Niewyhrycz utonął czy nie.

— A Micia?—pochwyciłem.

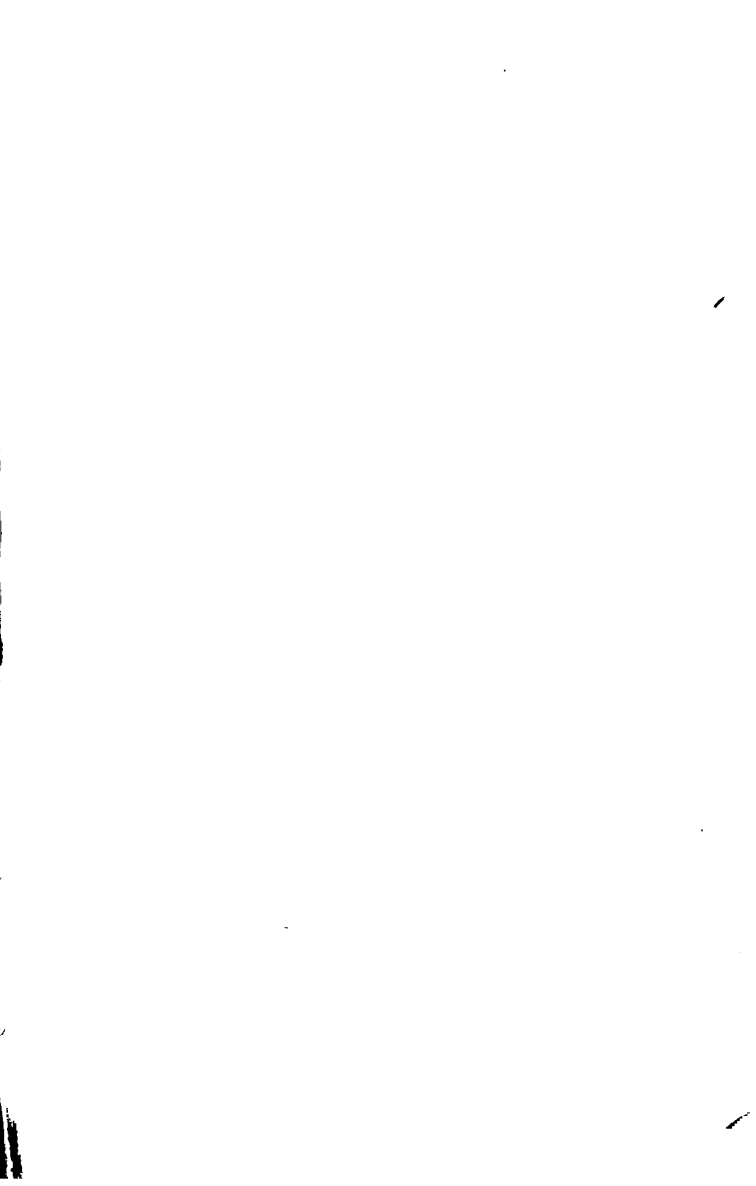
— Jest w szpitalu wileńskim, moje dziecko...

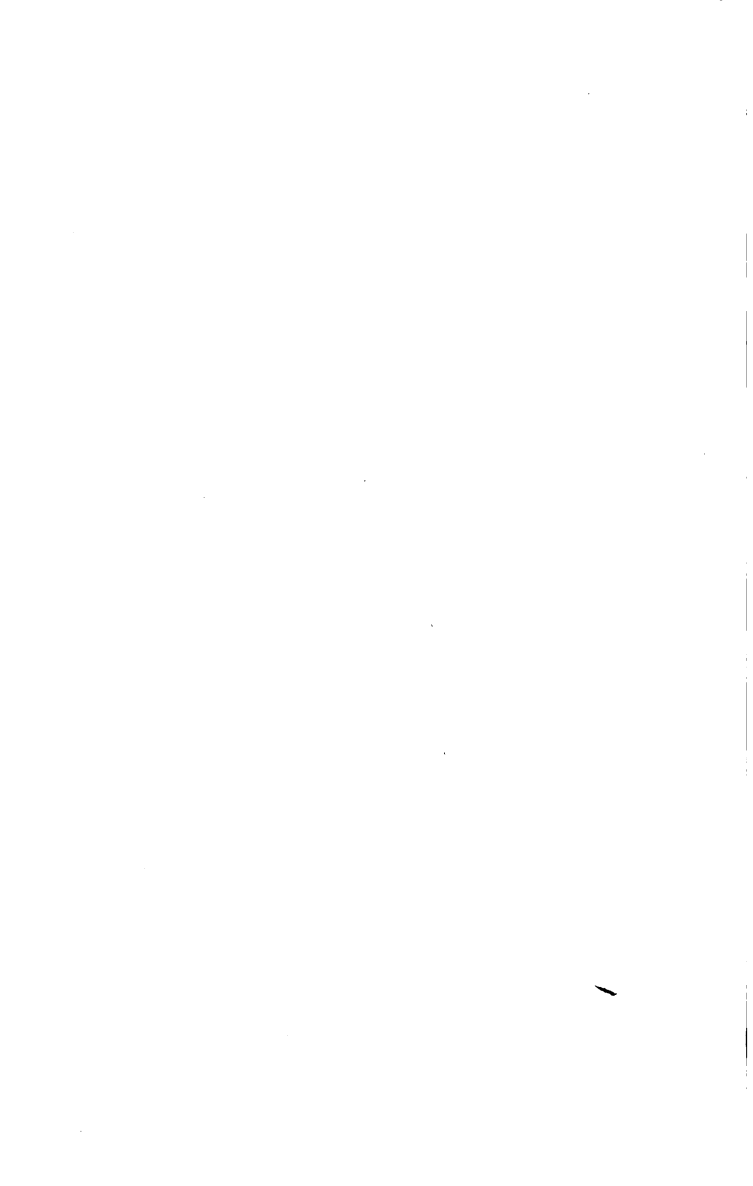
To rzekłszy, ucałował mię i odszedł z głową w górę podniesioną, pobrzękując laską po bruku.

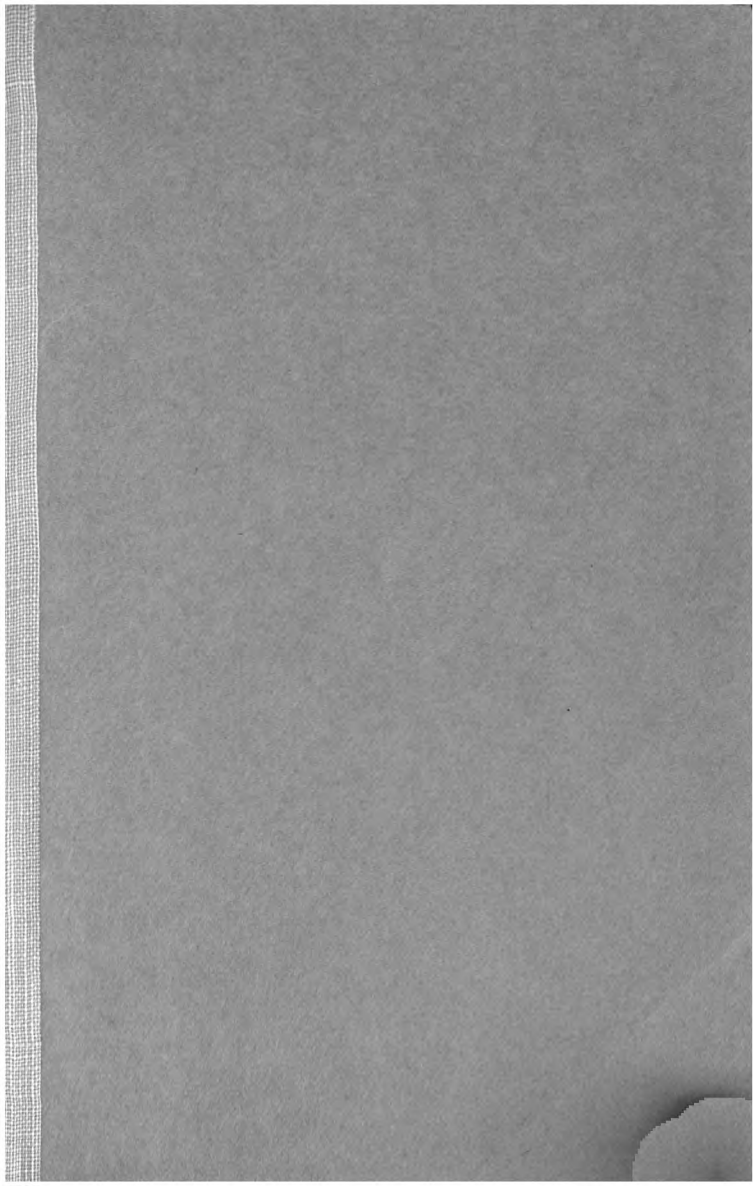
KOŃC

2  
2











0011 00 100

